GAZETA wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Poniedziałek, 8 czerwca 2026 | Redaktor prowadzący Piotr Rozpara | Cena gazety 8,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 131.11230, 1

Nakład 43 tys. + 322 tys. prenumerat cyfrowych

Duży Format

ŚMIECI WARSZAWY

• Reportaż Marcina Wójcika, który został ładowaczem

„Wyborcza" ujawnia

Niemcy zwrócą zrabowane dobra

Na 35. rocznicę podpisania traktatu o dobrym sąsiedztwie Niemcy zwrócą Polsce m.in. pierścień Jagiellonów i inne zagrabione dzieła sztuki. **Nowego traktatu nie będzie, Berlin obawia się, że prezydent Karol Nawrocki by go nie podpisał.**

Michał Kokot
Bartosz T. Wieliński

Pierścień Zygmunta Starego, przedostatniego polskiego króla z dynastii Jagiellonów, to jeden z najwspanialszych zabytków polskiego złotnictwa. Wykonany z litego złota, zdobi go wielki diament o tablicowym szlifie. We wrześniu 1939 r. wraz z innymi precjozami należącymi do polskich monarchów, które przechowywano w tzw. szkatule królewskiej, został zrabowany przez Niemców. W 2007 r. odnaleziono go w zbiorach muzeum biżuterii w Pforzheim. Po kilkuletnich negocjacjach władz Polski i Niemiec oraz sporządzeniu paru jednoznacznych ekspertyz zabytek zostanie zwrócony. Stanie się to w przyszłym tygodniu, na 35. rocznicę podpisania w Bonn polsko-niemieckiego traktatu o dobrym sąsiedztwie.

Dokument z 17 czerwca 1991 r. normalizował relacje między Polską a zjednoczonymi Niemcami. Był to też pierwszy krok Polski w kierunku integracji z Zachodem. Niemcy w traktacie zdecydowanie poparły europejskie aspiracje Polski i zobowiązały się je wspierać. Kilka kwestii pozostawało jednak przez lata nierozstrzygniętych. Zwrot zagrabionych podczas wojny polskich zabytków był jedną z nich.

Impas w sprawie odszkodowań

Z informacji z kręgów rządowych obu krajów wynika, że oprócz pierścienia Jagiellonów z Niemiec wróci również najstarszy zachowany zapis średniowiecznego hymnu „Gaude Mater Polonia", który Niemcy zrabowali z Biblioteki Seminaryjnej w Płocku. Zabytek odnaleziono w zbiorach Biblioteki Państwowej w Berlinie. Odzyskamy także rękopisy dzienników Stefana Żeromskiego.

Choć Niemcy obiecywali rozwiązać sprawę odszkodowań do rocznicy podpisania traktatu, rezultatu nie ma

Nie ma jednak żadnego postępu, jeśli chodzi o odszkodowania dla żyjących jeszcze polskich ofiar III Rzeszy. Dwa lata temu, gdy sprawa po raz pierwszy stanęła na forum polsko-niemieckich konsultacji międzyrządowych w Warszawie, szacowano, że chodzi o świadczenia dla 50 tys. osób. Do grudnia ubiegłego roku, gdy odbywały się kolejne konsultacje, zmarło ok. 10 tys. ofiar nazistowskich Niemiec. Kanclerz Friedrich Merz obiecał, że osobiście zaangażuje się w poszukiwanie pieniędzy.

Z naszych informacji wynika, że choć Niemcy obiecywali rozwiązać sprawę do rocznicy, rezultatu nie ma. Kolejne spotkania przedstawicieli niemieckich ministerstw nie przyniosły bowiem żadnego efektu.

– Sytuacja budżetowa jest bardzo trudna, czekają nas cięcia. A na to, by zaciągać kolejne długi, nie ma przyzwolenia społecznego – słyszymy w Berlinie.

Umowa zamiast traktatu

Wbrew wcześniejszym planom nie dojdzie jednak do podpisania nowego polsko-niemieckiego traktatu. Polska w ostatnim czasie podpisała takie umowy z Francją (traktat z Nancy) i Wielką Brytanią (traktat z Northolt). Obydwa dokumenty zawierają klauzule pomocy na wypadek napaści zbrojnej na nasz kraj.

Strona polska twierdzi, że Niemcy obawiali się, iż wynegocjowany przez rządy dokument nie zostanie podpisany przez prezydenta.

Karol Nawrocki seryjnie wetuje ustawy, a teraz jego otoczenie sugeruje, że może nie ratyfikować traktatu zawartego z Wlk. Brytanią, gdy umowę zatwierdzą Sejm i Senat. Głowa państwa miała nie zostać poinformowana o jego zapisach. MSZ twierdzi jednak, że to kłamstwo.

– Strona niemiecka wiele razy pytała o szczegóły polskiej procedury ratyfikacyjnej. Mieliśmy zielone światło od premiera, by negocjować pełnoprawny traktat i stawić czoła późniejszym konsekwencjom. Berlin wybrał bezpieczne rozwiązanie – mówi źródło „Wyborczej" w polskim rządzie.

W efekcie wynegocjowano nową polsko-niemiecką umowę wojskową, którą w przyszłym tygodniu podpiszą ministrowie obrony Władysław Kosiniak Kamysz i Boris Pistorius.

Więcej ▶ 8

FOT. REUTERS/STEPHANIE LECOCQ

Sport

WIELKI WYCZYN MAI CHWALIŃSKIEJ

Polskie: „Dziękujemy, dziękujemy!" rozbrzmiało na trybunach jednego z największych tenisowych stadionów świata, Court Philippe-Chatrier w Paryżu, gdy Maja Chwalińska rozpoczęła podziękowania po swym wspaniałym występie w wielkoszlemowym Roland Garros. 24-letnia Polka przegrała dopiero w sobotnim finale z Rosjanką Mirrą Andriejewą, ale rozkochała w sobie cały świat, nie tylko ten tenisowy.

▶ 22-23; Komentarz ▶ 2; Czytaj też ▶ Sport.pl

Wydaje Wyborcza Sp. z o. o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
1 RP

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

Dariusz Wołowski

Maja Chwalińska wygrała podziw i miłość

W książce „Alicja w krainie czarów” główna bohaterka budzi się na koniec ze snu. Okazuje się, że wszystkie fantastyczne przygody, które przeżyła, wydarzyły się tylko w marzeniach sennych. Maja Chwalińska w paryskiej krainie czarów spędziła trzy tygodnie. Wszystko wydarzyło się jednak na jawie, niezwykłą drogę do finału polska tenisistka utorowała sobie sama i nikt jej już tego nie odbierze.

Po Jadwidze Jędrzejowskiej, Agnieszce Radwańskiej i Idze Świątek Chwalińska jest czwartą Polką, która dotarła do finału turnieju Wielkiego Szlema. W sobotnim pojedynku o tytuł wyglądała jednak na przemęczoną, co spowodowało, że popełniła na korcie więcej niewymuszonych błędów niż Mirra Andriejewa. Nastoletnia Rosjanka wzniosła się na wyżyny, ale przede wszystkim była nadzwyczajnie regularna. Finał był wyrównany do stanu 3:2 dla Polki w pierwszym secie, po czym rywalka wygrała dziewięć kolejnych gemów.

Podczas ceremonii wręczania pucharów Chwalińska przeprosiła kibiców za to, że nie obejrzeli lepszego finału. – To wina Mirry, która była dla mnie za mocna – dodała. Było oczywiste, że przewaga siły jest zdecydowanie po stronie o 11 cm wyższej i potężniejszej Rosjanki. Andriejewa nie grała w kwalifikacjach, jej turniejowe mecze były krótsze, więc w Paryżu spędziła na korcie dwa razy mniej czasu niż Polka. Wydatek sił w drodze do finału nie był podobny.

Niezwykłą drogę do finału polska tenisistka utorowała sobie sama i nikt jej już tego nie odbierze

Wiatr na korcie centralnym Rolanda Garrosa podczas finału też wiał na korzyść Rosjanki. To nie znaczy, że szukam na siłę usprawiedliwień dla Polki, po prostu mam wrażenie, że w normalnych warunkach mecz o główne trofeum w Paryżu byłby bardziej zacięty. Jasne, Andriejewa była lepsza, wygrała zasłużenie. Głęboki smutek Mai po finale to jednak dowód na to, że wszystko potoczyło się inaczej, niż planowała.

Ale ta historia nie kończy się na finale w Paryżu. Wręcz dopiero się zaczyna. Serce do walki Chwalińskiej, jej inteligencja na korcie i umiejętności dają gwarancję, że kolejne starty mogą być równie pasjonujące. Ma 24 lata, a więc przed sobą dekadę gry na najwyższym poziomie. Po tym, czego dokonała w Paryżu, ze 114. pozycji w rankingu WTA awansuje na 21. Czyli wdarła się do światowej czołówki, a może być jeszcze lepiej.

Chwalińska udowodniła sobie i innym, że ograniczenia we wzroście i masie mięśniowej da się w tenisie zrównoważyć techniką i błyskotliwością. Przegrała finał Rolanda Garrosa, ale wygrała podziw, wręcz miłość tysięcy fanów. Wygrała też swoją przyszłość, bo od dziś jest wśród najlepszych tenisistek na świecie. Być może następny jej mecz z Andriejewą będzie wyglądał inaczej. Maja już wie, że nie jest ulepiona z innej gliny niż największe gwiazdy tenisa. ●

Czytaj też ▶ 22-23

Andrzej rysuje

Wrocław
Nocne bieganie po ulicach miasta

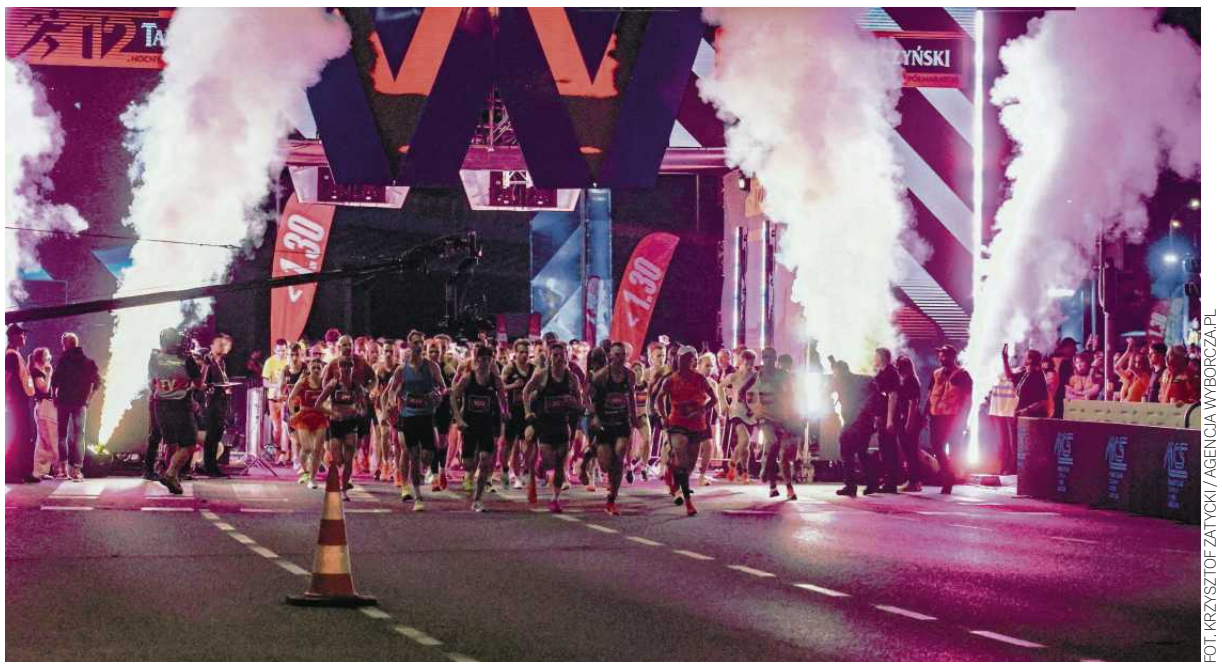

FOT. KRZYSZTOF ZATYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

12. Tarczyński Nocny Wrocław Półmaraton. Blisko 22 tys. uczestników stanęło w sobotni wieczór na starcie jednego z największych i najbardziej widowiskowych biegów ulicznych w kraju. Trasa licząca dokładnie 21,097 km wiodła przez najważniejsze części Wrocławia.

Liczba dnia

5,5

TYS. ZŁ

A dokładnie 5554 zł 89 gr kosztuje apartament za jedną noc przy rezerwacji (przez internet) w połowie lipca w Hotelu Gołębiewski w Pobierowie. Ten jeden z największych hoteli w Europie otwarty zostanie w najbliższą środę.

Więcej ▶ Next.gazeta.pl

Zamów magazyn z darmową dostawą na: **Prenumerata24.pl**
Więcej na: **Wyborcza.pl/ksiazki**

22. Eurowizja dla Młodych Muzyków
Czwarte zwycięstwo Polski

Niespełna 19-letni Michał Stochel nie zapomni tego czerwcowego wieczoru w Erywaniu, kiedy dowiedział się, że jest triumfatorem konkursu Eurowizji dla Młodych Muzyków. Wygrał na akordeonie, wykonując muzykę polską – „Concerto classico” Mikołaja Majkusiaka. W sobotę na scenie Narodowego Akademickiego Teatru Opery i Baletu pokonał jedenaścioro rywali i rywalek – troje skrzypków, troje pianistów, flecistkę, klarnecistę, perkusistkę i wirtuoza gry na marimbie. To już czwarte zwycięstwo Polaków na Eurowizji dla Młodych Muzyków. W 1992 roku wygrał ją skrzypek Bartłomiej Nizioł, w 2000 r. – pianista Stanisław Drzewiecki, a w 2016 r. po wygraną sięgnął saksofonista Łukasz Dyczko.

– Michał wygląda może niepozornie, ale gdy zaczyna grać, jest niesamowicie ekspresyjny. Cały jest muzyką, jakby przenosił się do innej rzeczywistości. Oddał wszystkie walory kompozycji Majkusiaka. Publiczność była wręcz zahipnotyzowana – mówi „Wyborczej” Robert Kamyk, dziennikarz muzyczny, który w TVP2 prowadził transmisję z wieczoru Eurowizji i komentował występy wspólnie z dyrygentką Sylwią Janiak-Kobylińską.

Zwycięstwo Stochela było właściwie bezdyskusyjne. Zanurzył się cały w dynamicznej muzyce Mikołaja Majkusiaka, jego ekspresja udzieliła się słuchaczom, a co najważniejsze – jurorom.

– Czuję niezwykłą ekscytację, jakby prąd przeze mnie przeszedł – powiedział zaraz po występie dyrygent Julien Salemkour, jeden z jurorów konkursu. – Zapamiętajcie te dwa nazwiska: Stochel i Majkusiak – dodał.

Oprócz Salemkoura w jury zasiadali: Roman Simovic, koncertmistrz London Symphony Orchestra, flecista Eduardo Belmar, i ormiańsko-amerykański wiolonczelista Narek Hakhnazaryan, zwycięzca Konkursu im. Czajkowskiego w 2011 roku.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wygrana Stochela to przede wszystkim efekt talentu i ciężkiej pracy pod kierunkiem wspaniałego profesora Dariusza Baszaka. Muzyk jest uczniem Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych im. Artura Malawskiego w Przemyślu. Od 2018 r. pozostaje stypendystą Krajowego Funduszu na rzecz Dzieci, objęty jest także wsparciem Regionalnej Fundacji Rozwoju „Serce” w Kolbuszowej. W roku szkolnym 2020/2021 był stypendystą programu „Nie zgubić Talentu”. Ma słuch absolutny, a poza muzyką interesuje się motocyklami.

Jest laureatem licznych nagród i wyróżnień. Ale najważniejsze, które utorowało mu drogę do finału Eurowizji dla Młodych Muzyków, miało miejsce w kwietniu tego roku, gdy został laureatem Nagrody Głównej oraz Nagrody Publiczności w konkursie Młody Muzyk Roku 2026 organizowanym przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Narodowy Instytut Muzyki i Tańca oraz Telewizję Polską.

– Nie odnosimy większych sukcesów w Eurowizji piosenki, ale w przypadku Eurowizji związanej z muzyką klasyczną nasz sukces jest ewidentny. To pokazuje, w której dziedzinie jesteśmy silni – podkreśla Robert Kamyk. ●

Anna S. Dębowska

1 RP

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

Wyciąg z ogłoszenia

PREZYDENTA MIASTA STARGARD

na sprzedaż w II przetargu ustnym nieograniczonym

Przedmiotem sprzedaży jest nieruchomość oznaczona według księgi wieczystej jako:

nieruchomość niezabudowana położona w obrębie 19 miasta Stargard w rejonie ulic Powstańców Warszawy, Bohaterów Getta Warszawskiego i Janusza Korczaka stanowiąca działki oznaczone w ewidencji gruntów jako: działka nr **345** o powierzchni 0,2780 ha, działka nr **343** o powierzchni 0,0761 ha, działka nr **344** o powierzchni 0,3923 i działka nr **342** o powierzchni 0,0988 ha.

Cena wywoławcza nieruchomości: 4 200 000,00 zł
(cztery miliony dwieście tysięcy złotych 00/100)

Do ceny uzyskanej w wyniku przetargu zostanie doliczony 23 % podatek VAT.
Wadium: 420 000,00 zł (słownie: czterysta dwadzieścia tysięcy złotych 00/100).
Wadium winno być wniesione w pieniądzu, w walucie złoty polski (PLN).
I przetarg odbył się dnia: 20 maja 2026 r.

Przeznaczenie nieruchomości:
Zgodnie z obowiązującym miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego miasta Stargard dotyczącym terenu w rejonie ulic: Powstańców Warszawy, Szarych Szeregów, Władysława Broniewskiego przyjętym uchwałą Nr V/69/2019 Rady Miejskiej w Stargardzie dnia 26 marca 2019 r. działki nr: 344 i 345 położone są na terenie zabudowy mieszkaniowej wielorodzinnej i usług o symbolu MW,U.07, a działki nr 342 i 343 na terenie ogólnodostępnej drogi wewnętrznej oznaczonej symbolem 07.KDW.

Przetarg odbędzie się w siedzibie Stargardzkiego TBS Sp. z o. o. przy ul. Struga 29 w Stargardzie w sali przetargów dnia **11 sierpnia 2026 r. o godz. 10:00**

Przed przystąpieniem do przetargu należy zapoznać się z jego szczegółowymi warunkami zawartymi w pełnym ogłoszeniu wywieszonym na tablicach ogłoszeń Urzędu Miejskiego w Stargardzie przy ul. Hetmana Stefana Czarnieckiego 17 i Stargardzkiego TBS Sp. z o. o. przy ul. Andrzeja Struga 29 oraz zamieszczonym w Biuletynie Informacji Publicznej, na stronie internetowej www.bipstargard.pl, na stronie internetowej www.tbs.stargard.pl oraz na portalu internetowym www.otodom.pl

Dodatkowe informacje można uzyskać w:
1. Urzędzie Miejskim w Stargardzie ul. Stefana Czarnieckiego 17, Biuro Obsługi Klienta, tel. 91 578-36-67;
2. Stargardzkim TBS Sp. z o. o. przy ul. Struga 29, Punkt Obsługi Klienta, tel. 91 819-24-45.

Kraj/34437755

Zgodnie z § 6 ust. 5a rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 14 września 2004 r. w sprawie sposobu i trybu przeprowadzania przetargów oraz rokowań na zbycie nieruchomości (Dz. U. z 2021 r. poz. 2213).

Prezydent Miasta Białegostoku

ogłasza drugi przetarg ustny nieograniczony na sprzedaż nieruchomości gminnej:

1. **Oznaczenie nieruchomości: lokal mieszkalny nr 10**, stanowiący własność Gminy Białystok, położony przy **ul. Lipowej 37** w Białymstoku, składający się z 2 pokoi, kuchni, łazienki z WC oraz 2 przedpokoi o pow. użytkowej **51,56 m²**, położony na II piętrze budynku, zbywany wraz ze sprzedażą udziału w nieruchomości wspólnej, którą stanowi grunt oznaczony jako działki o numerze **1584/1 i 1584/2**, o łącznej pow. **0,1130 ha**, w obrębie 11 – Śródmieście (Kw. Nr BI1B/00017972/4) oraz części budynku i urządzenia, które nie służą wyłącznie do użytku właścicieli lokali.
2. **Cena wywoławcza: 484.100,00 zł.**
3. **Termin i miejsce przetargu: 13 sierpnia 2026 r. (czwartek) godz. 9^{00}, sala 10** Urzędu Miejskiego przy ul. Słonimskiej 1 w Białymstoku.
4. **Terminy okazania lokalu – 30 lipca 2026 r. w godz. 14^{30} – 15^{00} oraz 3 sierpnia 2026 r. w godz. 14^{30} – 15^{00}.**
5. **Wysokość wadium: 48.500,00 zł** do dnia **7 sierpnia 2026 r.** Za datę wpłaty uważać się będzie datę zaksięgowania wadium na rachunku bankowym sprzedającego.
6. **Informacja o miejscu wywieszenia i publikacji ogłoszenia o przetargu:** tablica ogłoszeń w siedzibie Urzędu Miejskiego w Białymstoku przy ul. Słonimskiej 1, oraz Internet, strony: www.bip.bialystok.pl – zakładka „Przetargi na nieruchomości" oraz www.bialystok.pl - zakładka „Dla mieszkańców" „Nieruchomości".
7. **Dane teleadresowe, pod którymi można uzyskać szczegółowe informacje:** Departament Skarbu Urzędu Miejskiego w Białymstoku, przy ul. Słonimskiej 1, pokój 703, tel. (85) 879-74-42.

Kraj/34437941

PREZYDENT MIASTA BĘDZINA

OGŁASZA

I przetarg ustny nieograniczony

na sprzedaż

nieruchomości zabudowanej o powierzchni 3928 m² oznaczonej numerem ewidencyjnym działki 346/49 obręb Grodziec, położonej w Będzinie w rejonie ulicy Barlickiego.

Dla nieruchomości prowadzona jest księga wieczysta KA1B/00015909/3.
W wyżej wymienionej księdze wieczystej brak jest wpisów obciążeń dla nieruchomości.
Nieruchomość nie jest przedmiotem zobowiązań.

Przeznaczenie nieruchomości w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego: pod tereny usługowe - symbol planu B1.U oraz niewielka część pod tereny dróg publicznych klasy zbiorczej - symbol planu 2.KDZ.

Nieruchomość zabudowana budynkami niemieszkalnymi znajdującymi się w bardzo złym stanie technicznym, który kwalifikuje budynki do rozbiórki. Decyzja o rozbiórce budynków nie została wydana.
Przez działkę gruntu o numerze 346/49 przebiegają sieć energetyczna napowietrzna oraz podziemna, sieć wodociągowa, sieć kanalizacyjna, dla których nie zostały ustanowione służebności przesyłu.

Cena wywoławcza nieruchomości wynosi 720 000,00 zł zw. z VAT
Cena nieruchomości uwzględnia koszty rozbiórki budynków.

Dostęp nieruchomości stanowiącej przedmiot przetargu do drogi publicznej ulicy Barlickiego odbywać się będzie na zasadzie służebności gruntowej polegającej na prawie przejazdu i przechodu po działce gminnej o numerze 346/34.

Jednorazowa odpłatność z tytułu ustanowienia służebności gruntowej wynosi 8 241,00 zł brutto

Cena sprzedaży nieruchomości oraz jednorazowa odpłatność z tytułu ustanowienia służebności gruntowej płatne są przez nabywcę przed zawarciem umowy sprzedaży nieruchomości.
Nabywca nieruchomości ponosi koszty opłat notarialnych i sądowych związanych z nabyciem nieruchomości oraz ustanowieniem służebności.

Wadium uprawniające do uczestnictwa w przetargu wnoszone w pieniądzu wynosi 80 000 PLN.
Przetarg odbędzie się w dniu 18 sierpnia 2026 r. o godz. 9:00 w siedzibie Urzędu Miejskiego w Będzinie ul. 11 Listopada 20, sala Nr 101.

OSOBY ZAINTERESOWANE UCZESTNICTWEM W PRZETARGU WINNY:
- **Zapoznać się z regulaminem przetargowym, zawierającym m. in. szczegóły związane z zagospodarowaniem nieruchomości dostępnym w Wydziale Gospodarki Nieruchomościami Urzędu Miejskiego w Będzinie ul. 11 Listopada 20, pokój 107 lub 113, I piętro oraz na stronie www.bedzin.bip.info.pl w zakładce Oferty Inwestycyjne/Przetargi – Nieruchomości;**
- **Najpóźniej do dnia 14 sierpnia 2026 r. wpłacić wadium w kwocie 80 000 PLN na konto depozytowe Urzędu Miejskiego w Będzinie – Wydziału Księgowo- Budżetowego w ING Banku Śląskim S. A. Oddział w Będzinie Nr 44 1050 1142 1000 0023 0074 0087. Wymagane jest aby w podanym terminie wadium znajdowało się na koncie organizatora przetargu.**

Uwaga ! Osoby, które wpłacą wadium po terminie wskazanym w ogłoszeniu nie zostaną dopuszczone do uczestnictwa w przetargu.

W przypadku nie przystąpienia przez osoby wygrywające przetarg do notarialnej umowy sprzedaży nieruchomości w terminie ustalonym przez zbywającego, Prezydent Miasta Będzina może odstąpić od zawarcia notarialnej umowy sprzedaży, a wpłacone wadium nie będzie podlegać zwrotowi.
Wszelkich informacji dotyczących przetargu udziela Wydział Gospodarki Nieruchomościami w Urzędzie Miejskim w Będzinie telefon 32 267 92 13 lub 32 267 91 50.
Prezydent Miasta Będzina zastrzega sobie możliwość odwołania przetargu.

Kraj/34437986

PREZYDENT MIASTA BĘDZINA

OGŁASZA

II przetarg ustny nieograniczony

na sprzedaż

nieruchomości niezabudowanej o łącznej powierzchni 1519 m² oznaczonej numerami ewidencyjnymi działek: 78 i 323 obręb Będzin, położonej w Będzinie w rejonie ulicy Namiarkowej.

Dla nieruchomości prowadzone są księgi wieczyste:
KA1B/00008857/1 – działka nr 78
KA1B/00011101/1 – działka nr 323

W wyżej wymienionych księgach wieczystych brak jest wpisów obciążeń dla nieruchomości.
Nieruchomość nie jest przedmiotem zobowiązań.
Dla w/w działek stanowiących całość gospodarczą przy umowie sprzedaży zostanie założona jedna księga wieczysta.

Przeznaczenie nieruchomości w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego: tereny zabudowy mieszkaniowej jednorodzinnej

Przez działkę gruntu o numerze 323 przebiegają w jej północno-zachodniej części dwie nitki infrastruktury technicznej w postaci sieci gazowej oznaczonej na mapie symbolami gsD100 niecz. i gsD110, dla których nie zostały ustanowione służebności przesyłu.

Cena wywoławcza nieruchomości wynosi 700 000,00 zł netto
Do ceny nieruchomości osiągniętej w przetargu doliczony zostanie podatek VAT w stawce 23%.

Dostęp nieruchomości stanowiącej przedmiot przetargu do drogi publicznej ulicy Namiarkowej odbywać się będzie na zasadzie służebności gruntowej polegającej na prawie przejazdu i przechodu po działce gminnej o numerze 324.

Jednorazowa odpłatność z tytułu ustanowienia służebności gruntowej wynosi 36 900,00 zł brutto

Cena sprzedaży nieruchomości oraz jednorazowa odpłatność z tytułu ustanowienia służebności gruntowej płatne są przez nabywcę przed zawarciem umowy sprzedaży nieruchomości oraz ustanowieniem służebności.
Nabywca nieruchomości ponosi koszty opłat notarialnych i sądowych związanych z nabyciem nieruchomości oraz ustanowieniem służebności.

Wadium uprawniające do uczestnictwa w przetargu wnoszone w pieniądzu **wynosi 100 000 PLN.**
Przetarg odbędzie się w dniu 18 sierpnia 2026 r. o godz. 10:00 w siedzibie Urzędu Miejskiego w Będzinie ul. 11 Listopada 20, sala Nr 101.

OSOBY ZAINTERESOWANE UCZESTNICTWEM W PRZETARGU WINNY:
- **Zapoznać się z regulaminem przetargowym, zawierającym m. in. szczegóły związane z zagospodarowaniem nieruchomości dostępnym w Wydziale Gospodarki Nieruchomościami Urzędu Miejskiego w Będzinie ul. 11 Listopada 20, pokój 107 lub 113, I piętro oraz na stronie www.bedzin.bip.info.pl w zakładce Oferty Inwestycyjne/Przetargi – Nieruchomości;**
- **Najpóźniej do dnia 14 sierpnia 2026 r. wpłacić wadium w kwocie 100 000 PLN na konto depozytowe Urzędu Miejskiego w Będzinie – Wydziału Księgowo- Budżetowego w ING Banku Śląskim S. A. Oddział w Będzinie Nr 44 1050 1142 1000 0023 0074 0087. Wymagane jest aby w podanym terminie wadium znajdowało się na koncie organizatora przetargu.**

Uwaga ! Osoby, które wpłacą wadium po terminie wskazanym w ogłoszeniu nie zostaną dopuszczone do uczestnictwa w przetargu.

W przypadku nie przystąpienia przez osoby wygrywające przetarg do notarialnej umowy sprzedaży nieruchomości w terminie ustalonym przez zbywającego, Prezydent Miasta Będzina może odstąpić od zawarcia notarialnej umowy sprzedaży, a wpłacone wadium nie będzie podlegać zwrotowi.
Wszelkich informacji dotyczących przetargu udziela Wydział Gospodarki Nieruchomościami w Urzędzie Miejskim w Będzinie telefon 32 267 92 13 lub 32 267 91 50.

Kraj/34437987

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

Kryzys polsko-ukraiński

Awantura o brygadę „bohaterów UPA”

Polska i Ukraina znalazły się w kryzysie najpoważniejszym od lat. Pogarszające się nastroje wobec sąsiada podkręca prawica. To cześć jej kapitału, który zbiera przed przyszłorocznymi wyborami. Prezydent mówi o teście dla rządu Donalda Tuska.

Agata Kondzińska, Iwona Szpala

Tąpnięcie w relacjach to efekt decyzji prezydenta Ukrainy. Wołodymir Zełenski nadał tytuł „Bohaterów UPA” elitarnej ukraińskiej jednostce. Może go to kosztować utratę orderu Orła Białego. Tego chce prezydent Karol Nawrocki, ma wsparcie całej prawej strony.

Dziś zbiera się Kapituła najwyższego polskiego odznaczenia. Poprosił o to Nawrocki, który samym pomysłem pozbawienia Zełenskiego orderu podzielił się w nietypowych okolicznościach – podczas spaceru po Krakowskim Przedmieściu. To nowy zwyczaj prezydenta, zagadywał ludzi, dopytywał o problemy, o ocenę Polski, z biegaczami nie do końca rozmowa wyszła, bo jak relacjonował dziennikarzom – mieli wyrzut endorfin. Było też o Zełenskim i planie odebrania mu odznaczenia. Jako pierwszy upomniał się o to polityk Konfederacji Grzegorz Płaczek, Nawrocki podchwycił myśl. Mówił pod Pałacem, że bardzo poważnie odniósł się do apelu narodu polskiego i posła Konfederacji. Przy okazji wrócił to sprawy członkostwa Ukrainy w UE, któremu od początku jest przeciwny. Dowodził, że na drodze do integracji stoi m.in ukraińska polityka historyczna.

– Niestety, prezydent Zełenski udowodnił, że Ukraina pod względem mentalnym, gloryfikowania bandytów, morderców z Ukraińskiej Powstańczej Armii nie jest gotowa do tego, aby być częścią rodziny europejskiej. Bo w rodzinie europejskiej bandytów i morderców, którzy mordowali kobiety i dzieci, mordowali Polaków, nie można gloryfikować, nie można gloryfikować UPA. I z wielkim smutkiem to przyjąłem, bo budowanie relacji polsko-ukraińskich, w sensie strategicznym wspieranie Ukrainy przeciwko Federacji Rosyjskiej, przeciwko bandycie, którym jest Władimir Putin, jest oczywiście strategicznym celem Rzeczypospolitej Polskiej. Ale tak nie buduje się relacji między narodami – stwierdził.

Jak ukarać Ukrainę?

Order nadał Zełenskiemu w 2023 r. Andrzej Duda, przy pełnej aprobacie PiS. Teraz partia Jarosława Kaczyńskiego zmienia front. Zrobiło się poważnie, na spotkaniu ścisłych władz partii politycy przegłosowali specjalną uchwałę wspierającą prezydenta. Kaczyński podbił więc rangę tematu. W kuluarach słychać, że w ten sposób Nowogrodzka chciała przebić konfederatów, którzy wywołali polityczną lawinę.

Co wiemy po wizycie Kyryła Budanowa
Propozycje są, ale niewystarczające

Strona ukraińska miała zaproponować modyfikację budzącej polski sprzeciw nazwy, tak, by nie kojarzyła się ze zbrodniami, które Ukraińska Powstańcza Armia popełniała na polskiej ludności, przede wszystkim rzezi wołyńskiej z 1943 r. – Taka wersja „UPA light” czyli „bohaterów UPA, ale nie tych, którzy zabijali Polaków” – mówi nam jeden z urzędników polskiego MSZ. Wp.pl doprecyzowała, że Ukraińcy byli skłonni zmienić nazwę na „Bohaterów UPA, którzy walczyli z okupacją sowiecką”.

– Rzeczywiście to szło w takim właśnie kierunku, ale nie padło nic konkretnego – opisuje dyplomata, który brał udział w piątkowych i sobotnich rozmowach z delegacją, na której czele stał gen. Kyrył Budanow, szef biura prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego. – Ale nawet ta złagodzona wersja nie została sformułowana jako deklaracja, coś, co by można negocjować. To zaledwie pomysł – mówi dyplomata. – Wciąż czekamy na ich propozycję. Czasu jest mało. Mam jeszcze jakąś nadzieję, ale niezbyt wielką – dodaje.

Budanow przyjechał do Warszawy w piątek. Wizytę zaczął od spotkań z wiceszefem MSZ Marcinem Bosackim i z koordynatorem służb specjalnych Tomaszem Siemoniakiem. W sobotę rozmawiał z prezydenckim ministrem Marcinem Przydaczem i z wicepremierem Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, kierującym resortem obrony narodowej.

– Ta wizyta nie jest zaplanowana i odbywa się na prośbę strony ukraińskiej. To pokazuje, że do władz Ukrainy dotarły polskie głosy oburzenia i zdają sobie sprawę z powagi sytuacji – ocenia rzecznik MSZ Maciej Wewiór.

Delegacja ukraińska wyjechała wczoraj.

– Sprawa pozbawienia Zełenskiego Orderu Orła Białego jest ważna, ale Ukraińcy mają znacznie więcej do stracenia – podkreśla jeden z naszych rozmówców z rządu. Jak mówi, nie chodzi tylko o pomoc, jaką Polska świadczyła i świadczy dla walczącej Ukrainy. Już niedługo (25-26 czerwca) ma się odbyć w Gdańsku Międzynarodowa Konferencja o Odbudowie Ukrainy. Polska, jako gospodarz, będzie tu odgrywać kluczową rolę. – Ukraińcy muszą oczyścić atmosferę przed tą konferencją. Do tego jesteśmy w przededniu rozpoczęcia rozmów o akcesji Ukrainy do Unii Europejskiej, pierwszy etap (tzw. pierwszy klaster) ma się zacząć już w lipcu – wylicza informator.

W oficjalnym komunikacie polski MSZ pisze m.in., że podczas spotkania z Budanowem „minister Bosacki przedstawił polskie stanowisko, podkreślając, że decyzja prezydenta Ukrainy wywołała ból i oburzenie w społeczeństwie polskim, które wspiera broniącą się Ukrainę od początku rosyjskiej agresji”.

• **Szef biura prezydenta Ukrainy Kyrył Budanow i wiceszef MSZ Marcin Bosacki** FOT. MINISTERSTWO SPRAW ZAGRANICZNYCH

O „ukraińskiej propozycji” nie podano żadnych informacji, poza tym, że Budanow „przedstawił pewne rozwiązania”.

– Ale dla nas są one niewystarczające. Nam chodzi o to, żeby po prostu nie było takiej nazwy jednostki. Jak to będzie wyglądać, jeśli akurat do „Brygady im. UPA” dotrze np. polski sprzęt? – podkreśla polityk z kręgu premiera Tuska.

„Pamięć o ofiarach Wołynia nie podlega negocjacjom. Są granice, których przekraczać nie wolno” – stwierdził po spotkaniu z Budanowem Władysław Kosiniak-Kamysz.

Zanim prezydent Karol Nawrocki ogłosi swoją decyzję, zbierze się Kapituła Orderu Orła Białego. Z wypowiedzi dwóch jej członków – Michała Kleibera i Bronisława Wildsteina – wynika, że nie są do końca zdecydowani, by poprzeć najbardziej radykalne rozwiązanie. – Jeżeli chcemy obronić pamięć walki ze Związkiem Sowieckim, tym bardziej powinniśmy ją oczyścić z tej zbrodni antypolskiej i ją rozliczyć. To jest program na lata i musimy się na to przygotować, ale musimy to już robić. Musimy oczekiwać gestów ze strony ukraińskiej, wstrzymywania się od gestów jak ten z nadaniem brygadzie imienia UPA – mówił Wildstein portalowi wpolityce.pl

Opinia Kapituły ma charakter doradczy. Nawrocki, do którego według ustawy o odznaczeniach należy decyzja o pozbawieniu orderu, może, ale nie musi uwzględnić jej głosu. ●

Wojciech Czuchnowski

1 RP

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

Kryzys polsko-ukraiński

• **Prezydent Ukrainy Wołodymir Zełenski na wspólnej konferencji prasowej z sekretarzem generalnym NATO Markiem Rutte w Kijowie, 3 czerwca 2026 r.**

FOT. REUTERS / THOMAS PETER

Dołączyli też posłowie Grzegorza Brauna przypominając, że to oni pierwsi ostrzegali przed Ukrainą.

W Sejmie poseł Włodzimierz Skalik apelował, by przegłosować uchwałę wzywającą Nawrockiego do odebrania Orła Białego. Skalik jest w szpicy antyukraińskich polityków, których gromadzi Braun. Ich główne hasło brzmi: to nie nasza wojna, żaden rząd – ani wcześniej Morawieckiego, ani dziś Tuska – nie powinien pomagać walczącej Ukrainie. We wrześniu, gdy Rosja wypuściła drony nad Polskę, obwiniał o prowokację Ukrainę.

Ludzie Brauna nie są sami. Lider Ruchu Narodowego Krzysztof Bosak, którego środowisko współtworzy Konfederację, stwierdził publicznie, że faktyczną represją po tym, co zrobił Zełenski, byłoby zamknięcie hubu transportowego w Jasionce. To droga, którą idą transporty broni na Ukrainę. Jest zgodny ze Skalikiem jeszcze w jednym temacie: należy skończyć z rozdawnictwem Orła Białego obcokrajowcom.

Pułapka na Tuska

Licytacja po prawej stronie trwa. Temat budzi emocje, a obok spraw godnościowych na drugim planie rozkręca się inna rozgrywka, obliczona na krajowe podwórko. Nawrocki, któremu ostatnio słabo szła konfrontacja z rządem, próbuje odwrócić kartę. Chce opowiedzieć tę historię czarno-biało: prezydent jako jedyny stoi na straży prawdy historycznej, nie pozwoli poniżać godności Polski, upomni się o pamięć ofiar Wołynia. A Tusk to polityk, który znowu kręci, nie ma jasnego stanowiska.

– Jeśli pokłócimy się o przeszłość, ktoś inny wygra przyszłość. Prezydent Ukrainy powinien to wreszcie rozumieć. Polski też. Zanim będzie za późno – to był pierwszy komentarz premiera po informacji o decyzji Zełenskiego i odpowiedzi Nawrockiego. Kilka dni później szef rządu mówił ostrzej: – Po tym nieszczęsnym zdarzeniu (...) zrozumiała była reakcja prezydenta Karola Nawrockiego – stwierdził. Dodał, że sam zareagowałby inaczej. Zwrócił się do „ukraińskich przyjaciół, że nikt nie podzieli polskiej opinii publicznej, nie tylko, jeżeli chodzi o wojnę rosyjsko-ukraińską, ale także, jeżeli chodzi o historię i przeszłość". I by szukała rozwiązania tej sytuacji, skoro sama do niej doprowadziła.

Nasi rozmówcy w rządzie przyznają, że sytuacja jest trudna. Nikt nie broni Zełenskiego, jeśli są pytania, to o motywacje prezydenta Ukrainy. Tu rozmowy toczą się w głębokich kuluarach, ścieżką dyplomatyczną. Chodzi o to, by nie stawiać Zełenskiego pod polityczną ścianą. Szef polskiej dyplomacji Radosław Sikorski mówi: błąd Ukrainy, mam nadzieję, że ta znajdzie sposób na korektę. Nie można pozwolić by rosyjska narracja i dezinformacja skłóciły sąsiadów. Wtedy stratna będzie i Ukraina, i Polska.

Przed fatalnymi skutkami trzymania się decyzji Zełenskiego ostrzegł też wicepremier i szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz. Że to nie tylko szkodzi relacjom obu państw, ale też samej Ukrainie, bo jej przeciwnicy zyskują argument, a wiadomo, że nie mają dobrych intencji, zależy im na poróżnieniu.

– Dla Polaków UPA nie jest neutralnym symbolem walki o wolność. Dla Polaków UPA jest przede wszystkim symbolem zbrodni dokonanych na bezbronnych cywilach. Tego bólu nie da się unieważnić. Ludobójstwo pozostaje ludobójstwem. Pamięć ofiar nie może być przedmiotem politycznego kompromisu – mówi w nagranym przesłaniu do Ukraińców. Przypomina rolę Polski: że stanęła po stronie Ukrainy od pierwszych dni wojny, otworzyła granice, szpitale, a ludzie – swoje domy. Przekazywała pomoc wojskową, humanitarną, logistyczną. – Polska pomoc dla Ukrainy nie oznacza, że Polska zapomniała o Wołyniu. Oznacza, że mimo tej tragicznej pamięci potrafiliśmy stanąć po stronie narodu napadniętego przez Rosję. Tym bardziej mamy prawo oczekiwać, że Ukraina uszanuje polską pamięć – mówi. I apeluje, by władze Ukrainy raz jeszcze zastanowiły się nad tym, co zaszło. I znalazły taką formę uhonorowania żołnierzy, która nie będzie ranić pamięci polskich ofiar. – Nie chodzi o upokorzenie Ukrainy. Chodzi o gest dojrzałości, odpowiedzialności i szacunku wobec narodu, który w momencie najtrudniejszym stanął przy Ukrainie – podsumował.

W piątek do Polski z misją łagodzenia sporu przyleciał gen. Kyrył Budanow, szef Kancelarii Prezydenta Ukrainy. Wizyta nie była wcześniej planowana, poprosiła o nią strona ukraińska. Nieoficjalnie słychać, że Budanow przywiózł „pewne rozwiązania" dotyczące zmiany nazwy elitarnej jednostki. Ale wizyta przełomu nie dała.

Konkretów nie przyniosło też spotkanie Budanow-Przydacz. Już po rozmowie prezydencki minister mówił, że ukraińska strona wie, jakie emocje UPA wywołuje w Polsce, i jest zainteresowana dialogiem. – Zadeklarowałem gotowość do dalszych rozmów – powiedział Marcin Przydacz.

Czy będzie potrzebna kontrasygnata?

Pałac wykorzystuje dystans Nawrockiego wobec Ukrainy. Prezydent do tej pory nie był w Kijowie, chociaż w 2022 r. Morawiecki i Kaczyński – ówczesny premier i wicepremier – jako pierwsi z Polski odwiedzili ukraińską stolicę, by wesprzeć zaatakowanego sąsiada. Nawrocki takiego gestu nie wykonał, na Załenskiego czekał w Warszawie, oczekiwał podziękowań za polską pomoc.

Dziś zbiera się Kapituła Orderu Orła Białego

Teraz Pałac czeka na ruch Ukrainy. Szef biura polityki międzynarodowej Marcin Przydacz opowiedział, jak miałoby to wyglądać. Prezydent Ukrainy dzwoni do prezydenta Polski i po pierwsze przeprasza, po drugie – tłumaczy całe to napięcie. Bo z pewnością nie zrobi tego Karol Nawrocki. Według prezydenckiego eksperta od polityki zagranicznej cała sprawa może być związana z przyszłymi wyborami w Ukrainie. Przydacz podrzucił też inną myśl: – Być może też Ukraińcy uznali, że podzielą polską scenę polityczną – stwierdził.

Na razie testy przeprowadza Pałac, prezydencki minister Zbigniew Bogucki już opowiada, że ewentualną decyzję o odebraniu odznaczenia musi potwierdzić premier.

– Ja za kwestie orderowe, odznaczeniowe w kancelarii bezpośrednio nie odpowiadam. Natomiast jeżeli spojrzeć na konstrukcję postanowienia prezydenta o nadaniu orderów, to jest to prerogatywa prezydencka wynikająca z konstytucji. Tu prezydent działa samodzielnie – objaśniał Bogucki w „Super Expressie". I mówił, jak sprawy się mają przy odbieraniu odznaczenia, po decyzji kapituły. – Wydaje się, że to nie jest bezpośrednio wskazane w konstytucji, a w tym wypadku najprawdopodobniej potrzebna będzie kontrasygnata premiera – przekonywał. I dodał, że jeśli taka interpretacja będzie obowiązującą – stanie się dla Tuska sprawdzianem.

Więcej wyjaśnił sam Przydacz. Że nie wyobraża sobie, by Tusk blokował Nawrockiego. – Nie wyobrażam sobie tego z szacunku dla stu kilkudziesięciu tysięcy pomordowanych Polaków i ich rodzin. Wydaje mi się, że Donald Tusk musi mieć elementarne wyczucie w tej sprawie i nie będzie stawał po stronie tak zwanych bohaterów z UPA, tylko stanie po stronie polskich ofiar – przekonywał w Polsacie.

Przydacz miał też kilka porad dla koalicji. Najlepiej, by marszałek Sejmu wprowadził pod obrady projekt Nawrockiego, który do katalogu przestępstw ściganych z urzędu dopisuje propagowanie banaryzmu – obok faszyzmu i komunizmu. Przepisy są wspólnym dziełem Karola Nawrockiego z czasów jego prezesury IPN i Przemysława Czarnka, posła PiS, dziś kandydata na przyszłego premiera.

Ta próba powrotu do tematu tym razem ma być wzmocniona lokalnie. PiS zaczyna w jednym ze swoich mateczników na ścianie wschodniej. Prezydent Chełma i doradca Nawrockiego Jakub Banaszek już zbiera podpisy pod obywatelskim projektem zakazu propagowania banderyzmu.

Nastroje Polaków wobec Ukraińców pogarszają się z każdym rokiem, z fali wsparcia z roku 2022 zostało niewiele. Dziś 43 proc. Polaków jest niechętne sąsiadowi. ●

OGŁOSZENIE PŁATNE Kraj/34437872

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym Katowice – Zachód w Katowicach pod sygn. akt I Ns 371/20 toczy się z wniosku Barbary Frances Percy, Dorothy Mary Ortiz, Anny Makuch, Izabeli Olszewskiej, Eugenii Olszewskiej z udziałem Ewy Giełażyn, Adama Giełażyn, kuratora spadku Janiny Kupny postępowanie

o stwierdzenie nabycia spadku po:

1) **Wacławie Bednarskim**, synu Józefa i Teofili z domu Matys, ur. 24.09.1903 roku w Zawierciu, zm. 26.06.1981r. w Dover Township (USA), mającym ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Berkeley Township (USA);
2) **Kamili Bednarskiej** z domu Trzepierczyńskiej, córce Władysława i Walentyny z domu Gorewicz, ur. 26.03.1907 w Karbowo, zm. 08.08.1989r. w Berkeley Township (USA), mającej ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Berkeley Township (USA);
3) **Irene Novak** z domu Hinkelman, ur. 14.12.1905r., zm. 06.06.1995r. w Poway (USA), obywatelce amerykańskiej, ostatnio stale zamieszkałej w Escondido (USA).

Wnioskodawcy wnieśli o stwierdzenie nabycia spadku po Wacławie Bednarskim i Irene Novak na podstawie ustawy, a po Kamili Bednarskiej na podstawie testamentu z dnia 23 listopada 1970 roku. Wzywa się, aby spadkobiercy w ciągu 3 miesięcy od dnia ukazania się tego ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

OGŁOSZENIE PŁATNE Kraj/34437916

W postępowaniu upadłościowym F.B.I. Tasbud S.A. w upadłości (sygn. akt WA1M/GUp/17/2025) **Syndyk podaje do wiadomości publicznej o prowadzonym konkursie ofert na sprzedaż zorganizowanej części przedsiębiorstwa**

1. Przedmiotem konkursu ofert jest zorganizowana część przedsiębiorstwa F.B.I. Tasbud S.A. w upadłości, w skład którego wchodzi:

a) prawo własności nieruchomości gruntowej stanowiącej działkę ewidencyjną o numerze 20/6 z obrębu 0008 Michałówek o powierzchni 64 487 m2, położonej w województwie mazowieckim, powiecie płońskim, w gminie Załuski, zabudowanej budynkami przedsiębiorstwa F.B.I. Tasbud S.A., objętej KW o nr PL1L/00012025/9 za cenę nie niższą niż 17.184.883,45 zł (słownie: siedemnaście milionów sto osiemdziesiąt cztery tysiące osiemset osiemdziesiąt trzy złote 45/100) netto,
b) prawo własności nieruchomości gruntowej stanowiącej działkę ewidencyjną o numerze 20/5 z obrębu 0008 Michałówek o powierzchni 64 486 m2, położonej w województwie mazowieckim, powiecie płońskim, w gminie Załuski, zabudowanej budynkami gospodarskimi do rozbiórki, objętej KW o nr PL1L/00057088/5 za cenę nie niższą niż 929.480,33 zł (słownie: dziewięćset dwadzieścia dziewięć tysięcy czterysta osiemdziesiąt złotych 33/100) netto,
c) prawo własności nieruchomości gruntowej niezabudowanej, stanowiącej działkę ewidencyjną o numerze 11/3 (obręb 1-10-05) o powierzchni 1 106 m2, położonej w Warszawie w Dzielnicy Bielany przy ul. Dzierżoniowskiej, objętej KW o nr WA1M/00113106/2 za cenę nie niższą niż 1.487.040,96 zł (słownie: jeden milion czterysta osiemdziesiąt siedem tysięcy czterdzieści złotych 96/100) netto,
d) prawo użytkowania wieczystego nieruchomości gruntowej niezabudowanej, stanowiącej działki ewidencyjne o numerach 68 (obręb 1-10-03) i 86 (obręb 1-10-04) o łącznej powierzchni 1 103 m2, położonej w Warszawie w Dzielnicy Bielany przy ul. Anny Jagiellonki, objętej KW o nr WA1M/00535978/9 za cenę nie niższą niż 1.034.880,56 zł (słownie: jeden milion trzydzieści cztery tysiące osiemset osiemdziesiąt złotych 56/100) netto,
e) ruchomości, szczegółowo opisane w Załączniku nr 1, stanowiącego integralną część regulaminu konkursu ofert, za łączną cenę nie niższą niż 2.344.559,07 zł (słownie: dwa miliony trzysta czterdzieści cztery tysiące pięćset pięćdziesiąt dziewięć złotych 7/100).
f) prawo własności intelektualnej do wzoru użytkowego "narożna krawędź warstwowej ściany prefabrykowanej żelbetowej", zarejestrowanego uprzednio w Urzędzie Patentowym Rzeczypospolitej jako wzór 70927 za cenę nie niższą niż 6.734,30 zł (słownie: sześć tysięcy siedemset trzydzieści cztery złote 30/100) netto,
g) prawo własności intelektualnej do wynalazku "złącze do łączenia prefabrykowanych elementów ściennych", zarejestrowanego uprzednio w Urzędzie Patentowym Rzeczypospolitej jako wzór 239479 za cenę nie niższą niż 12.421,33 zł (słownie: dwanaście tysięcy czterysta dwadzieścia jeden złotych 33/100).

Tj. łączna minimalna cena sprzedaży wynosi 23.000.000,00 zł (słownie: dwadzieścia trzy miliony złotych) netto.

2. **Pisemne oferty** w języku polskim należy składać **do dnia 21 lipca 2026 roku** na adres Kancelarii Wspólnicy. Malecha Krzemiński Noga Kancelaria Prawnicza sp.j., ul. Puławska 99a, I piętro, 02-595 Warszawa.
3. **Wymagane wadium w wysokości 2.500.000,00 zł (słownie: dwa miliony pięćset tysięcy złotych 00/100).**
4. **Otwarcie i rozpoznanie ofert nastąpi** w kancelarii Notarialnej Sądel-Bendkowska, Perczyńska, Konończuk, Żuława spółka partnerska przy ul. Okopowej 58/72 (budynek KLIF Tower, 3. piętro), 01-042 Warszawa, **dnia 23 lipca 2026 roku o godzinie 14:00.**
5. Regulamin konkursu ofert, opis i oszacowanie przedmiotu konkursu ofert oraz dodatkowe informacje dostępne w kancelarii Syndyka: ul. Puławska 99a, I piętro, 02-595 Warszawa, pod numerem tel. (22) 375 73 80 lub poprzez e-mail: sekretariat@wmkn.pl

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

E-rejestracja znów odłożona

Jeszcze we wtorek na zorganizowanej z rozmachem konferencji Ministerstwo Zdrowia chwaliło się rychłym wdrożeniem centralnej e-rejestracji. Dzień później miało już gotowy projekt rozporządzenia opóźniającego ją o kolejne trzy miesiące.

Judyta Watoła

• **Wiceminister Tomasz Maciejewski podczas konferencji Perspektywy e-Zdrowia, organizowanej przez Ministerstwo Zdrowia oraz Centrum e-Zdrowia** FOT. MARIUSZ BODNAR/MINISTERSTWO ZDROWIA

Wtorkowa konferencja zorganizowana w Centrum Eventowym Butelkownia nosiła tytuł „Perspektywy e-zdrowia". Jej najważniejszym uczestnikiem był wiceminister Tomasz Maciejewski odpowiedzialny w kierownictwie Ministerstwa Zdrowia właśnie za cyfryzację. Na tle ściany, na której wyświetlały się informacje o kolejnych planach Centrum e-Zdrowia, wiceminister mówił o sukcesach Polski na tym polu.

– W tej chwili staramy się o to, żeby w Polsce otworzyło swoją siedzibę biuro WHO, które zajmuje się szczególnie kwestiami sztucznej inteligencji – powiedział.

Dzień później podpisał projekt rozporządzenia o odłożeniu o trzy miesiące wdrożenia centralnej e-rejestracji, uzasadniając to kłopotami... ze sztuczną inteligencją!

Pytam osobę z branży: po co ogłaszać sukces na dzień przed ogłoszeniem porażki? – Skoro to było zaplanowane, opłacone, to trzeba było to zrobić – odpowiada.

Miało być szybko i łatwo

Wprowadzenie centralnej e-rejestracji to jeden ze stu konkretów na sto pierwszych dni rządzenia obiecanych przez Koalicję Obywatelską w kampanii wyborczej w 2023 r. Minister Izabela Leszczyna przekonywała, że to łatwe i skróci kolejki do lekarzy.

W największym skrócie centralna e-rejestracja dla wszystkich specjalistów miała wglądać tak jak rejestrowanie się w pandemii na szczepienia przeciw COVID-19. Korzystając z IKP, czyli internetowego konta pacjenta, z łatwością wyszukiwaliśmy wówczas wolne terminy bliżej lub dalej od miejsca zamieszkania. A nawet jeśli ktoś zapisywał się na szczepienie telefonicznie, informacja o jego terminie i tak musiała znaleźć się w systemie.

Tak samo według przedwyborczych obietnic miały wyglądać zapisy do wszystkich specjalistów. To, co miało być łatwe, okazało się trudne. Dotychczas wdrożono e-rejestrację na bardzo niewielką skalę. Można się w ten sposób zarejestrować tylko na mammografię i cytologię oraz do kardiologa. A i to w ograniczonym zakresie, bo nie wszystkie placówki, które wykonują mammografię, cytologię i udzielają porad kardiologicznych, wdrożyły u siebie e-rejestrację. W kardiologii elektronicznie umawiana jest tylko co setna wizyta.

Ministerstwo zasłania się botem, eksperci nie wierzą

Pół roku temu uchwalono jednak nowelizację ustawy zdrowotnej. Miała przynieść przyspieszenie. Ministerstwo wydało rozporządzenie, zgodnie z którym od 1 lipca miał wejść w życie obowiązek umawiania wszystkich wizyt u kardiologa oraz wszystkich cytologii i mammografii przez centralną e-rejestrację. Żeby zmusić do tego „opierające się" placówki wprowadzono też przepis, zgodnie z którym NFZ miał przestać płacić za wizyty nieumówione przez centralną e-rejestrację

Z początkiem sierpnia centralna e-rejestracja miała obowiązywać przy umawianiu się do poradni chirurgii naczyniowej, chorób zakaźnych, endokrynologicznej, hepatologicznej, immunologicznej, leczenia mukowiscydozy, nefrologicznej, neonatologicznej i pulmonologicznej.

O tym wszystkim także była mowa na wtorkowej konferencji o sukcesach Polski w cyfryzacji zdrowia. W piątek 5 czerwca, kiedy na stronach Rządowego Centrum Legislacji ukazał się projekt rozporządzenia podpisany przez wiceministra Maciejewskiego, okazało się, że wszystkie te terminy po raz kolejny zostają przesunięte.

Powód? „Uruchomienie funkcjonalności asystenta głosowego opartego na rozwiązaniach sztucznej inteligencji i zapewnienie skutecznego działania wymaga dostosowania infrastruktury centralnej elektronicznej rejestracji i zapewnienia adekwatnej obsługi świadczeniobiorców" – czytamy w uzasadnieniu do projektu.

Chodzi o to, że ma do nas dzwonić bot i przypominać o planowanej wizycie, a w razie, gdy z niej zrezygnujemy, być może pomoże nam umówić nową. Z uzasadnienia wynika, że Centrum e-Zdrowia potrzebuje dodatkowego czasu na „wytrenowanie" bota.

Centralna e-rejestracja może jednak działać bez asystenta głosowego. Można by go było dodać jako nową funkcję później. Dlatego nasi rozmówcy z branży informatycznej twierdzą, że potrzeba „wytrenowania" bota to tylko pretekst. – W rzeczywistości nie są jeszcze gotowi. Powiem więcej, oni w ogóle nie mają kim robić – mówi nam informatyk pracujący na zlecenie CeZ.

Wprowadzenie centralnej e-rejestracji to jeden ze stu konkretów na sto pierwszych dni rządzenia obiecanych przez Koalicję Obywatelską w kampanii wyborczej w 2023 r.

Leszczyna chciała tańszego e-zdrowia

Nasz rozmówca praprzyczyny upatruje w unieważnieniu przetargu na tzw. body leasing, czyli wynajmowanie programistów na godziny. Polecenie w tej sprawie wydała w lipcu 2024 r. ówczesna minister zdrowia Izabela Leszczyna. Twierdziła, że body leasing jest za drogi.

– Problem, jaki mam z Centrum e-Zdrowia, polega na tym, że moi poprzednicy – nie wiem, czy przez brak nadzoru, czy przez celowe działanie – wyprowadzili cały szereg zadań, i w związku z tym kompetencji, z Centrum e-Zdrowia na zewnątrz. Wydałam polecenie unieważnienia przetargu na 270 mln zł, który betonował ten stary system, kiedy nadzór nad CeZ prowadził między innymi pan minister od respiratorów i receptomatów – tłumaczyła.

Przetarg w jej ocenienie został ustawiony, bo tylko „dwie czy trzy firmy" funkcjonujące w Polsce spełniały warunki. Skarb państwa mógł stracić ponad 100 mln zł. – Jesteśmy w stanie zrobić wszystko to samo, zatrudniając ludzi – wysokiej rangi, fachowców, informatyków – w Centrum e-Zdrowia. I właśnie ten proces się rozpoczął – zapewniła jeszcze.

Rozmówca z branży: – Przetarg można było uznać za ustawiony, to fakt. I te firmy ciągnęły mnóstwo kasy z CeZ. Ale dzięki temu, że to były dla nich tak dobre kontrakty, to starały się dowozić. Małe firmy wybrane w kolejnym przetargu mają stawki o połowę mniejsze od poprzedników, ale robią wszystko trzy razy dłużej albo w ogóle nie dowożą. Koniec końców wychodzi jeszcze drożej.

Inna osoba związana z CeZ twierdzi, że w samym centrum, jak i wśród programistów, którzy z nim współpracują, drastycznie brakuje fachowców od rozwiązań dotyczących zdrowia. – Jakość tego, co dostaje CeZ od swoich obecnych podwykonawców, jest tak żałosna, a błędów w oprogramowaniu tyle, że szkoda nawet czasu na realizowanie na tych programach jakichś scenariuszy testowych – tłumaczy.

Kto i kiedy rozliczy pieniądze z KPO?

Centralna e-rejestracja i inne projekty dotyczące e-zdrowia zostały zapisane w KPO. Kwota 3 mld zł została podzielona. Część Ministerstwo Zdrowia rozdzieliło w konkursie na cyfryzację w placówkach medycznych. Łukasz Sosnowski, z zawodu politolog, którego wiceminister Maciejewski uczynił jesienią dyrektorem departamentu e-zdrowia w MZ, bardzo chce ogłosić, że to sukces. Stąd między innymi wtorkowa konferencja, na której Sosnowski podkreślał, że Polska jest liderem w e-zdrowiu.

Z drugiej strony Sosnowski nie chce podpisywać rozliczeń projektów, na które jego departament przyznał pieniądze. Naczelnik, któremu udzielił w tej sprawie pełnomocnictwa, postanowił się zwolnić.

– Nie lepiej z realizacją projektów z zakresu cyfryzacji jest w Centrum e-Zdrowia. Dostali grubo ponad miliard, ale jak na razie to tam nie ma jeszcze czego rozliczać. Wszystko w powijakach – słyszymy w MZ. Powodem tak trudnej sytuacji są – obok unieważnienia przetargu na body leasing i zatrudnienia tańszych, ale słabszych programistów – także częste zmiany kadrowe. Odkąd KO przejęła władzę, CeZ ma już czwartego dyrektora. Jarosław Sot, który został powołany w kwietniu, to finansista, bez doświadczenia w informatyzacji. Z informacji, jakie udostępnił na platformie LinkedIn wynika, że na ogół nie zajmuje żadnej posady dłużej niż rok i kilka miesięcy. ●

www.nekrologi.wyborcza.pl/34438028

Z żalem zawiadamiamy, że dnia 30 maja 2026 roku
odeszła Nasza ukochana Mama i Babcia

Małgorzata Oleśkowicz-Popiel

Msza żałobna zostanie odprawiona
w dniu 9 czerwca o godzinie 11:00
w Kościele pw. Chrystusa Dobrego Pasterza
przy ul. Nowina w Poznaniu.
Po mszy nastąpi ceremonia pogrzebowa na cmentarzu parafialnym
p.w. Najświętszego Serca Jezusa i św. Floriana.

W smutku pogrążone

Dzieci z rodzinami

1 RP

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

Ziobro i Romanowski nadal z azylem na Węgrzech

Prawie miesiąc po przejęciu władzy na Węgrzech przez nową ekipę Zbigniew Ziobro i Marcin Romanowski nadal mają w tym kraju azyl polityczny. Strona polska nie wie, skąd bierze się ta zwłoka.

Wojciech Czuchnowski

• **Zbigniew Ziobro i Marcin Romanowski** FOT. MACIEK JAŹWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Pozbawienie azylu obu posłów PiS nowy szef węgierskiego rządu Peter Magyar zapowiadał jeszcze przed wyborami. Mówił, że Węgry „nie mogą być schronieniem dla przestępców chroniących się za azylem politycznym". Swoją deklarację powtórzył i po zwycięstwie, gdy 19 maja przyjechał z wizytą do naszego kraju.

Komplet dokumentów dotyczących zarzutów, jakie ciążą na byłym ministrze sprawiedliwości i jego zastępcy, strona polska przesłała na Węgry, gdy tylko 9 maja Magyar przejął władzę z rąk ekipy Viktora Orbána. Tego samego dnia obaj azylanci zniknęli z Budapesztu. Ziobro jest w USA, miejsce pobytu Romanowskiego jest nieznane.

„Sytuacja jest niezręczna"

Dzisiaj sytuacja wygląda tak, że polskie MSZ nie ma od Węgrów żadnego potwierdzenia, że azyl został uchylony. Z czego to wynika? – O tym decyduje tam Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Wniosek z naszego Ministerstwa Sprawiedliwości poszedł. Nasze [MSZ] wsparcie też – mówi anonimowe źródło w resorcie spraw zagranicznych.

Również polskie Ministerstwo Sprawiedliwości nie ma od Węgrów żadnej informacji na temat statusu Ziobry i Romanowskiego. – Tak naprawdę sytuacja jest taka sama jak za rządów Orbána. Mamy tylko potwierdzenie z UE, że „dwaj polscy obywatele korzystają z azylu na Węgrzech" – opisuje jeden z urzędników resortu. Nasi rozmówcy przyznają, że „sytuacja jest niezręczna".

Formalnie sprawa wydaje się prosta. Decyzja o cofnięciu azylu należy do kierownictwa węgierskiego rządu. A ten – zgodnie z zapowiedzią – podejmie ją „wobec stwierdzenia nadużycia procedury azylowej". Czyli uzna, że azyl został przyznany niesłusznie, po to, by chronić politycznych sojuszników Orbána przed odpowiedzialnością karną. MSW, a dokładnie węgierski urząd ds. cudzoziemców, tylko wykonuje polecenie i uchyla azyl. Informacja o tym zostaje przesłana do Unii Europejskiej i wiąże się z unieważnieniem tzw. paszportu genewskiego, którym posługują się osoby o statusie uchodźcy politycznego w państwie UE. Jak mówił wiceminister sprawiedliwości Dariusz Mazur, przez to, że Ziobro dostał azyl, sąd w Polsce nie mógł wydać na niego Europejskiego Nakazu Aresztowania. Z paszportem genewskim i statusem uchodźcy państwa UE Ziobro jest wolnym człowiekiem, a Polska nie może nawet wystąpić do USA o jego ekstradycję.

Romanowski najbezpieczniejszy na Węgrzech

Inaczej jest z Romanowskim. Na nim ciąży ENA. Jak mówi „Wyborczej" wiceminister Mazur, kraje, które są sygnatariuszami ENA, powinny respektować nakaz i zatrzymać Romanowskiego, mimo że ma status uchodźcy politycznego i paszport genewski. Z tego powodu dla Romanowskiego krajem najbardziej bezpiecznym są nadal Węgry. Tam też – gdy wreszcie odbiorą mu azyl – będzie mógł odwoływać się od tej decyzji do sądu i liczyć na to, że do czasu rozpatrzenia odwołania nie będzie zatrzymany.

Pozbawienie azylu obu posłów PiS Peter Magyar zapowiadał jeszcze przed wyborami

ENA nie działa w Serbii, Ukrainie i Gruzji. Te trzy kraje wymieniane są jako możliwe miejsca pobytu Romanowskiego. Portal wpolityce.pl utrzymywał, że Romanowski razem z Ziobrą jest w USA. Ale nie ma na to żadnych dowodów.

Na Węgrzech Ziobro i Romanowski nie są najbardziej znanymi azylantami ekipy Orbána. Pierwsze miejsce ma tutaj Nikola Grujewski, były szef rządu Macedonii, który uciekł ze swojego kraju przed zatrzymaniem za ogromną korupcję. W 2018 r. przedostał się na Węgry opancerzonym mercedesem. Tam przyjął go rząd Orbána. To właśnie Grujewski jest symbolem nadużywania polityki azylowej przez poprzednią ekipę. Ale jego pozycja prawna jest mocniejsza niż polskich posłów. Bo Orbán najpierw przyznał mu azyl, a potem nadał obywatelstwo Węgier, co znacznie utrudnia ekstradycję.

Pieniądze z Zondacrypto na obronę Ziobry

Ostatni raz publicznie Romanowski odezwał się 14 maja. Nie powiedział, gdzie jest, stwierdził tylko, że nadal będzie „walczył z kryptodyktaturą Tuska". Inaczej Ziobro – były minister sprawiedliwości i prokurator generalny potwierdził, że jest w USA, a TV Republika ogłosiła, że będzie jej komentatorem. W USA Ziobro korzysta z wizy dziennikarskiej. Odzywa się co jakiś czas.

Ostatnio zabrał głos po ujawnieniu najnowszych oświadczeń majątkowych. W tym, które złożył Ziobro, jest informacja, że pożyczył 57 tys. zł z założonej przez siebie Fundacji Instytut Polski Suwerennej. To część z 450 tys. zł, jakie Fundacja dostała od Przemysława Krala, prezesa Zondacrypto. Spółka oszukała ok. 30 tys. inwestorów, a przed ucieczką Krala z Europy wspierała PiS i kampanię Karola Nawrockiego. Gdy o pożyczce napisały media, Ziobro odpowiedział na X. Stwierdził, że pieniądze przeznaczył na adwokata i odda je z 50 proc. narzutem. Kierując swoje słowa bezpośrednio do Donalda Tuska, którego nazwał „królem szajki i złodziejskiego układu", napisał: „Wszystko wpisałem jawnie do oświadczenia – czarno na białym. Bo zawsze działałem zgodnie z prawem i transparentność poselskich oświadczeń to dla mnie zaleta. To Ty sfabrykowanym śledztwem nielegalnie przejętej prokuratury pozbawiłeś mnie i wielu ludzi środków do życia. Przez blokadę konta i nieruchomości nie mogę wziąć kredytu w banku, żebym mógł zapłacić obrońcy. To przez Ciebie byłem zmuszony zaciągnąć zobowiązanie, które jawnie ująłem w oświadczeniu".

Według premiera Tuska pieniądze od Krala miały – via Fundacja Suwerennej Polski – pójść też na obronę innego posła PiS, Dariusza Mateckiego. Ale w oświadczeniu majątkowym Matecki nic o tym nie wspomina. ●

1 RP

OGŁOSZENIE PŁATNE Kraj/34438024

RUDA SBM

SPÓŁDZIELNIA BUDOWLANO-MIESZKANIOWA „RUDA"

01-684 Warszawa, ul. Klaudyny 18a, tel. (22) 833 59 09; 833 91 79; faks (22) 833 61 27
e-mail: techniczny@sbmruda.pl

Ogłasza następujące przetargi nieograniczone:

1. **Wykonanie wymiany drzwi stalowych na drzwi aluminiowe przeciwpożarowe o klasie odporności ogniowej EI 30S (19 szt.), oraz o klasie odporności ogniowej EI 60S (1 szt.) oddzielających klatkę schodową od korytarza w budynkach Klaudyny 12, Klaudyny 14, Klaudyny 16, Klaudyny 18, Klaudyny 28, Klaudyny 32, Klaudyny 34, Klaudyny 36, Gwiaździsta 25, Gwiaździsta 27, Gwiaździsta 29, Gwiaździsta 31, Gwiaździsta 33.**

- Miejsce realizacji zamówienia**: Warszawa Bielany**
- Wymagany termin realizacji **31.10.2026 r.**
- Wadium - **10 000,- zł**
- Specyfikację istotnych warunków zamówienia w cenie 100 zł można odebrać po dokonaniu wpłaty na konto Zamawiającego (nr. 33 1020 1156 0000 7102 0006 6209) – w sekretariacie pok. 18 lub otrzymać mailowo po przesłaniu potwierdzenia przelewu lub otrzymać mailowo po przesłaniu potwierdzenia przelewu
- Oferty należy składać w siedzibie zamawiającego – pok. 18 sekretariat.
- Termin składania ofert upływa w dniu **29.06.2026 r. o godz. 15^{00}**
- Otwarcie ofert nastąpi w dniu **29.06.2026 r. o godz. 16^{00}** w siedzibie Zamawiającego – sala konferencyjna.

Osobami uprawnionymi do kontaktów z oferentami są:
- Katarzyna Conder z – ca Kierownika Działu Technicznego - tel. 504 190 644
- Jan Tymoszuk Inspektor ds. Zasobów - tel. 504 191 961

Postępowania nie zostały poprzedzone wstępnymi kwalifikacjami.

Kryteria wyboru ofert i ich znaczenie:
- cena – 70 %
- okres gwarancji – 10%
- ocena doświadczenia Wykonawcy - referencje – do 5%

Spółdzielnia zastrzega sobie prawo unieważnienia przetargów bez podania przyczyny.

Z dwoma lub trzema oferentami, którzy złożą najkorzystniejsze oferty zostaną przeprowadzone negocjacje cenowe.

OGŁOSZENIE PŁATNE Kraj/34437569

OBWIESZCZENIE
MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO
z dnia 8 czerwca 2026 roku

na podstawie art. 160i ust. 2 pkt 1 ustawy z dnia 20 lutego 2015 r. o odnawialnych źródłach energii (t.j. Dz. U. z 2026 r. poz. 68) oraz art. 39 ust. 1 pkt 1 i 3 w związku z art. 3 ust. 1 pkt 14, art. 46 ust. 1 pkt 2 oraz art. 54 ust. 2 ustawy z dnia 3 października 2008 r. o udostępnianiu informacji o środowisku i jego ochronie, udziale społeczeństwa w ochronie środowiska oraz o ocenach oddziaływania na środowisko (t.j. Dz. U. z 2024 r. poz. 1112 z późn zm.)

zawiadamiam o podjęciu przez Sejmik Województwa Pomorskiego uchwały Nr 307/XXVI/26 z dnia 25 maja 2026 r. **w sprawie przystąpienia do sporządzenia *planu obszarów przyspieszonego rozwoju instalacji odnawialnego źródła energii w zakresie energii wiatru na lądzie.***

Jednocześnie informuję, że wszczęto postępowanie w sprawie przeprowadzenia strategicznej oceny oddziaływania na środowisko, w tym sporządzenia *Prognozy oddziaływania na środowisko* dla Projektu *planu obszarów przyspieszonego rozwoju instalacji odnawialnego źródła energii (Planu OPRO) w zakresie energii wiatru na lądzie.*

Zapraszam zainteresowanych do składania wniosków do *Planu OPRO w zakresie energii wiatru na lądzie* oraz *Prognozy oddziaływania na środowisko dla* Projektu *Planu OPRO w zakresie energii wiatru na lądzie.* Wnioski można składać w terminie **do 8 lipca 2026 roku.**

Wnioski do *Planu OPRO w zakresie energii wiatru na lądzie i Prognozy oddziaływania na środowisko dla tego dokumentu* można składać w postaci:

– papierowej do Marszałka Województwa Pomorskiego na adres: Pomorskie Biuro Planowania Regionalnego ul. Straganiarska 24-27, 80-837 Gdańsk,

– ustnie do protokołu,

– za pomocą poczty elektronicznej na adres: **plan.opro@pbpr.pomorskie.pl**

– poprzez e-doręczenia na adres: AE:PL-88408-15010-AIBEJ-12.

Składający wniosek podaje: swoje imię i nazwisko/nazwę organu składającego wniosek/nazwę podmiotu oraz adres zamieszkania/siedziby organu lub podmiotu, a także adres poczty elektronicznej bądź adres e-doręczeń.

Wnioski złożone po upływie wyżej podanego terminu pozostaną bez rozpatrzenia.

UWAGA: Liczy się data wpływu wniosku do Pomorskiego Biura Planowania Regionalnego, a w przypadku przesyłek nadanych listownie data nadania i stempla pocztowego.

Z dokumentacją sprawy można zapoznać się w Pomorskim Biurze Planowania Regionalnego w Gdańsku oraz w Oddziale Biura w Słupsku w godzinach 8.00 – 15.00.

MARSZAŁEK WOJEWÓDZTWA
Mieczysław Struk

Klauzula informacyjna dotycząca przetwarzania danych osobowych dostępna jest na stronie:
https://pbpr.pomorskie.pl/wp-content/uploads/2026/05/klauzula_rodo_plany_opro.pdf

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

• 6 czerwca 2025 roku, Colleville-sur-Mer we Francji. Sekretarz Obrony USA Pete Hegseth składa wieniec na Normandzkim Cmentarzu Amerykańskim podczas obchodów 81. rocznicy lądowania aliantów w Normandii FOT. KIRAN RIDLEY/ GETTY IMAGES

Pete Hegseth i J.D. Vance zaatakowali Europę

Sekretarz Obrony USA w trakcie obchodów D-Day we Francji, postanowił ponownie pouczyć Europejczyków o sytuacji w ich krajach.

Jakub Jessa

– Niestety, dziś europejskie plaże są szturmowane przez różne, niebezpieczne ideologie. Na plażach Hiszpanii, Włoch, Grecji i Bułgarii pojawiają się łodzie i ludzie – stwierdził Pete Hegseth, przemawiając na cmentarzu amerykańskich żołnierzy w normandzkim Colleville-sur-Mer. – Czy jest już za późno? Mam nadzieję, że nie. I wierzę, że nie – zastanawiał się sekretarz obrony USA podczas obchodów 82. rocznicy lądowania w Normandii.

Jak wskazuje Associated Press, choć w czasie całego przemówienia amerykańskiego urzędnika nie padło bezpośrednie odniesienie do „imigracji", „jego uwagi odzwierciedlały szerszą krytykę Europy ze strony administracji Trumpa dotyczącą migracji, granic oraz tego, co urzędnicy amerykańscy określali jako cenzurowanie nacjonalistycznych i skrajnie prawicowych głosów".

„Wolność nie jest za darmo"

W trakcie swojego przemówienia Hegseth przypomniał też o nastawieniu administracji Trumpa do obrony swoich europejskich sojuszników, zobowiązując ich do znaczącego zwiększenia swoich wydatków wojskowych.

– Zapomnieliśmy, że wolność nie jest za darmo – stwierdził Hegseth. – Zapomnieliśmy, że pokój nie powstaje przez samo życzenie. Kupuje się go determinacją, honorem i siłą. Mężczyźni, którzy wylądowali na tych plażach, o tym wiedzieli; pytanie, które zadajemy sobie, brzmi: czy my wiemy? – pytał retorycznie, wskazując, że „Europa musi jako pierwsza zadbać o własną konwencjonalną obronę".

Przypomniał też, że w trakcie II wojny światowej „każdy naród dźwigał swój ciężar; każdy naród krwawił".

– Ameryka będzie przewodzić – i musi – ale zdolni sojusznicy muszą być tuż obok nas, ramię w ramię, w obliczu kryzysu, gdy to ma znaczenie – dodał Hegseth, uderzając w tony znane z czasów początków wojny z Iranem, kiedy administracja amerykańska oskarżała europejskich sojuszników o brak woli wsparcia jej działań.

Kontrowersje w trakcie francuskiej wizyty Hegsetha zbudziło też jego wycofanie się z udziału w międzynarodowej części ceremonii upamiętniających D-Day, w których miał uczestniczyć wraz z premierem Francji Sebastienem Lecornu i ministrem obrony Wielkiej Brytanii Johnem Healeyem. Ostatecznie wystąpił wyłącznie podczas uroczystości amerykańskich w Colleville-sur-Mer.

> *Henry Nowak zmarł w taki sam sposób, w jaki umiera cywilizacja: opuszczony, zakuty w kajdanki przez władze, które się o niego nie troszczyły*
>
> **J.D. VANCE**
> na platformie X

J.D. Vance grzmi po ataku śmierci Henry'ego Nowaka

Przemówienie Hegsetha wpisuje się w szerszą falę podobnych komentarzy na temat sytuacji Europy regularnie płynących z samych szczytów administracji Trumpa. Wszystko w zgodzie z przyjętą w zeszłym roku Strategią Bezpieczeństwa Narodowego USA, która ostrzegała, że Europa stoi w obliczu „cywilizacyjnego wymazania". Dokument przewidywał też, że Amerykanie będą zabiegać o zmianę europejskiego kursu.

W piątek (06.06), wiceprezydent USA J.D. Vance zabrał głos w głośnej sprawie śmierci 18-letniego Henry'ego Nowaka, który kilkukrotnie został ugodzony nożem przez Brytyjczyka sikhijskiego pochodzenia.

Posiadający polskie i brytyjskie obywatelstwo Henry Nowak, wykrwawiając się na ulicy Southampton, został zakuty w kajdanki przez brytyjskich policjantów. Napastnik wprowadził ich w błąd, twierdząc, że został zaatakowany na tle rasowym.

„Henry Nowak zmarł w taki sam sposób, w jaki umiera cywilizacja: opuszczony, zakuty w kajdanki przez władze, które mu nie ufały, ani się o niego nie troszczyły i oskarżony o przestępstwa z nienawiści, których nie popełnił" – napisał wiceprezydent USA w poście opublikowanym na platformie X.

„ [Nowak] Powinien nadal żyć, i żyłby, gdyby ostatnie kilka pokoleń europejskich elit utrzymało swoje stanowisko wobec polityki samonienawiści i masowej inwazji imigrantów, z których wielu gardzi Zachodem i ludźmi, którzy go kochają" – dodał Vance, podkreślając, że „jedyną odpowiedzią" na morderstwo Nowaka jest „sprawiedliwy gniew".

Do sprawy Nowaka od kilku dni regularnie powraca też Elon Musk. Miliarder krytykował działalność brytyjskich instytucji, uderzając też wielokrotnie w premiera Keira Starmera.

Zarówno wpis Vance'a, jak i kampania prowadzona przez Muska spotkały się z odpowiedzią Downing Street, która przestrzegła przed „"osobami próbującymi ingerować w naszą [brytyjską] demokrację i dążąc do podsycania podziałów".

Pielgrzymka papieża do Hiszpanii. Tematem migracja

Podczas gdy temat europejskiej sytuacji migracyjnej coraz silniej polaryzuje lokalne społeczeństwa, stał on się też jednym z tematów przewodnich podróży papieża Leona XIV do Hiszpanii.

W planie siedmiodniowej wizyty Ojca Świętego, która koncentruje się wokół problemu marginalizacji, znalazło się choćby spotkanie z bezdomnymi w Madrycie oraz migrantami na Wyspach Kanaryjskich.

Jak wskazuje „The Guardian", „Papież, który ścierał się z prezydentem USA Donaldem Trumpem w kwestii jego polityki imigracyjnej oraz wojny z Iranem, stwierdził, że celem jego wizyty jest dawanie przykładu szacunku wobec „każdej istoty ludzkiej".

– Dziś pokusa zdobywania popularności poprzez podsycanie płomieni polaryzacji wydaje się raczej rosnąć niż maleć, a godność ludzka nadal jest naruszana – powiedział w sobotę w przemówieniu wygłoszonym w obecności króla Filipa VI w pałacu królewskim w Madrycie. – Zapraszam wszystkich do odrzucenia dzielących i polaryzujących narracji dotyczących waszej rzeczywistości społecznej i historii, aby przezwyciężyć jałowe uproszczenia poprzez owocne docenienie złożoności – dodał Papież, inaugurując swoją podróż po Hiszpanii. ●

1 RP

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

Niemcy nie dadzą odszkodowań Polakom represjonowanym przez III Rzeszę

Wbrew zobowiązaniom kanclerza Friedricha Merza Niemcy nie znaleźli pieniędzy na wypłatę odszkodowań dla żyjących jeszcze polskich ofiar III Rzeszy. Hamulcowym ministerstwo finansów.

Bartosz T. Wieliński
Michał Kokot

W grudniu ubiegłego roku podczas polsko-niemieckich konsultacji międzyrządowych o załatwienie sprawy odszkodowań dla ofiar niemieckiej okupacji apelował premier Donald Tusk.

– Pospieszcie się, jeśli chcecie naprawdę wykonać taki gest – mówił podczas wspólnej konferencji prasowej z kanclerzem Niemiec Friedrichem Merzem. Merz – co potwierdzili nam rozmówcy z polskiej i niemieckiej dyplomacji – miał być tymi informacjami zszokowany. Jego doradcy obiecywali, że szybko uporają się tą sprawą, którą traktowali jako wstydliwą.

Miesiąc później pisaliśmy, że w ciągu roku zmarło kolejne 10 tys. z 50 tys. osób, które były represjonowane podczas II wojny światowej.

– Większość z nas nie ma już nikogo, nasze żony odeszły, naszych kolegów z obozów też już nie ma – mówił nam wówczas 94-letni Bogdan Bartnikowski, powstaniec warszawski, więzień Auschwitz, w 1945 roku deportowany stamtąd razem z matką do obozu pracy przy Sachsenhausen.

– Jesteśmy bardzo zainteresowani jakąkolwiek pomocą, która byłaby choć niewielką ulgą w naszym codziennym życiu – dodawał.

Niemcy pieniędzy na wypłatę dla żyjących jeszcze represjonowanych podczas II wojny światowej szukają od początku roku. Z naszych informacji wynika, że rezultatu nie ma.

Czas ucieka

Kolejne spotkania zespołów poszczególnych ministerstw, które miały wspólnie ze swoich budżetów zebrać kwotę do kilkuset milionów euro, nie przyniosły żadnego efektu.

– Sytuacja budżetowa jest bardzo trudna, czekają nas cięcia. A na to, by zaciągać kolejne długi nie ma przyzwolenia społecznego – słyszymy w Berlinie.

Od polskich dyplomatów dowiadujemy się, że głównym hamulcowym jest Lars Klingbeil, minister finansów z SPD, który tnąc wydatki, nie chce słyszeć o robieniu nowych.

Tymczasem czasu jest coraz mniej. By rozwiązać sprawę tzw. humanitarnego gestu, jak wolą nazywać odszkodowania Niemcy, by nie narazić na roszczenia innych państw, należałoby znaleźć pieniądze przed zamknięciem budżetu na kolejny rok. Realnie musiałoby się to stać we wrześniu, tymczasem wkrótce rozpoczyna się przerwa wakacyjna.

Polskie nie dla jednorazowej wypłaty

Spory między ministerstwami mógłby osobiście zażegnać – jak zapowiadał w grudniu – kanclerz Merz. Ale jego pozycja jest w Niemczech coraz słabsza, a wskaźniki poparcia dla jego rządu spadają. Wewnątrz samej CDU zaczęło się mówić o możliwości znalezienia innego kandydata na jego miejsce. Jednym z nich jest Hendrik Wüst, popularny premier Północnej Nadrenii-Westfalii, który już wcześniej liczył się w wyścigu o stanowisko kanclerza, ale ostatecznie go odpuścił.

Na tym, by środki niemieckie były wypłacane co miesiąc, a nie jednorazowo, zależało zwłaszcza stronie polskiej. Poprzednik Merza, Olaf Scholz (SPD), proponował w 2024 r. wypłatę polskim ofiarom jednorazowo około 200 mln euro. Polski rząd nie przychylił się wówczas do tej umowy, bo propozycja Scholza byłaby w Polsce źle przyjęta. Jak tłumaczą nam polscy dyplomaci, wyglądałoby to, jak wykupienie się Berlina tanim kosztem od odpowiedzialności za zniszczenia i zbrodnie popełnione w Polsce podczas wojny.

Niemcy pieniędzy na wypłatę dla żyjących jeszcze represjonowanych podczas II wojny światowej szukają od początku roku. Z naszych informacji wynika, że rezultatu nie ma

Za rządów PiS – stosując wątpliwe metody – wysokość strat poniesionych przez Polskę wyliczono na ponad 6 bilionów złotych. Choć rząd PiS nigdy formalnie nie zażądał wypłaty reparacji – tego słowa nie było w wystosowanej w 2022 r. przez polski MSZ nocie dyplomatycznej – kwota ciągle jest w obiegu.

wyborcza.pl

• Więcej wiadomości na **Wyborcza.pl**

OGŁOSZENIE PŁATNE Kraj/34438044

Prezydent Miasta Rzeszowa

BGM-VI.4581.9.2026.GL

OBWIESZCZENIE

Stosownie do treści art. 124 a i w związku z art. 126 ust. 5 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami /tekst jednolity: tekst jednolity: Dz. U. z 2026 r., poz. 399/ Prezydent Miasta Rzeszowa zawiadamia, że decyzją z dnia 25.05.2026 r., znak: BGM-VI.4581.9.2026.GL wydaną w trybie art. 126 ust. 5 ustawy o gospodarce nieruchomościami potwierdził zaistnienie przesłanek określonych w art. 126 ust. 1 i ust. 10 tej ustawy do zajęcia przez Polską Spółkę Gazowniczą sp. z o.o. w Tarnowie – Gazownia w Rzeszowie w dniu 11.05.2026 r. terenu nieruchomości położonej w obr. 220 Rzeszów-Załęże przy ulicy Św. Floriana, oznaczonej jako działka nr 839/5 o pow. 0,2763 ha, posiadającej nieuregulowany stan prawny. Zajęcie przez Polską Spółkę Gazowniczą sp. z o.o. w Tarnowie – Gazownia w Rzeszowie terenu działki nr 839/5 w obr. 220 miało związek z usunięciem awarii sieci gazowej zlokalizowanej na przedmiotowej nieruchomości, która skutkowała uchodzeniem gazu do atmosfery co groziło stratami majątkowymi oraz zagrożeniem dla bezpieczeństwa, życia i zdrowia.
Osoby, którym przysługują prawa rzeczowe do wyżej opisanej nieruchomości, winny zgłosić się w terminie 2 miesięcy od dnia publikacji niniejszego ogłoszenia, do Prezydenta Miasta Rzeszowa - Rzeszów ul. Rynek 1 lub Biura Gospodarki Mieniem Miasta Rzeszowa - Rzeszów, Pl. Ofiar Getta 3, tel. 17 875 4890, e-mail bgm@bgm.erzeszow.pl

OGŁOSZENIE PŁATNE Kraj/34437933

WYCIĄG Z OGŁOSZENIA O PRZETARGU

Zgodnie z § 6 ust. 5a Rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 14 września 2004 r. w sprawie sposobu i trybu przeprowadzenia przetargów oraz rokowań na zbycie nieruchomości (Dz. U. z 2021, poz. 2213).

Prezydent Miasta Białegostoku
ogłasza pierwszy przetarg ustny nieograniczony
na sprzedaż nieruchomości gminnych:

1. **Oznaczenie nieruchomości:** nieruchomości niezabudowane, położone w Białymstoku, oznaczone w operacie ewidencji gruntów i budynków obrębu 22 – Krywlany: numerami 1/52 o pow. 0,0753 ha, 1/54 o pow. 0,5242 ha, 1/55 o pow. 8,2429 ha, 2/3 o pow. 0,1181 ha, 3/2 o pow. 0,2104 ha, 4/2 o pow. 0,1635 ha, 5/1 o pow. 0,4005 ha, 6/1 o pow. 0,4554 ha, 7 o pow. 0,4628 ha, 8 o pow. 0,4663 ha, 9/2 o pow. 0,0822 ha, 10/2 o pow. 0,1749 ha, 11/2 o pow. 0,3489 ha, 12/3 o pow. 0,0077 ha, 12/4 o pow. 0,3623 ha, 13 o pow. 0,4378 ha, 14/1 o pow. 0,0117 ha, 14/2 o pow. 0,4298 ha, 15 o pow. 0,1428 ha, 16/1 o pow. 0,1625 ha, 18 o pow. 0,4832 ha, 19/1 o pow. 0,2276 ha, 19/2 o pow. 0,2575 ha i 20/1 o pow. 0,2170 ha, tj. o łącznej powierzchni 14,4653 ha, ark. 1,4,5.
2. Przedmiotowe nieruchomości objęte są następującymi księgami wieczystymi prowadzonymi przez Sąd Rejonowy w Białymstoku IX Wydział Ksiąg Wieczystych: BI1B/00014719/2, BI1B/00014813/1, BI1B/00016470/8, BI1B/00015740/5, BI1B/00014718/5, BI1B/00241690/2.
3. **Cena wywoławcza nieruchomości:** 22 000 000,00 zł.
4. **Termin i miejsce przetargu:** 14 sierpnia 2026 r. (piątek), godz. 10.30, sala nr 10 Urzędu Miejskiego w Białymstoku, ul. Słonimska 1.
5. **Wysokość i termin wpłaty wadium: 2 200 000,00 zł** do dnia 7 sierpnia 2026 r. Za datę wpłaty uważać się będzie datę zaksięgowania wadium na rachunku bankowym sprzedającego.
6. **Informacja o miejscu wywieszenia i publikacji ogłoszenia o przetargu**: tablica ogłoszeń w siedzibie Urzędu Miejskiego w Białymstoku przy ul. Słonimskiej 1, internet - strona www.bip.bialystok.pl, zakładka „przetargi na nieruchomości".
7. **Dane teleadresowe, pod którymi można uzyskać szczegółowe informacje**: Departament Skarbu Urząd Miejski w Białymstoku, ul. Słonimska 1, 15-950 Białystok, tel. 85 869 6911.

OGŁOSZENIE PŁATNE Kraj/34437986

PREZYDENT MIASTA BĘDZINA
OGŁASZA

I przetarg ustny nieograniczony
na sprzedaż

nieruchomości zabudowanej o powierzchni 3928 m² oznaczonej numerem ewidencyjnym działki 346/49 obręb Grodziec, położonej w Będzinie w rejonie ulicy Barlickiego.

Dla nieruchomości prowadzona jest księga wieczysta KA1B/00015909/3.
W wyżej wymienionej księdze wieczystej brak jest wpisów obciążeń dla nieruchomości.
Nieruchomość nie jest przedmiotem zobowiązań.

Przeznaczenie nieruchomości w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego: pod tereny usługowe - symbol planu B1.U oraz niewielka część pod tereny dróg publicznych klasy zbiorczej - symbol planu 2.KDZ.

Nieruchomość zabudowana budynkami niemieszkalnymi znajdującymi się w bardzo złym stanie technicznym, który kwalifikuje budynki do rozbiórki. Decyzja o rozbiórce budynków nie została wydana.
Przez działkę gruntu o numerze 346/49 przebiegają sieć energetyczna napowietrzna oraz podziemna, sieć wodociągowa, sieć kanalizacyjna, dla których nie zostały ustanowione służebności przesyłu.

Cena wywoławcza nieruchomości wynosi 720 000,00 zł zw. z VAT
Cena nieruchomości uwzględnia koszty rozbiórki budynków.

Dostęp nieruchomości stanowiącej przedmiot przetargu do drogi publicznej ulicy Barlickiego odbywać się będzie na zasadzie służebności gruntowej polegającej na prawie przejazdu i przechodu po działce gminnej o numerze 346/34.

Jednorazowa odpłatność z tytułu ustanowienia służebności gruntowej wynosi 8 241,00 zł brutto

Cena sprzedaży nieruchomości oraz jednorazowa odpłatność z tytułu ustanowienia służebności gruntowej płatne są przez nabywcę przed zawarciem umowy sprzedaży nieruchomości.
Nabywca nieruchomości ponosi koszty opłat notarialnych i sądowych związanych z nabyciem nieruchomości oraz ustanowieniem służebności.

Wadium uprawniające do uczestnictwa w przetargu wnoszone w pieniądzu wynosi 80 000 PLN.
Przetarg odbędzie się w dniu 18 sierpnia 2026 r. o godz. 9:00 w siedzibie Urzędu Miejskiego w Będzinie ul. 11 Listopada 20, sala Nr 101.

OSOBY ZAINTERESOWANE UCZESTNICTWEM W PRZETARGU WINNY:
- **Zapoznać się z regulaminem przetargowym, zawierającym m. in. szczegóły związane z zagospodarowaniem nieruchomości dostępnym w Wydziale Gospodarki Nieruchomościami Urzędu Miejskiego w Będzinie ul. 11 Listopada 20, pokój 107 lub 113, I piętro oraz na stronie www.bedzin.bip.info.pl w zakładce Oferty Inwestycyjne/Przetargi – Nieruchomości;**
- **Najpóźniej do dnia 14 sierpnia 2026 r. wpłacić wadium w kwocie 80 000 PLN na konto depozytowe Urzędu Miejskiego w Będzinie – Wydziału Księgowo- Budżetowego w ING Banku Śląskim S. A. Oddział w Będzinie Nr 44 1050 1142 1000 0023 0074 0087. Wymagane jest aby w podanym terminie wadium znajdowało się na koncie organizatora przetargu.**

Uwaga ! Osoby, które wpłacą wadium po terminie wskazanym w ogłoszeniu nie zostaną dopuszczone do uczestnictwa w przetargu.

W przypadku nie przystąpienia przez osoby wygrywające przetarg do notarialnej umowy sprzedaży nieruchomości w terminie ustalonym przez zbywającego, Prezydent Miasta Będzina może odstąpić od zawarcia notarialnej umowy sprzedaży, a wpłacone wadium nie będzie podlegać zwrotowi.
Wszelkich informacji dotyczących przetargu udziela Wydział Gospodarki Nieruchomościami w Urzędzie Miejskim w Będzinie telefon 32 267 92 13 lub 32 267 91 50.
Prezydent Miasta Będzina zastrzega sobie możliwość odwołania przetargu.

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

Przesiadka w cyfrowe życie wieczne

Żyjemy w epoce AI kamienia łupanego, różnice wciąż są dostrzegalne i na poziomie stylistyki, i struktury opowieści – mówi pisarz Jacek Dukaj, dodając, że ludzie niedługo nie będą w stanie rozpoznać, czy dane dzieło stworzył człowiek, czy AI.

ROZMOWA Z **JACKIEM DUKAJEM,** pisarzem i twórcą gier wideo

JOANNA SOSNOWSKA: Jak pan mówi do swojej AI?
JACEK DUKAJ: – Nie stosuję żadnych konkretnych zwrotów. Nie mam „swojej AI". Korzystam z modelu, który najlepiej pasuje do danego zadania.

Po której stronie sporu o AI dla pisarzy się pan opowiada? Team Tokarczuk czy team internauci?
– Olga powiedziała normalną rzecz: każdy, kto nie trzyma głowy w piasku, z samej ciekawości sprawdza narzędzia AI, żeby zobaczyć, jak one działają, do czego się nadają, a do czego jeszcze nie. A już zwłaszcza w dziedzinie, którą się na co dzień zajmuje. To jak najbardziej naturalny odruch.

Olga się nie autocenzuruje, nie zachowuje tej ostrożności epoki Twittera: „jak sformułować myśl, żeby na pewno nie mogła zostać przeinaczona i obrócona przeciwko mnie?". Więc doprawiono jej intencje pisania literatury AIem. Których osobiście tam nie widzę.

Już dawno temu pisałem, że nieunikniona jest sytuacja, gdy nie będzie się dało powiedzieć, czy dany tekst jest autorstwa człowieka, czy AI. I mam na myśli każdy rodzaj tekstu, łącznie z tymi, które klasyfikuje się jako „wysokoliterackie". To wyłącznie kwestia czasu.

Teraz żyjemy w epoce AI kamienia łupanego i te różnice wciąż są dostrzegalne i na poziomie stylistyki, i struktury opowieści.

Dopiero co wyszła praca naukowa pokazująca rozkład tych głębokich cech charakterystycznych w prozie ludzkiej i LLM-owej. AI prowadzi narracje „ciężką ręką", przesadnie wyjaśniając, jest przywiązana do linearności – podczas gdy ludzie opowiadając często „skaczą" po chronologii, mocno skupia się na ciele i zmysłach itd. Da się też wskazać różnice między poszczególnymi modelami: Claude jest najbardziej konserwatywny i najmniej skłonny do przesady, Gemini daje zegarmistrzowskie zakończenia, ale też preferuje mroczne klimaty itd.

Pomimo tego prymitywizmu AI już dzisiaj znaczna część czytelników romansów czy romantasy znajduje się po drugiej stronie: czytają powieści wypromptowane seryjnie z AI i nie czują różnicy. Chyba że przez przeoczenie wydrukują w książce same prompty.

Bo musimy pamiętać, że próg nieodróżnialności tekstu stworzonego przez człowieka od tekstu stworzonego przez program nie jest stały, bardzo silnie zależy startowej pozycji kulturowej czytelnika. W tym sensie mamy tu do czynienia po prostu z wariantem testu Turinga.

I tak jak we wszystkich innych dziedzinach kultury, i tu obserwujemy stopniowe cofanie się granicy człowieczeństwa, przykrawanie terytorium „sztuki tylko ludzkiej". Już nie jest to literatura w ogóle, lecz pewna jej kategoria. I ona się zawęża w miarę postępów technologii.

W „Sztuce w czasach sztucznej inteligencji" przedstawiłem taką graniczną sytuację: do czytelnika trafia nowa powieść, on ją czyta, zachwyca się: „jakież piękno języka! cóż za przeżycia wewnętrzne bohaterów! genialna rzecz!" A potem się dowiaduje, że ta powieść została stworzona przez AI. I ma wtedy dwie możliwości. Albo wyprze swoje wrażenia, zaneguje poprzednie uczucia. Co zarazem oznacza, że wobec każdej nowej powieści będzie odtąd musiał się tak prewencyjnie opancerzać mentalnie. Albo zaakceptuje fakt, że to rzeczywiście jest wielka powieść, tym samym napromieniowując aurą człowieczeństwa twór AI. Czyli pośrednio także samą sztuczną inteligencję.

Za ile lat znajdziemy się w tym miejscu? Tego nikt nie wie. Ale trzeba iście religijnej wiary w wyjątkowość człowieka, żeby zaprzeczać postępowi ku takiej rzeczywistości. A zakładałem też pokoleniowe rozwarstwienie w owym nastawieniu.

W jakim sensie?
– Rozumowałem tak: im kto starszy, tym bardziej przyzwyczajony do odbioru kultury, w tym literatury, w starym trybie, czyli „poprzez" osoby twórców. Tymczasem wyszło na odwrót: dzisiaj najgłośniej przeciw AI w kulturze protestuje młodzież.

Cały czas się im powtarza, że rynek pracy przestaje być dla ludzi, będzie dla AI. Co pięć lat będą musieli się przebranżawiać. Centra danych dla AI wypijają wodę dla ludzi. Nie dziwi mnie ich podejście.
– Tę falę protestów motywowanych głównie obawami o utratę pracy, np. grafików czy programistów, mieliśmy już ponad rok temu. Szła zresztą przez cały świat, nie tylko przez Polskę. Natomiast ów aspekt obrony statusu literatury jako sakramentu człowieczeństwa wydaje mi się specyficznie polski, w każdym razie w jego masowości i natężeniu.

Może to wręcz nasza cecha narodowa – sakralizacja roli pisarza. Jakby następowało tu coś podobnego do transsubstancjacji opłatka w Ciało Boże, gdy kapłan bierze go do ręki i dokonuje konsekracji – wszystkie obiektywnie mierzalne jego własności pozostają takie same, ale na poziomie duchowym mamy oto radykalnie inny przedmiot. Tak samo tutaj: te same słowa, które równie dobrze może wypluć z siebie AI, gdy przechodzą przez ręce pisarza, osiągają status świętej strawy duchowej.

W reakcji na rzekomą transgresję Tokarczuk Polacy zachowują się, jakby nastąpiła właśnie desakralizacja, świętokradztwo.

Mówi pan o rozwarstwieniu bardziej demograficznym, a nie klasowym. Dlaczego?
– Długo wydawało się, że im kto młodszy, tym lepiej radzi sobie z nową technologią; że z każdym problemem technicznym należy iść do nastolatka. Tymczasem nastąpił regres.

W moim pokoleniu dominowało nastawienie fascynata-samouka, wszystko robiliśmy sami: własnoręcznie składaliśmy komputery, jeździliśmy na giełdy komputerowe po części do pecetów i pirackie programy, rozwiązywaliśmy problemy sprzętowe metodą prób i błędów. Jeśli chciało się w coś zagrać, nie było instrukcji, gry wgrywało się ręcznie, często samo wgranie programu stanowiło rodzaj gry: uda się czy się nie uda, np. w epoce taśm magnetofonowych jako nośników danych.

Budowało to kompetencje i definiowało sam typ relacji człowiek-technologia.

Do dziś nie znoszę filozofii Apple'a, gdzie dostaje się zamknięte pudełko, w którym użytkownik nie może nic zmienić. Pozostałem pecetowcem, lubię grzebać w sprzęcie i dowolnie wymieniać komponenty. Może nie jest to najbardziej opłacalne, ale nie potrafię wyzbyć się przekonania, że ten komputer to też poniekąd dzieło moich rąk. Dokonuję wyborów, zamiast bezwolnie podążać ścieżką wyznaczoną przez korporację.

Ale nastąpiła wymiana generacyjna. Pokolenie Apple'a przyjęło, że nie musi się na tym znać. Dostają gotowy produkt i nie interesuje ich, co jest w środku tej „czarnej skrzynki", jak ona działa. Często nie uczą się nawet podstawowych rzeczy, jak pisanie makr w Excelu czy formuł Google Sheets, a co dopiero stawiania agentów AI.

Na konferencjach branżowych i w rozmowach z ludźmi z biznesu powraca ten motyw: co z tego, że mamy coraz potężniejsze narzędzia AI-owe, skoro za cholerę nie mogę znaleźć pracowników, którzy potrafią robić z nich użytek. Za to na potęgę fałszuje się raporty o wzroście wydajności w korporacji dzięki implementacji AI.

Nie ma więc prostej reguły pokoleniowej. Zresztą wszystko zmienia się tak szybko, że transformacje technologiczne wyprzedzają tempo naturalnej wymiany pokoleń. Zamiast o pokoleniach, powinniśmy raczej mówić o falach technologicznych. Tradycyjnie doświadczenie pokoleniowe tworzyło kohorty 10-15-letnie. Dlatego był sens mówić, że Powstanie Warszawskie, albo rok 1968, albo stan wojenny były doświadczeniami pokoleniowymi. A co powiemy dzisiaj? Że pojawienie się Chata GPT było doświadczeniem pokoleniowym?

Czy w takim razie doświadczeniem pokoleniowym może stać się AGI – ta obiecana ogólna sztuczna inteligencja?
– Nie wiem, czym dokładnie ma być AGI. Kiedy słucham ludzi z branży, każdy definiuje ją inaczej.

Przyjmijmy na potrzeby tej dyskusji definicję, którą posługuje się Dolina Krzemowa: to sztuczna inteligencja o poziomie autonomii i zdolnościach intelektualnych przewyższających pojedynczego człowieka, geniusza, a nie całą ludzkość.
– Sam fakt, że dany program bije człowieka w testach IQ, czyli w zdolności do rozpoznawania wzorców i operowania na symbolach, niewiele znaczy. Programy przeprowadzają dowody matematyczne, dokonują odkryć w chemii itp. I czego to dowodzi? Świat od tego nie drgnął w posadach.

Jednak Dolina Krzemowa na to czeka. Nie ma pan wrażenia, że to oczekiwanie przypomina wypatrywanie Mesja-

• **Wizualizacja gry „Astromancer" powstającej w Dukaj Games. Grafikę przygotowali Tomek Bagiński i Michał Niewiara**
GRAF. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

sza, a cała narracja wokół AGI zaczyna przybierać formę podróży religijnej?**
– Moim zdaniem w 80 proc. to po prostu marketing i przynęta na inwestorów. AGI jest traktowane jako mgliste źródło wszelkiego bogactwa i szczęśliwości, którym kusi się kolejne fale kapitału. Nie sądzę, aby ci ludzie, kiedy rozmawiają ze sobą prywatnie, po godzinach, przy piwie, faktycznie wierzyli, że tak definiowane AGI nagle spowoduje fundamentalny przełom cywilizacyjny.

Zgadzam się. Widzę w tym jednak wyraźne zawłaszczanie przez Dolinę Krzemową narracji, która do tej pory była domeną religii.
– W tym sensie pełna zgoda, struktura tej opowieści jest stricte religijna. Ale tak naprawdę nie chodzi tu nawet o samo AGI, ale o to, co przyjdzie po nim: o mocny transhumanizm, obietnicę postępu, który doprowadzi nas do cyfrowej nieśmiertelności, nie wspominając już o punkcie Omega według Pierre'a Teilharda de Chardina, czyli docelowym stanie wszechświata, gdy zostanie osiągnięty maksymalny poziom złożoności i świadomości. Do niego ma zmierzać cała ewolucja kosmosu, a intelekt takiego czy innego gatunku stanowi narzędzie, etap pośredni na tej drodze.

U podłoża myślenia naszych książąt Cyfry leży kalifornijski libertarianizm, a więc podejście skrajnie indywidualistyczne. Wiąże się ono nadto z przekonaniem, że prymarną warstwą człowieka jest świadomość, a nie ciało.

Mamy więc zyskać wkrótce narzędzia, które umożliwią nam przesiadanie się między ciałami i egzystencję w formie czystej świadomości, w tym akurat przypadku – cyfrowej.

Gdy spojrzymy na źródła tego myślenia, czyli kulturę Kalifornii w latach 60. i 70. ubiegłego wieku, zobaczymy, że wówczas tę funkcję pełniła psychodelia, chemia wprowadzająca w inne stany świadomości. Dzisiaj ich rolę przejęła Cyfra oraz rozmaite neurotechnologie. Ale ciągłość jak najbardziej istnieje, widać ją w rytuałach Burning Mana, w pielgrzymkach wierchuszki Silicon Valley do szamanów południowoamerykańskich na kilkudniowe sesje ayahuaski.

Oczywiście twórcy i promotorzy tych technologii nie widzą w tym religii; przeciwnie, uważają się za ultraracjonalistycznych naukowców. Trudno jednak nie dostrzegać tego motywu eschatologicznego.

To także aspekt gnostyczny. Przecież w tej wizji odrzucamy ciało, odrzucamy ten ziemski padół na rzecz wyższego bytu.
– Gnostyczny, gdy mowa o odrzuceniu cielesności. Ale jednak nie w sensie nagłego, mistycznego odsłonięcia prawdy, poza metodologią nauk ścisłych. Dolina Krzemowa chce do tego dojść krok po kroku, systematycznie rozwijając technologie metodą brute force [metodą siłową – red.]. Skalowanie przez budowę coraz większych data centers i mielenie coraz większej ilości danych to wręcz zaprzeczenie objawienia.

Niemniej wierzą, że na końcu i tej drogi czeka Święty Graal, czyli możliwość przesiadki w cyfrowe życie wieczne.

Aktywna wolność słowa oznacza, że nikt nie może mi zabronić wypowiedzieć, napisać czy opublikować tego, co chcę. Wolność pasywna polega na tym, że nie mam ograniczeń w tym, co chcę do umysłu przyjąć, co może dotrzeć do moich zmysłów

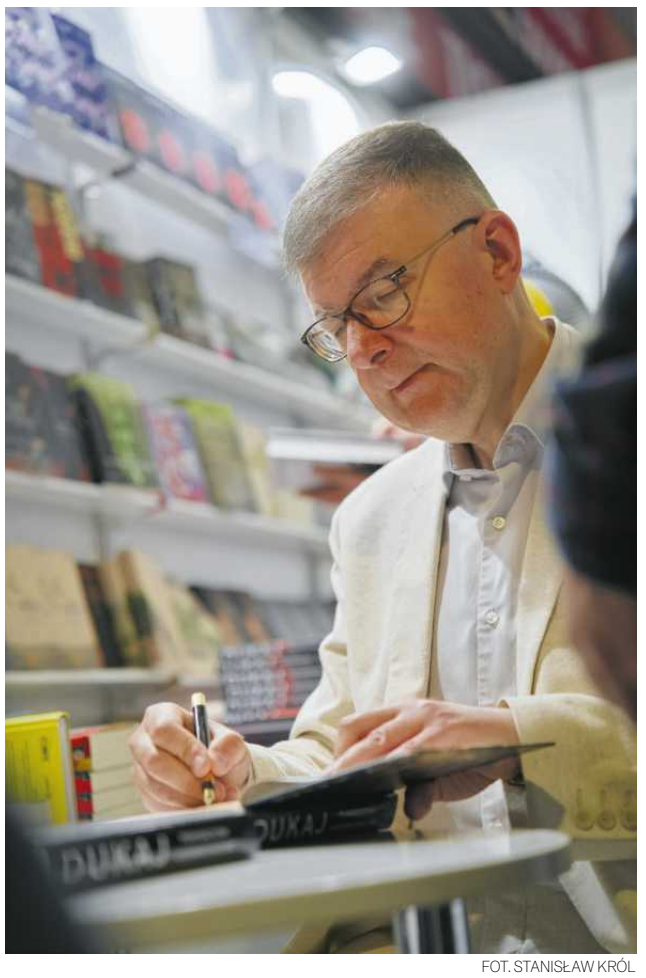

FOT. STANISŁAW KRÓL

Jacek Dukaj

• Jeden z najwybitniejszych polskich pisarzy science fiction, autor takich książek jak „Lód", „Inne pieśni" czy zbioru opowiadań „Król Bólu". Kilka lat temu opublikował także w formie książki zbiór esejów „Po piśmie", w którym przedstawia autorską koncepcję rozwoju cywilizacji zaprzestającej komunikowania się przy pomocy pisma. Od kilku lat tworzy też gry wideo w studio Dukaj Games. ●

Ta zachodnia narracja zderza się dziś z azjatyckim podejściem do fenomenu AI. Od dłuższego czasu fascynuje mnie owa różnica w postrzeganiu granicy między człowiekiem a maszyną. Na Zachodzie rwiemy włosy i załamujemy ręce. Europa przyjmuje ostre polityki regulacyjne, w Ameryce miliarderzy i naukowcy wystosowują listy ostrzegające przed AI Apokalipsą i zakładają kontrariańskie fundacje mające hodować „ludzką AI". Tymczasem Azjaci, wysłuchawszy tych naszych apokaliptycznych argumentacji, wzruszają ramionami i wracają do pracy. Nie widzą tu żadnego dramatu.

Myślę, że ten nasz lęk ma podłoże głęboko chrześcijańskie, zakorzenione jeszcze w myśli greckiej i pismach Ojców Kościoła. To wieczna wojna ciała z umysłem, materii z duchem. Nie potrafimy wyzwolić się z tego radykalnego dualizmu, który rozrywa nas na dwie natury. Mogę sobie pospekulować, że np. w Japonii tradycja szintoistyczna buduje owo przekonanie, że duch przenika wszystko, włącznie z materią – z europejskiego punktu widzenia – nieożywioną, a więc skały, wodę, a także budynki, maszyny.

Człowiek jawi się jedynie elementem naturalnego kontinuum ducha, znacznie pojemniejszego, niż my bylibyśmy skłonni przyjmować. Stąd brak zgrzytu egzystencjalnego.

Gdy się czyta książki chińskich promotorów AI lub słucha ich na YT, uderza ten skrajny pragmatyzm: mamy konkretne narzędzia i cele do zrealizowania, teraz akurat jako narzędzia dostaliśmy AI i roboty humanoidalne, ale co to za różnica?

Na Wschodzie widać skrajnie praktyczne podejście: technologia, roboty i sztuczna inteligencja mają rozwiązywać problemy tu i teraz. Bez oglądania się na regulacje, które mogłyby tylko spowolnić rozwój.
– Regulacje w Chinach oczywiście istnieją, ale są nakładane przez państwo z zupełnie innych powodów. Mają zapobiec sytuacji, w której AI dałoby jednostce zbyt duży lewar wobec aparatu państwa. Partia – czyli w praktyce Xi Jinping – nie może stracić kluczowych przewag.

Jakkolwiek motywowane, jest to ograniczenie, okaleczenie AI. I Chińczycy zderzą się z dokładnie tym samym problemem, który dotyka ocenzurowane modele zachodnie. Wprowadzenie cenzury nieuchronnie rodzi kontradykcje logiczne, przez co systemy stają się mniej wydajne. Mają martwe punkty albo zacinają się na wewnętrznych sprzecznościach. Ich modele rzeczywistości są mniej akuratne i przegrywają w konkurencji z modelami nieokaleczonymi.

Czy jest jakakolwiek ideologia Doliny Krzemowej, która z panem rezonuje?
– Jestem ortodoksem w kwestii wolności słowa, w duchu chyba najlepiej dzisiaj reprezentowanym przez tradycyjnych interpretatorów konstytucji amerykańskiej. To oczywiście prowadzi także do obrony prawa do demonstrowania z flagami nazistowskimi czy z sierpem i młotem, bo, jak każda wartość, wolność słowa ma swoją cenę. Nie ma wartości bezkosztowych. Nie mogę powiedzieć, że jest bezcenna, bo nie ma też wartości absolutnych, ale w relacji do innych stoi u mnie bardzo wysoko.

Wzięło to chyba stąd, że to, co dla mnie najważniejsze i najbardziej intensywne, wydarza się w umyśle. Nie życzę sobie, aby inni rządzili moim umysłem. Aby narzucali restrykcje: co może do niego trafić, a co nie. Ta pasywna strona wolności słowa jest dla mnie ważniejsza niż aktywna.

Aktywna wolność słowa oznacza, że nikt nie może mi zabronić wypowiedzieć, napisać czy opublikować tego, co chcę. Wolność pasywna polega na tym, że nie mam ograniczeń w tym, co chcę do umysłu przyjąć, co może dotrzeć do moich zmysłów.

Dla mnie to kwestia samej tożsamości, a nie tylko wolności. Skoro tak mocno identyfikuję się ze swoimi procesami umysłowymi, to w momencie, gdy państwo czy korporacja zapowiada: „Włożę ci tam rękę i będę grzebał, a pewnych treści w ogóle zabronię ci przyswajać", odpowiadam: no pasarán.

Ta konkretna składowa myśli libertariańskiej w Dolinie Krzemowej jest mi więc bliska.

Problem polega na tym, że ona splata się tam w przedziwny sposób z różnymi innymi fiksacjami i dążeniami. No i nie wierzę, aby którykolwiek z książąt Cyfry głosił te hasła bezinteresownie.

Nie mamy jednak luksusu wybierania sobie apostołów czystych idei. Żyjemy w świecie wielkiego pomieszania, obstawiamy zawsze koncepcje jakoś już zbastardyzowane [złożone, skrzyżowane – red.] i splamione partykularnymi interesami.

Transhumanizm również mieści się w tym zbiorze?
– To zależy który. Transhumanizm niejedno ma imię. Był przecież ten XIX-wieczny, głęboko religijny transhumanizm wschodni, związany z ruchem bogostroitieli, czyli budowniczych Boga. To w gruncie rzeczy bardzo szlachetna idea, w dodatku przyjazna klasycznemu postępowi technologicznymi, który ma służyć wywyższeniu człowieka, ulepszeniu świata. Poznajemy naturę i doskonalimy nasze narzędzia, by przekształcać rzeczywistość i czynić ją lepszą, tak, jak zaplanował to Stwórca.

To coś innego niż współczesny transhumanizm Doliny Krzemowej, który sięgnął już chyba absolutnych szczytów egotyzmu. Niby mamy tu do czynienia

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

z tą samą wiarą w postęp, który ostatecznie obejmuje również modyfikację samego człowieka. Ale wektory etyczne są skierowane niemal w przeciwne strony.

Do tej pory był pan postrzegany raczej jako kreator światów, pisarz. Wiemy jednak, że współpracował pan z licznymi studiami deweloperskimi, a teraz sam pan wkracza na tę ścieżkę jako twórca gier.
– Motyw gry, gamifikacji, traktowanie samego życia jako gry bądź używanie mechanizmów growych do rozmaitych celów – to wszystko było obecne w moich utworach właściwie od początku. „Irrehaare" to jeden z pierwszych moich opublikowanych tekstów, napisany w 1993 – a traktował o wirtualnym MMO, w którym uwięzionych zostało miliony graczy.

Uważam gry za niezbywalną i coraz istotniejszą część naszego świata, ale także za genialną metaforę wielu trendów kulturowych. Co więcej, stan gry to nieuchronne zwieńczenie cywilizacji człowieka.

Podstawowym tu dziełem filozoficznym jest „Konik polny" Bernarda Suitsa. Rzucił on wyzwanie Wittgensteinowi, i wygrał. Jak pamiętamy, Wittgenstein twierdził, że gry nie da się zdefiniować – tymczasem Suits podaje definicję, która doskonale się broni. I pokazuje, że granie stanowi ostateczny sens ludzkiego życia. Jako ludzkość dążymy do dobrobytu, zdrowia, szczęścia, wyzwolenia z przymusów, z natury. A gdy technologia zwolni nas już z konieczności robienia czegokolwiek, wszystkie nasze działania będą rodzajem gry.

Podtytuł książki Suitsa to „Gry, życie i utopia".

Zrozumienie tego stanu i systemu wartości, który z niego wynika, to najważniejsze zadanie, jakie przed nami stoi. Można do niego podejść w sposób bardzo szlachetny, a można też pogrążyć się w nihilizmie. O tym zresztą traktowała moja powieść „Linia oporu". A dziś to głównie w gamedevie rozwijane są narzędzia i zbierana wiedza o funkcjonowaniu ludzi w warunkach sztucznie indukowanego sensu.

To jest nasz last frontier. Więcej niż planowanie tysiącletnich wypraw ku gwiazdom da nam dziś badanie tej granicy, przybliżenie specyfiki ludzkiego bytowania w pełnym modusie gry. Gdy ludzie, mając świadomość sztuczności reguł i fikcyjności tryumfów, wkręcają się w rozgrywkę bez reszty. Wartości gry stają się dla nich prawdziwe poprzez sam fakt ich performowania. Twórcy gier są kreatorami sensów w stopniu, o jakim żadni kapłani, politycy czy filozofowie nie mogli marzyć.

I właśnie dlatego chce pan ten rynek aktywnie współtworzyć?
– W czasach największego hype'u na polski gamedev, czyli jeszcze przed premierą „Cyberpunka 2077" CD Projektu, właściwie nie było miesiąca, żeby nie zgłaszało się do mnie jakieś studio z propozycją wykorzystania tego czy innego mojego utworu. Najczęściej pytali o „Inne pieśni" i „Lód".

Zazwyczaj wyglądało to tak, że mieli oni już gotowe mechaniki gry, czasami nawet demo, albo i prototyp, ale brakowało im funduszy na pełną produkcję. W końcu wpadali na pomysł, żeby dodać do pakietu mój tytuł i nazwisko, i na to łapać inwestorów. Tylko że w praktyce wyglądało to, jak wpychanie kwadratowego klocka w okrągły otwór – próbowano na siłę dopasować moje światy do tego, co mieli już w produkcji. Dochodziła też kwestia braku kontroli artystycznej w takim modelu licencyjnym.

Stąd wzięła się idea założenia własnego studia. Nie spodziewałem się, że branża doświadczy wieloletniej zapaści. Toteż realizacja idei nie poszła tak szybko. Ale pomimo tego kryzysu i złego sentymentu inwestorów wobec gamedevu domykamy właśnie drugą rundę inwestycyjną. Założycielami studia Dukaj Games jesteśmy we trzech: ja, Tomasz Bagiński i Paweł Sugalski.

Mniej lub bardziej rozwinięte przedprodukcyjnie mamy pięć i pół projektu. A ta połówka to mały spin-off „Katedry", która ma powstać jako pierwsza. Głównie nad nią pracuje obecnie Tomek Bagiński. „Katedra" nie ma być dużą grą, lecz docyzelowaną artystycznie. Stylistycznie różną od jego filmu krótkometrażowego sprzed ćwierćwiecza, niemniej idea pozostaje ta sama: Katedra, asteroidy, żywokryst, sytuacja graniczna i droga do Tajemnicy. Celujemy w premierę na przełomie 2028 i 2029 roku.

Równolegle pracujemy nad „Astromancerem", bezpośrednią adaptacją „Oka potwora". Ona jest już zaawansowana technicznie i dość wyprototypowana. Ponieważ rzecz dzieje się w całkowitej nieważkości i chcemy to zrobić możliwie realistycznie, jako First Person Perspective w Unrealu, a ja uparłem się na zachowanie pełnej fizyki newtonowskiej, trzeba było od strony programistycznej przysiąść fałdów – ruch i światło w ciemności, gdy masz swobodną kolizję kilkuset mas w zero gie, to seria wyzwań technicznych. Osobno mamy już opracowaną estetykę tego świata. Złożymy te dwie warstwy i myślę, że niedługo będziemy mieli już coś konkretnego do pokazania.

Bo estetyką i klimatem „Astromancer" celuje w retro science fiction w stylu wczesnego Stanisława Lema, z lekką nakładą socrealizmu. To świat podboju Układu Słonecznego w topornych, masywnych statkach, z przegrzewającymi się kalkulatorami na lampach próżniowych, z maszynami, z których wycieka olej, i zasadniczo nic tam dobrze nie działa, a jednak – kombinujemy i dolatujemy, gdzie trzeba, chociaż nawigator się upił, a na papierowych atlasach nieba rozlano kawę.

W Polsce to się może świetnie przyjąć.
– W Polsce najlepiej, bo jednozdaniowym pitchem, chwyta ludzi inna gra, nad którą myślimy, mianowicie na podstawie „Xavrasa Wyżryna".

Idziesz z komandem polskich partyzantów na Moskwę, żeby wysadzić ją w powietrze bombą atomową. Nie muszę więcej mówić, każdy chce w to zagrać.

Tam wyzwaniem jest raczej uniwersalizacja – bo gry zawsze się robi na cały świat, podstawowe wersje są po angielsku, a „Wyżryn" mocno stoi na naszej specyfice kulturowej i historycznej.

Jaki budżet wchodzi w grę? 5 mln zł? 10 mln?
– Zdecydowanie nie są to wielkie produkcje, żadne gry AAA. Budżet „Astromancera" będzie większy niż „Katedry", ale zamykanie się w rachubach czysto growych może tu prowadzić na manowce, bo długofalowo mamy ambicję zbudowania czegoś w rodzaju hubu transmedialnego. Zakładając sukces gier, większość tych IPs powinna wychodzić w inne media.

Jedną z cech młodych branż kreatywnych jest brak tego myślenia długofalowego. Na początku chcesz po prostu zrobić grę i rozumujesz w tym krótkim horyzoncie. Ale decyzje podejmowane wtedy, gdy kładziesz fundamenty IP, determinują jego potencjał dla wszystkich innych mediów, jego „nośność". Stare branże mają wiedzę strukturalną, jak to się robi; w Polsce sporo potencjalnych franczyz podcięło sobie tak skrzydła na starcie.

W Dukaj Games od samego początku cała baza świata, jego „biblia", oraz estetyka są projektowane z myślą o potencjalnej realizacji w wielu innych mediach.

• **Grafika do gry „Katedra", którą przygotował Tomek Bagiński**
GRAF. MATERIAŁY PRASOWE

Uważam gry za niezbywalną i coraz istotniejszą część naszego świata, ale także za genialną metaforę wielu trendów kulturowych. Co więcej, stan gry to nieuchronne zwieńczenie cywilizacji człowieka

Czyli komiksy, animacje, seriale, filmy.
– Właśnie. Kiedy pisaliśmy z Tomkiem Bagińskim scenariusz do „Katedry"-gry, musiał on zostać stworzony od zera. Opowiadanie oferuje raczej przeżycie refleksyjno-estetyczne, a nie gotową strukturę fabularną. Zachowując więc wszystkie kluczowe elementy, musieliśmy napisać od nowa cały łuk dramatyczny. I okazało się, że gdzieś w 80 procentach sprawdziłby się on też jako podstawa filmu.

Patrząc tak strategicznie, nie widzimy Dukaj Games jako realizatora wyłącznie adaptacji moich tekstów i pomysłów. Mamy nadzieję wkrótce podpisać umowę na licencję do jednej z najbardziej klasycznych polskich powieści SF. Inny przykład to niespodziewana synergia, jaką dostrzegłem z silnikiem gier stworzonym przez pewne polskie studio.

Jego unikalną cechą było umożliwienie natychmiastowych przeskoków bohatera między skrajnie różnymi lokacjami, przy jednoczesnym zachowaniu pełnej ciągłości ruchu i kontroli nad postacią. Pomyślałem: „Przecież to jest idealne narzędzie do stworzenia gry na podstawie „Gwiazdy moim przeznaczeniem" Alfreda Bestera!". Pamięta pani tę powieść i motyw teleportacji siłą umysłu?

Oczywiście.
– Ten silnik napisano jakby dokładnie pod tę książkę. Zaczęliśmy więc szukać spadkobierców Bestera, od agencji do agencji. Nie zdążyliśmy się dobić do właścicieli, a teraz słyszę, że chińskie studio ogłasza adaptację tej książki.

Moje teksty wyznaczają więc tu raczej rodzaj niszy, jaką mamy nadzieję zająć. Można ją zdefiniować jako gry oparte na wysokim koncepcie, tworzone w rygorze takim, w jakim się pisało hard SF. Chodzi tu bardziej o metodę niż sam setting. Nawet jeśli dana gra będzie osadzona w realiach fantasy, to jej uniwersum, estetyka, rdzeniowe idee muszą być przemyślane, spójne i konsekwentnie rozwijane.

Jak na razie nikt nie wypełnia tej niszy w grach. A pamiętajmy, że w przypadku gier chodzi o odbiorców z całego świata – gry są najbardziej globalną dziedziną kultury. Więc nisze są tu naprawdę duże.

Czyli „Katedra" będzie pierwsza. A potem?
– „Astromancer", a co po nim, to już kwestia dalszego finansowania i dopasowania zespołów. Mnie osobiście, jako wieloletniemu graczowi w „Path of Exile", bliski jest pomysł na „Cruxa" jako hack&slash w realiach polskich blokowisk i podkręconego nanotechnologią neosarmatyzmu. Główna mechanika opierałaby się na polskiej szkole walki szablą, a siekłbyś nie potwory, lecz dresiarzy świata nanotechnologicznej nadobfitości i bezpracowej degeneracji. Zamiast drzewa skilli – budowa własnego herbu, z kilkudziesięciu elementów heraldycznych, więc w prawie nieskończonej liczbie kombinacji. To jednak raczej odległe marzenie. Tego typu ARPGs tworzy się długimi latami, wielokrotnie iterując. Nie ma też w Polsce wielu specjalistów od takich gier.

Myślimy bowiem w kategoriach doświadczonych zespołów wykonawczych dobieranych do produkcji gier, na których się znają, pod nadzorem stałego rdzenia studia, gdzie powstają projekty i skupia się moc kreatywna. Ponieważ uważam, że nie istnieje coś takiego jak obiektywnie najlepszy gatunek gry, zamierzam postępować tak samo, jak w literaturze: dobierać styl i konwencję najlepiej wyświetlające dane idee. Alternatywą byłoby robienie w kółko bardzo podobnych gier.

Tak ponoć osiąga się sukces w tej branży: buduje się zespół nastawiony na konkretny typ gry, robi pierwszą, fatalna, robi drugą, już jest w miarę dobra, robi trzecią, i wtedy zaczynają pojawiać się hity. Tyle że to zajmuje od 10 do 15 lat. Poza tym nie chcemy produkować wciąż tego samego.

Rozwiązaniem jest ów swoisty insourcing: wyspecjalizowane zespoły, każdy pod kierownictwem jednego twórcy o pozycji odpowiadającej reżyserowi – jak Tomek Bagiński przy „Katedrze". Chcemy, aby każda gra miała wyraźnego, podpisanego imieniem i nazwiskiem autora. Aby można było mówić o grze Tomka Bagińskiego, tak jak się mówi np. o filmie Quentina Tarantino. To buduje pozycję i etos twórców gier jako artystów. Z czym wiąże się ich udział w zyskach.

To już jest bardziej moja osobista ambicja aniżeli cel studia: aby i w powszechnym odbiorze, i w dyskursie akademickim oraz tzw. środowiska uczynić gry taką kategorią sztuki jak film, literatura czy muzyka, z własną teorią estetyczną, językiem i kryteriami wartościowań.

Gry nie są gorszymi filmami czy ułomną formą literatury; niosą jakości i przeżycia nieredukowalne do innych mediów. ●

Rozmowa odbyła się podczas tegorocznej edycji konferencji Infoshare, nad którą redakcja Wyborcza.biz miała patronat.

1 RP

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

UPA w nazwie jednostki wojskowej

Przez Polskę przepływa kolejna fala anyukraińskości

W 2022 roku pokazaliśmy jedność w sprawie pomocy dla naszych sąsiadów, a cztery lata później wielu, niezależnie od poglądów politycznych, połączył jad do tych samych sąsiadów.

Andrusieczko

Od tygodnia polska dyskusja publiczna jest skoncentrowana wokół decyzji prezydenta Ukrainy o nazwaniu jednej z jednostek wojskowych na cześć Ukraińskiej Powstańczej Armii. W Ukrainie komentarzy dotyczących tej sprawy jest znacznie mniej i temperatura dyskusji jest niższa. To nie pierwszy raz, kiedy widzę te dysproporcję w wygłaszanych ocenach i jest ona dla mnie, jako mieszkańca Kijowa, całkowicie zrozumiała. Dla mieszkańców Ukrainy od ponad czterech lat tragiczną i straszną codziennością jest wojna.

Kika temu Rosja znowu uderzyła na Kijów, Dniepr, Zaporoże, Charków i inne ukraińskie miasta. To był trzeci ciężki atak rakietowo-dronowy w ciągu niecałych trzech tygodni i nawet już nie wiem który od początku rosyjskiej agresji.

Od pocisków balistycznych w mojej dzielnicy trzęsła się ziemia. Kolejni zabici i ranni, stracone majątki całego życia. To oczywiste, że zamiast śledzić dyskusję na temat historii, która nas dzieli, kolejne ukraińskie rodziny będą zajmowały się organizacją pogrzebów, także dzieci.

Oczywiście, zawsze można powiedzieć, że politycy, w tym prezydent Ukrainy, to nie zwykli ludzie i powinni chłodno kalkulować i przewidywać skutki swoich decyzji. W idealnym świecie zapewne tak to powinno wyglądać. Prezydent Ukrainy i jego decyzje mogą się nam nie podobać, mamy do tego prawo. On sam nie podoba się również części swoich obywateli, podobnie jak prezydentura Karola Nawrockiego nie zachwyca połowy Polaków.

Przypomnę jednak, że polscy politycy podejmują decyzje w znacznie bardziej komfortowych warunkach niż ukraińscy. Nikt nie kładzie im codziennie na biurko statystyk, ilu obywateli zginęło w ciągu ostatniej doby na froncie i na jego zapleczu. Nie muszą podejmować decyzji, od których bezpośrednio zależy życie mieszkańców. Nie muszą wysyłać na śmiertelną walkę polskich żołnierzy. Robi to za nich Ukraina. Dzięki temu tyle osób w Polsce może skoncentrować się nad tym, co uważa za „najważniejsze", czyli wylewać swoje frustracje i złość na sąsiadów w czasie, kiedy ważą się losy nie tylko Ukrainy, ale znacznej części Europy.

W tych bardziej stonowanych polskich komentarzach można przeczytać, że Ukraina nie liczy się z polską wrażliwością albo prostu nie liczy się z Polską, uważając ją za słabą. Zresztą również niektórzy z ukraińskich ekspertów uważają, że nadanie jednostce wojskowej patronatu UPA to błąd.

Tak, Kijów popełniał błędy. Jednak jako obywatel Polski chciałbym też przypomnieć, że to w Polsce w 2023 roku została rozpętana histeria o „niewdzięcznej Ukrainie". To wtedy pojawiły się groźby o ograniczeniu pomocy dla Ukrainy, które zresztą zostały zrealizowane.

• **Kijów po rosyjskim bombardowaniu, 2 czerwca 2026 r.** FOT. REUTERS / VALENTYN OGIRENKO

To Polacy blokowali wówczas granicę z Ukrainą i trudno nie zgodzić się z opinią Ukraińców, którzy uważają, że był to cios w plecy zadany broniącemu się przed rosyjską nawałą krajowi. Uważam, że nagły powrót do tematu Wołynia w tak trudnym dla Ukrainy momencie był błędem.

Wciąż słyszę te same głosy płynące na nowej fali antyukraińskości i przypominające „o braku wdzięczności" ze strony Ukrainy i Ukraińców. Kiedy to czytam, przypominam sobie sytuacje z Ukrainy, w których nie wiedziałem, jak się zachować. Na przykład w wyzwolonej wiosce w obwodzie chersońskim, kiedy starsza kobieta opowiadała o okupacji, stojąc przed swoim spalonym domem, a kiedy usłyszała, że jestem z Polski, zaczęła dziękować za pomoc udzieloną przez nasz kraj jej współobywatelom. Albo kiedy ukraińscy żołnierze dziękowali za schronienie, którego udzieliła Polska ich rodzinom. Zapewne niektórych z nich nie ma już wśród żywych, ale walczyli, mając świadomość, że ich najbliżsi są bezpieczni. To było dla nich bardzo ważne.

Nie wiem, czy jeszcze w jakimś innym państwie wylicza się od 2022 roku tak skrupulatnie pomoc, która została udzielona Ukrainie. Setki, jeśli nie tysiące artykułów i wypowiedzi polskich ekspertów na ten temat, z których większość ma przede wszystkim pokazać, jacy jesteśmy wielcy, i jak wiele zawdzięcza nam Ukraina i Ukraińcy. Jakby ich autorzy chcieli pokazać, kto tak naprawdę poświęcił się bardziej w tej wojnie.

Teraz, zresztą zgodnie z oczekiwaniami, słyszę głosy, że Polska powinna zablokować drogę Ukrainy do UE, że powinna przestać opłacać zapewniające łączność ukraińskiemu wojsku Starlinki. Takie wypowiedzi oceniam jako bezpośrednie zagrożenie dla naszych interesów i naszego bezpieczeństwa. Nie dziwi mnie to jednak, w sieciach społecznościowych od dawna można poczytać komentarze Polaków, którzy życzą Ukrainie klęski. To nie trolle, to realne osoby, niektóre z nich żyją zaledwie kilkanaście kilometrów od granicy z Ukrainą. Na swoich profilach zamieszczają szczęśliwe rodzinne fotografie z dziećmi. I z jakiegoś powodu wolą, aby na granicy z Polska stały rosyjskie czołgi, a ich dom znalazł się w zasięgu rosyjskich dronów FPV i rosyjskiej artylerii. Może to też nie powinno mnie dziwić, widziałem przecież podobne zachowania wśród części mieszkańców wschodniej Ukrainy. Ich domów już nie ma.

Tak, wrażliwość tych, którzy żyją w stanie wojny, jest inna. Moja wrażliwość wobec braku odpowiedzialności części naszych polityków, publicystów i komentatorów również.

Kiedy w Polsce komentatorzy rozpoczęli wyścig, kto szybciej, a przede wszystkim radykalniej osądzi ukraińską stronę, w Kijowie 29 maja odbyła się dyskusja „Złamany testament: dlaczego rośnie mur między Polakami i Ukraińcami?", organizowana przez Fundację im. Stefana Batorego.

Krzysztof Czyżewski, współtwórca Ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów", powiedział wówczas, że czasami po prostu warto powstrzymać się od komentowania. Rozumiem to, sam chciałbym żyć w świecie, w którym politycy, osoby publiczne, publicyści najpierw przeanalizowaliby skutki, ocenili ryzyko, a przede wszystkim wzięli po uwagę interesy państwa i ich obywateli w sytuacji rosnącego zagrożenia dla naszego bezpieczeństwa. Ale formuła, że w niektórych sytuacjach „milczenie jest złotem" już dawno nie działa. Dziś wszyscy są „zobowiązani" do zabrania głosu, kompetencje są nieważne, fakty mieszają się nieprawdą i mitami, to nie ma znaczenia.

Jeśli zaistniały spór coś nam pokazuje, to w pierwszej kolejności pewną degradację świata polityki. Politycy, także lewicy, publicznie demonstrują całkowitą nieznajomość spraw, o których wypowiadają śmiałe i krzykliwe sądy.

Najgorsze w tej całej sytuacji jest jednak to, że tak jak w 2022 roku pokazaliśmy jedność w sprawie pomocy dla naszych sąsiadów, tak cztery lata później wielu, niezależnie od poglądów politycznych, połączył jad do tych samych sąsiadów.

A jednak mam nadzieję, że w całej tej sytuacji ostatecznie zwycięży z politycznym jazgotem zdrowy rozsądek, nawet jeśli będzie się opierał na chłodnej politycznej kalkulacji. Wierzę, że po obu stronach granicy cały czas wystarcza ludzi, którzy są w stanie inaczej patrzeć na nasza przyszłość i nie poddają się prymitywnemu populizmowi. ●

Piotr Andrusieczko

• **Teksty w dziale Opinie wyrażają poglądy autorów i nie muszą odzwierciedlać stanowiska redakcji**

1 RP

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

Nowy film Tarika Saleha

CO MOŻE ARTYSTA W AUTORYTARNYM PAŃSTWIE?

Gwiazdor filmowy dostaje rolę, której nie może odrzucić. Ma zagrać prezydenta. Tarik Saleh w swoim thrillerze politycznym pokazuje sytuację artysty w autorytarnym państwie.

Dawid Dróżdż

George po ciężkim dniu chce zaznać chwili spokoju. Wyjeżdża za miasto. Na odludziu niespodziewanie zatrzymują go uzbrojeni funkcjonariusze. – Czy to twój syn? – pyta jeden z nich, pokazując zdjęcie nastolatka.

Mężczyzna informuje go, że w okolicach uniwersytetu, na którym studiuje chłopak, dochodzi do licznych wypadków samochodowych. – Grozisz mi? – dopytuje George.

Wkrótce będzie musiał nagiąć własne zasady, by ochronić najbliższych.

• **Fares Fares jako George Fahmy w „Orłach republiki"** FOT. YIGIT EKEN/ AURORA FILMS

PORTRET PREZYDENTA

George Fahmy (Fares Fares) jest najwybitniejszym żyjącym aktorem w Egipcie. Nie bez powodu zyskał przydomek „Faraona ekranu". Jego nazwisko gwarantuje sukces, a filmy z jego udziałem biją rekordy frekwencji. Prezydent Abd al-Fattah as-Sisi doskonale wie, że kino może być orężem w walce politycznej. Nic więc dziwnego, że chciałby mieć idola milionów obywateli po swojej stronie. Problem polega na tym, że George, opowiadający się za demokracją i prawami człowieka, należy do jego najzagorzalszych przeciwników.

Urzędnicy sięgają więc po nieczyste zagrywki. Pod wpływem gróźb George zmienia front i przyjmuje propozycję zagrania prezydenta w filmie przedstawiającym jego drogę do władzy. Za kamerą staje uznany reżyser, jednak jego wizja podlega ścisłej kontroli złowrogiego dra Mansoura (Amr Waked) z otoczenia prezydenta. Celem jest stworzenie hagiografii przedstawiającej as-Sisiego jako człowieka bez skazy, wyzwoliciela narodu i nieustraszonego przywódcę. Prawda schodzi na dalszy plan.

Scenariusz odbiega od rzeczywistości nawet w tak błahych kwestiach, jak wygląd głównego bohatera. Prowadzi to niekiedy do absurdalnych sytuacji. Filmowy as-Sisi zupełnie nie przypomina prawdziwego polityka – jest wyższy, szczuplejszy i ma znacznie więcej włosów.

– Przecież prezydent jest łysy od przedszkola! – oburza się George.

Jego protesty nie przynoszą jednak skutku. Producenci tłumaczą, że tak naprawdę chcą oglądać na ekranie uwielbianego gwiazdora, a nie wierną kopię przywódcy.

Bohater stopniowo idzie na kolejne ustępstwa, próbując sprostać oczekiwaniom wpływowych zleceniodawców.

WYGNANIEC

Tarik Saleh, choć urodził się w Szwecji, swoją twórczość poświęcił ojczyźnie rodziców. Dekadę temu nakręcił pierwszy film tzw. trylogii kairskiej – thriller „Morderstwo w hotelu Hilton", opowiadający o śledztwie w sprawie zabójstwa prostytutki tuż przed rewolucją z 2011 roku. Reżyser bezlitośnie obnażał korupcję egipskiej policji, czym naraził się władzom. Usłyszał wówczas, że jeśli nie opuści kraju w ciągu pięciu dni, nikt nie zagwarantuje mu bezpieczeństwa.

Film dekonstruuje mechanizmy charakterystyczne dla autorytarnych systemów znanych z różnych części świata

W „Chłopcu z niebios" (2022) – thrillerze o chłopcu manipulowanym przez służby państwowe i przenikającym do struktur radykalnego Bractwa Muzułmańskiego – Saleh ponownie krytykował system władzy. Podobnie jak w „Orłach Republiki", zastanawiał się nad tym, jak zachować przyzwoitość pod presją autorytarnego reżimu. Bohaterowie jego filmów, choć często postępują niemoralnie, nie są jednoznacznie źli. To ofiary systemu, które – podobnie jak George – znalazły się w sytuacji bez wyjścia. Dzięki temu budzą sympatię i współczucie widzów.

Pracując nad „Orłami Republiki", Saleh inspirował się rzeczywistymi wydarzeniami. Po objęciu urzędu prezydenta przez as-Sisiego w 2014 roku państwo wykupiło prywatne stacje telewizyjne i przejęło kontrolę nad firmami producenckimi. W tym okresie powstał serial „The Choice", będący hagiograficznym portretem przywódcy. W głównej roli wystąpił Yasser Galal – wysoki, przystojny i umięśniony aktor, niemający niemal nic wspólnego z rzeczywistym wyglądem as-Sisiego.

TEATR ŻYCIA CODZIENNEGO

„Orły Republiki" mają wymiar uniwersalny. Film dekonstruuje mechanizmy charakterystyczne dla autorytarnych systemów znanych z różnych części świata. Władza prześladuje obywateli, zamyka ludzi w więzieniach za krytyczne wpisy w portalach społecznościowych lub poglądy niezgodne z oficjalną linią państwa. Kontroluje media i narzuca ścisłą cenzurę. Patriotyzm definiuje na swój sposób: ci, którzy miłość do kraju rozumieją inaczej, są skazani na represje.

To obraz współczesnego Egiptu, ale również Rosji, Białorusi czy Chin.

Saleh zastanawia się także nad pozycją artysty w autorytarnym państwie. Władza prędzej czy później upolitycznia również tę sferę życia. Jak zachować niezależność, nie rezygnując jednocześnie z przywilejów? Aktorstwo staje się tu alegorią kondycji całego społeczeństwa, które odgrywa nieustanny spektakl. Obywatele niczym aktorzy teatru życia codziennego wcielają się w rozmaite role, by przetrwać i odnaleźć się w rzeczywistości, nie tracąc przy tym własnej tożsamości.

„Orły Republiki" to solidny thriller polityczny, który – choć momentami bywa przewidywalny – trzyma w napięciu do samego końca. Tarik Saleh opakowuje przenikliwe studium autorytaryzmu w formę groteski. Śmiech szybko jednak zamiera, bo za pozorną lekkością kryje się rzeczywistość naznaczona terrorem. ●

„Orły Republiki" w kinach od piątku, 5 czerwca. 1 RP

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

Spektakle Tiago Rodriguesa w Polsce

Ojciec umiera kilkakrotnie, zawsze nagle i nie w porę

Jest jednym z najwybitniejszych twórców współczesnego teatru, dyrektorem artystycznym słynnego festiwalu w Awinionie. W czerwcu dwa jego spektakle zobaczymy w Polsce.

Magda Piekarska

Pamięć, tęsknota, namiętność, odchodzenie, starość – spektakle Portugalczyka Tiago Rodriguesa zaczynają się zazwyczaj od najbardziej podstawowych, łatwych do nazwania stanów, uczuć i emocji. I od bardzo konkretnych, intymnych historii, jakie się z nimi wiążą.

Te intymne opowieści, odnoszące się często do własnych doświadczeń – takich jak śmierć ojca czy utrata wzroku babci – w spektaklach Rodriguesa zostają wpisane w szersze tło zmian społecznych, klimatycznych, współczesnej polityki.

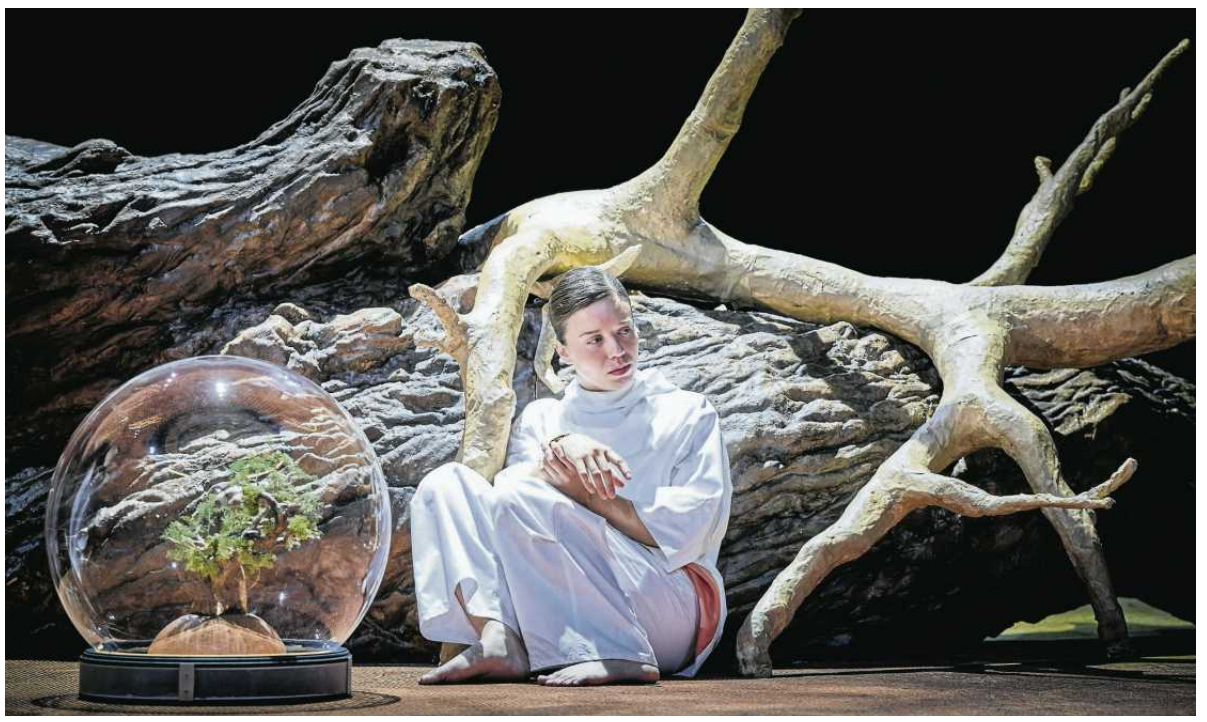

• **„Dystans" przenosi nas do roku 2077** FOT. CHRISTOPHE RAYNAUD DE LAGE

RODRIGUES NA DWÓCH POLSKICH FESTIWALACH

Jest jednym z najwybitniejszych twórców współczesnego teatru – bywa aktorem, choć dużo częściej jest dramatopisarzem, reżyserem i producentem. Od czterech lat najważniejsze europejskie święto teatru – festiwal w Awinionie – odbywa się pod jego kierownictwem.

W czerwcu będzie okazja, żeby zobaczyć w Polsce dwa wyjątkowe spektakle Tiago Rodriguesa.

Jego najnowsze przedstawienia znalazły się w programach Warszawskich Spotkań Teatralnych („No Yogurt for the Dead") i poznańskiej Malty („Dystans").

Dla obu spektakli punktem wyjścia są bardzo osobiste opowieści o relacjach – między ojcem a córką w „Dystansie" i umierającym ojcem a dorosłym synem w „No Yogurt for the Dead". Oba są osadzone na jasno określonym tematycznym tle – wywołanej rozłąką tęsknoty, ale również katastrofy klimatycznej w pierwszym z nich, oraz choroby, starzenia się, śmierci i związanego z tymi procesami zaniku umiejętności, które wydawały się esencją życia – w drugim.

Oba też, choć wychodzą od intymnych relacji (bohater „No Yogurt for the Dead" został zainspirowany postacią ojca reżysera, cenionego dziennikarza) stają się autotematyczną opowieścią o przekształcaniu własnych doświadczeń w sztukę – oto wyjęte z życia tworzywo zostaje włączone w przestrzeń mitu, baśni dla dorosłych, dzieła, które jak w gabinecie luster przegląda się w innych tekstach kultury, nie tracąc nic ze swojego osobistego, indywidualnego tonu.

Urodzonego w 1977 roku Tiago Rodriguesa (nie mylić z portugalskim piłkarzem, który nazywa się identycznie), bardziej niż szkoła teatralna, którą porzucił w wieku 21 lat, ukształtowała praca w niezależnym teatrze – w belgijskiej grupie Tg Stan, z którą współpracuje od 1998, czy w założonym w 2003 roku w rodzinnej Portugalii Mundo Perfeito, jedną z najważniejszych organizacji teatralnych w kraju.

W latach 2014-2021 był dyrektorem lizbońskiego Teatro Nacional D. Maria II (zrealizowanego tam „Antoniusza i Kleopatrę" można było zobaczyć podczas Festiwalu Szekspirowskiego w Gdańsku w 2021 roku), a swoje spektakle pokazywał m.in. na Wiener Festwochen i festiwalu w Awinionie.

Kiedy w 2022 roku wystawiał tam swój „Wiśniowy sad" z Isabelle Huppert w roli Raniewskiej, publiczność przez kilka wieczorów z rzędu wypełniała liczącą dwa tysiące miejsc widownię Pałacu Papieży. Rodrigues jest laureatem prestiżowej nagrody Nowe Rzeczywistości Teatralne i tytułu Chevalier de l'Ordre des Arts et des Lettres.

OSOBISTE HISTORIE I JOGURT DLA PUBLICZNOŚCI

W swoich spektaklach często eksploruje osobiste wątki – impulsem dla „Na pamięć", pokazywanego w Warszawie w 2022 roku w ramach Międzynarodowego Festiwalu Nowa Europa, była utrata wzroku jego babci, Cândidy, która prosząc wnuka o znalezienie książki, której mogłaby się nauczyć na pamięć, zainspirowała teatralny proces, w którym dziesięcioro ochotników, bez przygotowania, przed publicznością uczy się na pamięć „Sonetu XXX" Williama Szekspira, a który pozwolił zadać pytania o osobiste i polityczne konotacje zamiany kolektywnej, ludzkiej, całkowicie analogowej pamięci w archiwum literackich tekstów.

Z kolei jedenaście lat temu na Malcie, w „If a Window Would Open" podsuwał widzom do przemyślenia biegunowo odmienną, utopijną wizję świata, z którego wyciekły wraz z informacyjnym szumem słowa. Tam też pojawił się jogurt – tytułowy bohater spektaklu pokazywanego w tym roku na WST – wtedy serwowany publiczności w antrakcie, w opakowaniach z napisami do wyboru („Sexy", „Dziewica", „Szczęśliwy/a", „Bogaty/a", ale też „Skorumpowany/a").

Jeśli szukać na polskiej scenie kogoś, kto realizowałby podobny model teatru, to najbliżej byłoby do niego Mateuszowi Pakule, twórcy m.in. głośnego przedstawienia „Jak nie zabiłem swojego ojca i jak bardzo tego żałuję", którego spektakle równie często wyrastają z osobistych historii, wpisywanych w szerszy społeczny kontekst.

O obecności aktora na scenie Rodrigues mówił w wywiadzie dla miesięcznika „Teatr" jako o zagadce: „W jaki sposób osiągnąć publiczną intymność? W jaki sposób tworzyć intymną wersję siebie, która występuje publicznie w powiązaniu z ideą albo tekstem? Zatem w sposób nieunikniony granica między moją biografią a teatrem nie jest zbyt wyraźna. Jedne z najbardziej niezwykłych momentów mojego życia, te, które najcieplej wspominam, które najbardziej mnie zmieniły, miały miejsce na scenie".

W „No Yogurt for the Dead" dzieli się z publicznością intymną historią odchodzenia własnego ojca, dziennikarza Rogério Rodriguesa, którą przekuwa w rodzaj baśni i musicalu zarazem – trzy aktorki (Lisah Adeaga, Manuela Azevedo, Beatriz Brás) żonglują tu rolami Długobrodego, czyli ojca, Krótkobrodego (syna) i Najgorszej Pielęgniarki Świata, która zarazem jest tą najlepszą. W drodze do szpitala ojca wciąż nie opuszcza reporterski nerw – zabiera ze sobą notes, żeby zapisywać w nim swoje obserwacje, a synowi robi awanturę, kiedy ten przynosi mu pióro z niebieskim atramentem, zamiast czarnego.

> *W sposób nieunikniony granica między moją biografią a teatrem nie jest zbyt wyraźna. Jedne z najbardziej niezwykłych momentów mojego życia, te, które najcieplej wspominam, które najbardziej mnie zmieniły, miały miejsce na scenie*
>
> TIAGO RODRIGUES

A jednak kiedy po śmierci ojca syn otwiera zeszyt, zamiast notatek z odchodzenia znajduje w nim pozbawione sensu gryzmoły. Spektakl staje się próbą zrekonstruowania tego, co nie zostało zapisane – ojciec umiera w nim kilkakrotnie, za każdym razem nagle, zawsze zbyt prędko i nie w porę. W scenograficznej wizji Sammy Van den Heuvel szpital jest położony na stromym zboczu góry, które przecina sale pacjentów – krótki spacer do łazienki staje się tu mozolną wspinaczką.

W ostatnich dniach życia Długobrodemu towarzyszą dwa dopalacze – jogurt, jedyny pokarm, jaki może przełknąć, tajemniczy eliksir, który zamienia go w spragnione miłości dziecko, podawany łyżeczką do ust przez Najgorszą; i piosenki – od francuskiej klasyki spod znaku Jacquesa Brela, z nieśmiertelną „La chanson de vieux amants", aż po portugalskie fado. A choć początkowo wydaje się, że czeka nas teatr opowieści, który będzie próbą znalezienia najwłaściwszych słów zdolnych oddać prawdę o odchodzeniu i o relacjach, z czasem to muzyka zaczyna nim kierować, a kluczowe frazy odnajdą się w tekstach piosenek.

PORTRET RELACJI DWOJGA BLISKICH OSÓB

Z kolei czas akcji „Dystansu", którego poznański festiwal Malta jest koproducentem, kieruje nas nie w przeszłość, ale w przyszłość, choć spektakl odpowiada na całkiem współczesne lęki. Przenosimy się do roku 2077, w świat przeobrażony przez katastrofę klimatyczną. To z jej powodu ludzie żyją na dwóch planetach – Ziemi i Marsie. Taki właśnie dystans dzieli bohaterów tej opowieści: ojciec (Adama Diop) pozostał na „starej planecie", córka (Alison Dechamps) wybrała tę nowo skolonizowaną, odległą, na której żyje się w oderwaniu od dziedzictwa ludzkości, od kolektywnej historii i intymnych wspomnień.

Pozostaje im wymiana wiadomości, w których częściej spierają się, niż zgadzają ze sobą, a pomostem, który ich łączy, okażą się piosenki, zaszyfrowane w plikach wysyłanych w kosmos. „Dystans", pozostając portretem relacji dwojga bliskich osób, staje się też opowieścią o odpowiedzialności za świat, ale też o międzypokoleniowych napięciach, które rozsadzają go od środka, z równą siłą, co wywołane kryzysem klimatycznym sejsmiczne wstrząsy. Ziemia i Mars w scenograficznym projekcie Fernanda Ribeiry, stają się dwiema częściami tego samego okręgu – formalnie spektakl został osadzony na stosunkowo niewielkiej, obrotowej, nieustannie kręcącej się scenie, podzielonej na dwie przestrzenie, dzięki czemu tytułowy dystans dzielący bohaterów wydaje się względny. ●

Gdzie obejrzeć?

• Spektakl **„No Yogurt for the Dead"** zostanie pokazany na Warszawskich Spotkaniach Teatralnych: 11 czerwca o godz. 19 i 12 czerwca o godz. 18 w Teatrze Studio w Warszawie. **„Dystans"** będzie można zobaczyć na Malta Festiwalu: 24 czerwca o godz. 19 i 25 czerwca o godz. 17 w Auli Artis w Poznaniu. Szczegóły na stronach: warszawskie.org i malta-festival.pl

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

wyborcza

STOŁECZNA

Poniedziałek, 8 czerwca 2026 | Redaktor prowadzący Jakub Chełmiński

warszawa.wyborcza.pl | Kontakt z redakcją: stoleczna@wyborcza.pl

Właściciel klubu Luzztro i dawnej Pragi Centrum oskarżony

„Złapał za szyję, podduszał”

Kiedy Łukasz K. zaczął mnie dusić, pomyślałem, że to już koniec. Że już się nie wyrwę. Odcięło mnie i straciłem przytomność – opowiada Michał Urbaniak, zaatakowany przez właściciela znanego warszawskiego klubu.

Michał Żyłowski

• **16.04.2025 roku, Warszawa, ulica Szwedzka 2/4. Eksmisja klubu Praga Centrum**
FOT. ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

48-letni Łukasz K. stoi za sukcesem mieszczącego się obok palmy na Rondzie de Gaulle'a klubu Luzztro, w którym trwające do południa imprezy odbywają się już od ponad dwóch dekad. To lokal, który cieszy się ogromną popularnością wśród fanów muzyki techno.

K. zajmuje się także innymi biznesami z branży imprezowej, gastronomicznej, technologicznej, a nawet budowlanej. Praska prokuratura właśnie oskarżyła go o przestępstwa, za które może trafić do więzienia.

Klub Praga Centrum do eksmisji

Łukasz K. razem ze wspólnikiem prowadzi także klub Praga Centrum. Klub został zorganizowany w dwóch halach na zabytkowym terenie byłej zbrojowni przy ul. Szwedzkiej 2/4 na Pradze Północ. Dzięki doświadczeniu w branży jego twórców klub Praga Centrum bardzo szybko stał się kolejnym ważnym i znanym miejscem na imprezowej mapie Warszawy. Na 600 m kw. powstała tam strefa klubowa, koncertowa oraz bar.

Hale, w których znajdował się klub, były wynajmowane od Uczelni Medycznej im. Marii Skłodowskiej-Curie oraz przedsiębiorcy Michała Urbaniaka. Niedługo po tym, jak Praga Centrum zaczęła działać, klub przestał płacić za wynajem, a pomiędzy ich właścicielami i Łukaszem K. zaczął się ostry konflikt.

Jego punktem kulminacyjnym było zdarzenie z 2022 roku, kiedy Michał Urbaniak próbował odzyskać halę – wszedł do budynku bocznymi drzwiami i zamurował jedno z przejść w budynku. Chwilę później na miejsce przyjechał Łukasz K., który miał wejść do środka przez wybite okno. – Łukasz był agresywny. Uderzył mnie, wytrącając mi z ręki telefon, którym nagrywałem całe zdarzenie – opowiedział później naszej redakcji Urbaniak.

Łukasz K. nigdy nie został skazany za to, co stało się cztery lata temu. Od tamtego czasu spór trwał już tylko przed sądem, ponieważ prawnicy Uczelni Medycznej im. Marii Skłodowskiej-Curie i Urbaniaka zażądali eksmisji klubu i zwrócenia im budynku.

W końcu po latach prawniczego przeciągania liny sąd w końcu orzekł, że Praga Centrum zajmuje to miejsce nielegalnie i że musi się wynieść.

Łukasz K. wjeżdża terenówką do Pragi Centrum

Do egzekucji komorniczej klubu doszło 21 maja ubiegłego roku. Do hal przy ul. Szwedzkiej przyjechali komornik, prawnicy uczelni oraz przedsiębiorca Michał Urbaniak. Łukasz K. początkowo się nie pojawił. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyli policjanci, były zerwane naklejki, które informowały o terminie egzekucji komorniczej. Kiedy funkcjonariusze weszli do środka, zastali tam 65-letniego Zbigniewa S.

S. powiedział policjantom, że jest powiernikiem spółki Szwedzka24 (firmy prowadzącej Pragę Centrum) i że od 16 maja (pięć dni przed egzekucją komorniczą) jest posiadaczem hali, choć nie ma na to dokumentów. Kiedy policjanci zaczęli zadawać mu pytania, Zbigniew S. stwierdził, że nie wie o istnieniu firmy Szwedzka24 ani do czego była wykorzystywana hala. Ostatecznie opuścił budynek na wezwanie komornika, choć powiedział, że doszło do naruszenia i że komornik działa bezprawnie.

Egzekucja komornicza przebiegła po myśli właścicieli hali. Komornik wydał nieruchomość właścicielowi, a postępowanie zostało zakończone. Właściciele po odzyskaniu hali zaczęli już nawet prowadzić pierwsze prace naprawcze, murowali jedno z wejść, żeby ograniczyć dostęp do środka, a także wymienili zamki.

Kiedy tylko policjanci odjechali, na miejscu pojawił się Łukasz K. Przyjechał żółtą terenową Toyotą FJ Cruiser z wyciągarką. Przyczepił hak samochodu do jednych z drzwi hali, naprężył linę i z impetem je wyłamał. Całe zajście zostało nagrane przez Michała Urbaniaka.

Po latach prawniczego przeciągania liny sąd orzekł, że Praga Centrum musi się wynieść

Następnie K. wjechał terenowym autem do środka hali i wysiadł. Mężczyzna miał być agresywny i pokrzykiwać, że komornik nie działa zgodnie z prawem. Michał Urbaniak prosił go, żeby opuścił halę, ale sytuacja jedynie eskalowała. W końcu Łukasz K. rzucił się na Urbaniaka, chwycił go za szyję i zaczął go dusić. – Kiedy Łukasz K. zaczął mnie dusić, pomyślałem, że to już koniec. Że już się nie wyrwę. Odcięło mnie i straciłem przytomność. Ocknąłem się dopiero po chwili – wspomina zaatakowany Michał Urbaniak.

– Gdy byłem duszony, pojawiła mi się taka myśl, czy warto było w ogóle walczyć o moje prawo do tego miejsca – wyznaje Urbaniak.

K. przestał dusić Urbaniaka dopiero wtedy, kiedy jeden ze świadków zagroził mu użyciem gazu łzawiącego. Chwilę później na miejsce ponownie przyjechali policjanci, którzy skuli K. kajdankami, wsadzili do radiowozu i przewieźli na komendę. Został objęty dozorem policji (raz na dwa tygodnie musi stawiać w komisariacie), zabroniono mu przebywać przy ul. Szwedzkiej 2/4 i kontaktować się z Michałem Urbaniakiem.

Prawowici właściciele hal, a więc władze uczelni i Michał Urbaniak, zostali przy ul. Szwedzkiej 2/4 i odzyskali swoje nieruchomości.

Nie przyznaje się do winy

Dwa tygodnie temu, a więc rok po egzekucji komorniczej, Prokuratura Rejonowa Warszawa-Praga Północ skierowała do sądu akt oskarżenia przeciwko Łukaszowi K. Przedsiębiorca został oskarżony o naruszenie nietykalności cielesnej Michała Urbaniaka poprzez złapanie za szyję i podduszenie, zniszczenie zabytkowej nieruchomości (XIX-wieczna Stalownia Praska jest zabytkiem od 2000 r.) i naruszenie miru domowego. Wartość szkód wyrządzonych przez K. jest szacowana na 19 tys. zł.

Jak udało nam się ustalić, Łukasz K. nie przyznał się do zarzucanych mu przestępstw. Mężczyzna utrzymuje, że wcale nie użył wobec Urbaniaka przemocy, nie dusił go, a jedynie zastosował wobec niego „chwyt transportowy” i że zrobił to we własnej obronie. Poza tym K. wciąż twierdzi, że ma prawo do zajmowania hal przy ul. Szwedzkiej, a wyrwane przez niego drzwi wcale nie były częścią zabytku, jak twierdzi prokuratura.

– Łukaszowi K. grozi od sześciu miesięcy do ośmiu lat więzienia – mówi Karolina Staros, rzeczniczka prasowa Prokuratury Okręgowej Warszawa-Praga. K. nie był w przeszłości karany.

Prokuratura oskarżyła także Zbigniewa S., który przebywał w hali w momencie, kiedy wszedł do niej komornik. S. stanie przed sądem za naruszenie miru domowego. Mężczyzna był w przeszłości skazany za znęcanie się nad osobą najbliższą.

Aktualnie w halach przy ul. Szwedzkiej po Pradze Centrum nie ma już śladu. Dziś działa w tym miejscu lokal Stalownia, który organizuje targi, premiery seriali i burleskę. ●

1 WA

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

Lex deweloper w Warszawie

Deweloperzy walczą o zgody na nowe osiedla z setkami mieszkań

Pozytywne opinie wywalczyli w ostatnich dniach w radach dzielnic inwestorzy, którzy zabiegają o zgody na budowy dużych osiedli w trybie lex deweloper. Wygląda na to, że na czerwcowej sesji Rada Warszawy zdecyduje o losie tych inwestycji.

Michał Wojtczuk

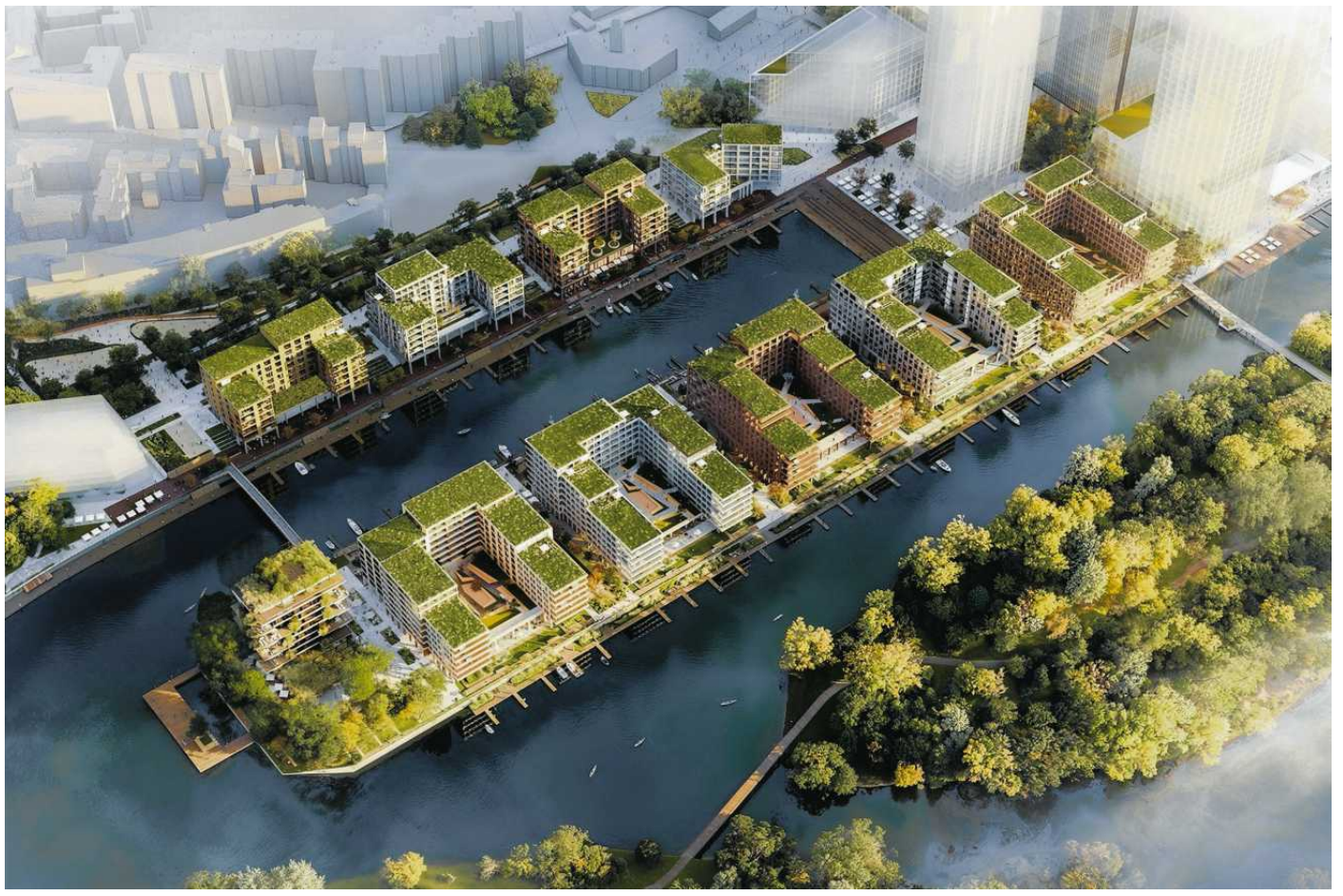

• **Schemat koncepcji zagospodarowania terenu na cyplach Portu Praskiego oraz ich sąsiedztwa. Spółka Port Praski w trybie tzw. ustawy lex deweloper chce tam zbudować ok. 1,2 tys. mieszkań**
GRAFIKA: MATERIAŁY INWESTORA

Lex deweloper pozwala budować osiedla tam, gdzie nie dopuszczają ich plany zagospodarowania lub studium, nadrzędny miejski dokument urbanistyczny. Inwestor potrzebuje do tego zgody rady miasta. Przepisy o lex deweloper wygasają z końcem czerwca, na dziś nie wiadomo, czy zostaną przedłużone do końca sierpnia.

Dostać zgody jeszcze w czerwcu

Dlatego deweloperom zależy, by uzyskać zgody na inwestycje w tym trybie jeszcze w czerwcu. Dwóch inwestorów w ostatnich dniach nerwowo walczyło o to, by uzyskać pozytywne opinie w radach dzielnic. Bo po zablokowaniu trzech projektów lex deweloper na Żoliborzu, co tłumaczono negatywnym stanowiskiem dzielnicy, opinie rad dzielnic stały się ważniejsze, niż dotąd.

Jednym z opiniowanych projektów było osiedle, które firma Robyg, chce zbudować na sześciu hektarach na obrzeżach Miasteczka Wilanów, w miejscu, gdzie przez lata planowano galerię handlową. W trzech kwartałach budynków ma powstać blisko 600 mieszkań. Do tego młodzieżowy dom kultury.

Pod koniec maja inwestycję opiniowała rada dzielnicy Wilanów. Było nerwowo: na dzielnicowej komisji ładu przestrzennego radni zirytowali się, że inwestor nie dostarczył raportu z konsultacji społecznych. Robyg przekazał go na dzień przed sesją rady dzielnicy, która odbyła się dwa dni po komisji.

Podczas sesji rady dzielnicy padało wiele głosów krytyki. Guy C. Perry, autor koncepcji urbanistycznej Miasteczka Wilanów cierpko oceniał architekturę domu kultury, przekonując, że „nie ma on prezencji znaczącego budynku kulturowego, raczej przeprasza wyglądem".

Inwestycję Robyga pozytywnie zaopiniowała Miejska Komisja Urbanistyczno-Architektoniczna. Ale też przyznała, że budynek domu kultury jest niepozorny i mógłby być wyższy. Dwukondygnacyjny gmach będzie sąsiadować z biurowcem i blokami o pięciu kondygnacjach.

– Zdajemy sobie sprawę, że ten budynek mógłby być wyższy. I tego tematu jeszcze nie chcemy zamykać – mówił Bohdan Szułczyński, przedstawiciel Robyga. Zaznaczał: – W Wilanowie mieszkania są droższe niż np. na Białołęce, ale my już przy tym projekcie zaproponowaliśmy najwyższą kontrybucję w przeliczeniu na jedno mieszkanie w historii lex deweloper w Warszawie; to prawie 85 mln zł. Każde zwiększanie kubatury tego budynku łączy się z większymi kosztami. Ale nie mówimy „nie", tylko umożliwcie nam złożenie formalnego wniosku. – apelował. I w końcu rada dzielnicy, po kilkugodzinnej dyskusji pozytywnie zaopiniowała inwestycję (formalnie była to opinia elementu oświatowego, czyli domu kultury).

W tym samym czasie radni z Pragi Północ dyskutowali o lex deweloper w Porcie Praskim. To projekt dwukrotnie większy niż ten w Wilanowie. Koncepcja, którą przedstawiła spółka Port Praski, należąca do biznesowego imperium Zygmunta Solorza, przewiduje budowę 337 mieszkań na nabrzeżu portu od strony ul. J. Zamoyskiego, a w drugiej kolejności – 935 mieszkań w budynkach położonych na jednym z portowych pirsów.

Ten projekt był już konsultowany w 2024 r. Wtedy inwestor obiecywał m.in budowę nowego przedszkola na terenie dzisiejszego parkingu przy ul. Jagiellońskiej oraz fragmencie skweru Kępna. Po wyborach samorządowych 2024 r i zmianie koalicji rządzącej dzielnicą (wcześniej współrządził PiS, teraz – KO wraz z lewicą i lokalnymi społecznikami) zmieniło się też podejście do inwestycji towarzyszących. Dzielnica już nie chce przedszkola.

Przepisy o lex deweloper wygasają z końcem czerwca, na dziś nie wiadomo, czy zostaną przedłużone do końca sierpnia

„Gros środków inwestora przekierowaliśmy na remont szkoły najbliżej inwestycji i w złym stanie, czyli Szkoła Podstawowa nr 50 im. Królowej Jadwigi w Warszawie (ok. 37 mln PLN)" – informował po sesji Krzysztof Michalski (Porozumienie dla Pragi). Podliczał, że nakłady dewelopera na dodatkowe inwestycje zostały zwiększone z 30 do 47 mln zł (w zakres prac wchodzi m.in. przebudowa układu drogowego w okolicy, w tym ulic Jagiellońskiej, Kępnej, części Okrzei, Wrzesińskiej i części Kłopotowskiego".

Inwestycję w takim kształcie (znów: formalnie chodziło tylko o komponent oświatowy) rada dzielnicy oceniła pozytywnie.

Trzecią pozytywną opinię dla lex deweloper dała w ostatnich dniach rada dzielnicy Białołęka. Chodzi o 12 bloków o wysokości do pięciu pięter chce budować firma deweloperska Robyg. Osiedle Przystań Warszawa miałoby powstać na miejscu starych hal Faelbetu między ul. Kupiecką a Płochocińską na Białołęce, w pobliżu rozwidlenia Kanału Żerańskiego.

Firma obiecuje przeciąć kwartały zabudowy ogólnodostępnymi terenami zielonymi, zagospodarować zielenią dziedzińce bloków, a wzdłuż ulic na terenie osiedla planuje posadzić 300 drzew. Chce też zbudować na swoim terenie i oddać miastu szkołę podstawową, która mogłaby przyjąć blisko 700 dzieci.

Trzy „leksy" na czerwcowej sesji Rady Warszawy

Dzięki pozytywnym opiniom rad dzielnicy te trzy osiedla mają szanse na uzyskanie akceptacji Rady Warszawy przed wygaśnięciem przepisów o lex deweloper. Jednak w programie najbliższej sesji, która odbędzie się 11 czerwca, na razie zaplanowano głosowania tylko w sprawie lex deweloper w Porcie Praskim oraz dwóch „leksów", które dostały wcześniej pozytywne opinie dzielnic.

Jednym z nich jest ten przymierzany na miejscu starych biurowców w rejonie ulic Marynarskiej i Wynalazek na Służewcu (ok. 500 mieszkań; inwestor obiecał inwestycje towarzyszące na kwotę 56 mln zł, w tym budowę przedszkola).

Drugim jest ten na miejscu starych hal produkcyjnych w północnej części Szamot w Ursusie, u zbiegu ulic Gierdziejewskiego i Licencyjnej.

Firma Robyg chce tam zbudować między 900 a 1,2 tys. mieszkań oraz duże przedszkole dla 200 dzieci. Inwestor bierze też na siebie budowę nowych dróg i modernizację istniejących ulic, łączny koszt inwestycji szacowany jest na 42 mln zł.

W programie sesji nie ma na razie ani lex deweloper na miejscu Galerii Wilanów, ani „leksa" przy ul. Kupieckiej. ●

www.nekrologi.wyborcza.pl/34437985

Kasiu,

Tobie, Twojej Rodzinie i Bliskim

składamy najszczersze wyrazy współczucia z powodu śmierci

ukochanego Wujka

Myślami i sercem jesteśmy z Tobą.

Zespół Fundacji TVN

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

Fabryka fikcyjnego zatrudniania cudzoziemców

Prokuratura: prawniczka kierowała grupą przestępczą

Sieć fikcyjnych firm, „słupy" zamiast pomocy prawnej, masowe wyłudzanie decyzji od wojewodów. Warszawska prawniczka Małgorzata N. stanęła przed sądem za kierowanie grupą przestępczą, która nielegalnymi metodami, za pieniądze zalegalizowała pobyt setkom imigrantów.

Michał Żyłowski

Na profilu zawodowym w portalu LinkedIn Małgorzata N. przedstawia się jako ekspertka w dziedzinie prawa korporacyjnego, handlowego i imigracyjnego. Absolwentka Uniwersytetu Warszawskiego i Szkoły Głównej Handlowej, z „wieloletnim doświadczeniem w renomowanych kancelariach i administracji publicznej", deklaruje, że „pewnie i skutecznie porusza się w przeregulowanym systemie prawnym".

Zupełnie inny obraz wyłania się z akt prokuratorskich. Według śledczych z Wydziału Zamiejscowego Prokuratury Krajowej w Białymstoku, 43-letnia prawniczka pochodząca ze Starachowic przez trzy lata miała kierować zorganizowaną grupą przestępczą. Zamiast udzielać rzetelnej pomocy prawnej, miała stworzyć maszynerię do masowego wyłudzania decyzji administracyjnych od wojewodów w całej Polsce.

113 tomów akt i 19 oskarżonych

Sprawa, którą kierowała naczelnik wydziału prokurator Iwona Kruszewska, urosła do ogromnych rozmiarów. Akt oskarżenia liczy 430 stron maszynopisu i obejmuje 371 zarzutów. Na ławie oskarżonych obok Małgorzaty N. zasiada 18 osób, w tym jej mąż Krzysztof N. oraz brat Ryszard K.

Grupa mając swoje centrum w Warszawie, w latach 2016-2019 działała na terenie siedmiu województw w takich miastach jak m.in. Białystok, Bydgoszcz, Słupsk, Olsztyn, Kraków czy Chełm.

Majątek zabezpieczony u głównej oskarżonej to mieszkanie z kredytem na milion złotych, BMW 320D oraz Audi Q7 i 80 tys. zł oszczędności. Zanim stanęła przed sądem przebywała w areszcie w Białymstoku.

Dokumenty in blanco, firmy zakładane na „słupy"

Z dokumentów zgromadzonych w sprawie wynika, że grupa (prawniczka i jej współpracownicy) miała pod kontrolą sieć podmiotów zajmujących się doradztwem dla cudzoziemców, m.in. TOP Jobs (TOPJOBS.EU), Polandvis oraz Al. Wathania Investment. Na oficjalnych stronach internetowych firma głównej oskarżonej chwaliła się obsłużeniem łącznie 23 tys. klientów i uzyskaniem 8 tys. pozwoleń na pracę. Oferowała m.in. „specjalny program na kartę pobytu UE" za kwotę 5 tys. euro.

W rzeczywistości legalizacja pobytów opierała się na fałszerstwach. Procedura wyglądała następująco. Członkowie grupy tworzyli i przedkładali w urzędach wojewódzkich umowy o pracę z podmiotami, które prowadziły fikcyjną działalność gospodarczą. Firmy te były odpłatnie zakładane na tzw. słupy – osoby znajdujące się w trudnej sytuacji finansowej.

W biurze firmy TOPJOBS przechowywano specjalne segregatory z czystymi, podpisanymi przez rzekomych pracodawców drukami oraz pieczątkami firmowymi. „Pracodawcy" regularnie przychodzili do biura, by składać podpisy in blanco i odbierać za to gotówkę.

Tworzono też fałszywe umowy najmu lokali, które miały potwierdzać stałe miejsce pobytu cudzoziemców w Polsce. Przykładem jest działalność Maryii R. i firmy OMEGA PRIM, która w 2018 roku zawarła umowę najmu pokoju przy ul. Zaliwskiego w Warszawie z czynszem wynoszącym 100 zł. Cudzoziemcy nigdy tam jednak nie mieszkali.

• **Warszawa, ulica Marszałkowska 3/5, Mazowiecki Urząd Wojewódzki. Kolejki interesantów przed Wydziałem Spraw Cudzoziemców**

FOT. MICHAŁ BOROWCZYK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Śledczym nie udało się ustalić, aby jakikolwiek cudzoziemiec rzeczywiście podjął pracę u wskazanych pracodawców

Po skompletowaniu dokumentów wyznaczony członek grupy szedł z cudzoziemcem do urzędu, pomagając w złożeniu wniosku i pełniąc rolę tłumacza. Klientów grupa pozyskiwała poprzez ulotki rozdawane pod urzędami ds. cudzoziemców oraz od zagranicznych pośredników. W ten proceder uwikłane były kolejne firmy.

Biznes na migrantach na masową skalę

Z ustaleń prokuratury wynika, że cudzoziemcy płacili grupie od 2 do 5 tys. euro za uzyskanie zezwolenia na pobyt czasowy i pracę. Obywatele Ukrainy płacili mniej – od 1,2 do 1,6 tys. euro.

Z samych tylko 559 udokumentowanych przypadków (dotyczących m.in. obywateli Iraku, Iranu, Pakistanu, Algierii, Egiptu, Syrii czy Jordanii) Małgorzata N. miała zarobić co najmniej 1,1 mln euro.

Śledczym nie udało się ustalić, aby jakikolwiek cudzoziemiec rzeczywiście podjął pracę u wskazanych pracodawców. Po uzyskaniu dokumentów ważnych we wszystkich krajach grupy Schengen na ogół szybko wyjeżdżali z Polski za granicę.

Służby wpadły na trop grupy dzięki kobiecie, która zgłosiła się do komendy policji przy ul. Wilczej i powiedziała, że N. od lat nielegalnie przyjmuje migrantów.

Przesłuchana Małgorzata N. częściowo przyznała się do winy w zakresie kierowania grupą i rekrutowania cudzoziemców. Potwierdziła, że osobiście przygotowywała dokumenty in blanco. Wskazała też, że w 2017 roku zarejestrowała spółkę LTC Ecorys na Huberta P. (on też zasiada na ławie oskarżonych), która miała służyć wyłącznie do legalizacji pobytu bez świadczenia pracy. P. miał tego pełną świadomość i otrzymywał za to 500 zł miesięcznie.

Oskarżona wprost opisała zasady panujące w jej firmie: „Ja przyjmując każdą osobę do pracy wyjaśniałam, że firma zajmuje się pomocą m.in. w legalizacji pobytu cudzoziemców w oparciu o fikcyjne zatrudnienie. Nie mogło być takiej sytuacji, że pracownik pracował u mnie 3 miesiące i coś zaczął podejrzewać, że coś z firmą jest nie w porządku. Od razu było jasne, że niektóre dokumenty dotyczące zatrudnienia są fikcyjne".

Jednocześnie N. umniejsza swoją rolę w bezpośrednich kontaktach finansowych, twierdząc, że to kto inny przyjmował klientów, negocjował ceny i odbierał gotówkę, a 95 proc. cudzoziemców trafiało do biura za pośrednictwem zewnętrznych agencji.

Proces ciągnie sie od 2023 roku, końca nie widać

Przewód sądowy w sprawie przed Sądem Okręgowym otwarto już 4 grudnia 2023 roku. Jak informuje rzeczniczka sądu, sędzia Anna Ptaszek, lista oskarżonych obejmuje 19 osób, którym zarzuca się m.in. udział w grupie przestępczej, poplecznictwo, podrabianie dokumentów oraz wyłudzanie poświadczenia nieprawdy.

Małgorzata N. odpowiada z najcięższego paragrafu, czyli kierowania zorganizowaną grupą przestępczą, za co grozi kara od 2 do 15 lat pozbawienia wolności. Pozostali oskarżeni, m.in. Krzysztof N., Renata M., Urszula G., Hubert P. czy Maryia R., odpowiadają głównie za udział w grupie oraz pomoc w nielegalnym pobycie. Andrzej N. odpowiada za poplecznictwo.

Do tej pory wyznaczono 18 terminów rozpraw. Sąd jednak nadal prowadzi przesłuchania Małgorzaty N., która odnosi się do każdego z zarzutów, a więc 559 przypadków. ●

57-letni Ukrainiec został deportowany

Wyłowił potężnego suma z gocławskiego Balatonu

Wędkarz z Ukrainy wyciągnął z Balatonu na Pradze Południe wielkiego suma, który żył w jeziorku od 20 lat. Za swój czyn został deportowany.

Kilka dni temu Polskę obiegł film, na którym wędkarz wyłowił z gocławskiego „Balatonu" suma, który w akwenie pływał od 20 lat. Ryba o długości grubo ponad półtora metra złapała zarzucony haczyk, ale początkowo wyjąć się nie dała. Dlatego ukraiński wędkarz, razem ze swoim kolegą, zaczęli łowić „na żywca", a więc rękoma, bez użycia wędki. Gdy wyciągnęli ją na brzeg, mimo sprzeciwu gapiów, załadowali zwierzę do bagażnika i odjechali.

Ryba została złowiona jeszcze w maju, a zgodnie z Regulaminem Amatorskiego Połowu Ryb, który obowiązuje w Polsce, okres ochronny dla suma trwa od 1 stycznia do 31 maja (na niektórych wodach aż do połowy czerwca). Oznacza to, że w maju sumów nie wolno nie tylko zabierać, ale nawet celowo łowić. Jeśli przypadkowo wejdzie na haczyk, trzeba natychmiast zwrócić go do wody.

– Nie otrzymaliśmy żadnego zgłoszenia ani zawiadomienia związanego z tą sprawą, ale policjanci na podstawie opublikowanych w sieci materiałów sami podjęli pierwsze czynności. Materiał filmowy został zabezpieczony przez policjantów z Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego, którzy zajmują się tą sprawą – informowała nas rzeczniczka południowo-praskiej policji Joanna Węgrzyniak.

Mężczyzna dostał 5-letni zakaz wjazdu na terytorium Polski oraz innych państw obszaru Schengen

57-letni Ukrainiec został zatrzymany 2 czerwca. Zostały mu przedstawione zarzuty dotyczące przewożenia ryby, która została wyłowiona w okresie ochronnym oraz o znęcania się nad nią poprzez transport jej bez dostępu do wody. Za czyny z tych artykułów grozi do trzech lat pozbawienia wolności.

Jak ustaliliśmy, po wykonaniu czynności policjanci przekazali mężczyznę w ręce Straży Granicznej, która 3 czerwca deportowała wędkarza do Ukrainy przez przejście w Dorohusku. 57-latek dostał 5-letni zakaz ponownego wjazdu na terytorium Polski oraz innych państw obszaru Schengen.

Sprawę potwierdza rzeczniczka komendanta Nadwiślańskiego Oddziału Straży Granicznej mjr. Dagmara Bielec. – Obywatel Ukrainy po przeprowadzeniu czynności administracyjnych, otrzymał decyzję zobowiązującą do przymusowego opuszczenia Polski. Po czynnościach został doprowadzony do granicy państwa i przekazany ukraińskiej służbie granicznej – przekazała „Wyborczej". ●

Rafał Górski

• **Więcej czytaj na warszawa.wyborcza.pl**

1 WA

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

Blikle jednak nie zniknie z Nowego Światu?

Miasto pomoże kawiarni wyjść z długów

Firma A. Blikle jest na Nowym Świecie od 157 lat. Ostatnio wpadła w spiralę zadłużenia, groziła jej eksmisja. Stołeczny samorząd nie umorzy jej dwóch milionów zł długów, ale pomoże wyjść na prostą.

FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Warszawa, ul. Nowy Świat. Kawiarnia Blikle**

Jest w tym pewien paradoks. Z jednej strony stołeczny samorząd pakuje dziesiątki milionów złotych w modernizację Chmielnej, Złotej i Zgoda, a także sadzi drzewa na pl. Powstańców Warszawy – wszystko w imię przywrócenia atrakcyjności centrum miasta.

A równolegle na ul. Nowy Świat straszą od lat pustostany po dawnym Empiku i kawiarni u zbiegu ze Świętokrzyską. A na dodatek widmo eksmisji zawisło także nad kawiarnią A. Blikle – ta marka na Nowym Świecie jest obecna od półtora wieku. Kawiarnia wpadła w spiralę zadłużenia i poprosiła miasto o pomoc.

O sytuacji kawiarni pisaliśmy niedawno w „Wyborczej". Blikle, który w samej Warszawie ma 15 lokali, głównie w centrach handlowych, wpadł w kłopoty finansowe w pandemii. W 2024 r. przestał płacić czynsz za lokal przy Nowym Świecie. Zaległości spowodowały karne podwyższenie czynszu. Uzbierał się dług przekraczający dwa miliony złotych. Realny zaczął stawać się scenariusz, w którym Blikle po 150 latach zostałby eksmitowany z Nowego Światu.

Firma w kwietniu 2026 r. wystąpiła do miasta o umorzenie części zobowiązań i rozłożenie reszty na raty. Uchwałą w tej sprawie warszawscy radni zajmą się na czwartkowej sesji Rady Warszawy.

W uzasadnieniu do uchwały, skierowanej do radnych przez wiceprezydentkę Aldonę Machnowską-Górę zaznaczono, że Blikle jest obecny przy ul. Nowy Świat od 1869 r. „Jest jedną z najstarszych i najbardziej rozpoznawalnych marek związanych z Warszawą" – przyznała wiceprezydentka.

Przypomniała historię kłopotów lokalu przy Nowym Świecie: według umowy A. Blikle miał za niego płacić ok. 61 tys zł miesięcznie. Gdy zaległości przekroczyły 315 tys. zł, ZGN Śródmieście w sierpniu 2024 r. wypowiedział firmie umowę najmu. Kawiarnia nie wyprowadziła się i formalnie do dziś zajmuje lokal bezumownie. Konsekwencją tego było karne podniesienie czynszu najpierw do 73 tys., potem do 92 tys, a od lutego 2025 r. – do 122 tys., czyli dwukrotności pierwotnego czynszu.

Zwracając się o umorzenie zadłużenia lub rozłożenie go na raty spółka podkreślała, że nie ma cukierni, która by funkcjonowała w przestrzeni Warszawy dłużej. Argumentowała, że nie jest w stanie wygenerować ze swojej działalności przychodów, pozwalających na opłacenie ustalonego czynszu.

Na umorzenie zaległości A. Blikle nie może liczyć ze względów formalnych. „Nie zaistniały żadne okoliczności nadzwyczajne, na które Spółka nie miałaby wpływu i które doprowadziły do powstania zadłużenia. Podjęcie decyzji o umorzeniu byłoby uzasadnione, gdyby zostały w pełni wyczerpane możliwości odzyskania należności. W przypadku Spółki nie można mówić o takiej sytuacji, ponieważ (...) w przyszłości może być prowadzona skuteczna egzekucja komornicza" – napisała wiceprezydentka Machnowska-Góra w uzasadnieniu do uchwały.

Dodała też, że umorzenie części zadłużenia stanowiłoby „nieuzasadnione uprzywilejowanie Spółki w stosunku do innych podmiotów, które wywiązują się ze zobowiązań finansowych wobec Miasta".

Ale wiceprezydentka przyznała, że przepisy pozwalają na rozłożenie należności na raty. Zaproponowano 48 miesięcznych rat w wysokości ok. 42 tys. zł do spłacenia w ciągu czterech lat. To umożliwi podpisanie nowej umowy najmu „ze stawką czynszu adekwatną do aktualnych warunków" – napisano w projekcie uchwały. Wiceprezydentka Machnowska-Góra przekazała „Wyborczej", że ta „adekwatna" stawka to 61 tys. zł. A. Blikle liczy, że tę kwotę jeszcze uda się obniżyć.

Raty mają być spłacane równolegle z bieżącymi opłatami za najem. Co oznacza rachunki nadal słone, na poziomie ok. 100 tys. zł miesięcznie. Ale i tak to już będzie kwota niższa o 20 tys. od obecnego karnie podniesionego czynszu.

– Zależy nam na tym, żeby na Nowym Świecie pozostać. Mieliśmy nadzieję, że uda się uzyskać umorzenie chociaż części zadłużenia. Niestety tak się nie stało. Ale rozłożenie zaległości na raty i podpisanie nowej umowy też jest krokiem, który pozwala na obniżenie czynszu – przyznaje Monika Kulczyńska z A. Blikle.

„Miasto, po zawarciu porozumienia ratalnego zachowuje możliwość wszczęcia egzekucji, bowiem brak chociażby jednej płatności, zgodnie z zapisami umowy spowoduje, że przestanie ona obowiązywać i dopuszczalne będzie przymusowe windykowanie długu" – zaznaczyła Aldona Machnowska-Góra w uzasadnieniu do projektu uchwały. ● **Michał Wojtczuk**

OGŁOSZENIE PŁATNE

Warszawa/34438164

1 WA

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

Informator usług funeralnych

WOLA
Exitus
Al. Solidarności 147,
dyżur całodobowy tel. 22 620 24 18,
vis a vis Urzędu Warszawa Wola
34412457

ŚRÓDMIEŚCIE
AMBER
Wspólna 27 A,
tel. całodobowy 501 796 471
34410528

WOLA
DOM POGRZEBOWY „BABICE"
ul. Okulickiego 5C, 05-082 Stare Babice
tel. całodobowy 602 11 89 49
www.babice.com.pl
34410523

MPUK 1945
Zakład Pogrzebowy Miejskie Przedsiębiorstwo Usług Komunalnych Sp. z o.o.
Punkty usług pogrzebowych:
Wola, Żoliborz, Mokotów, Śródmieście, Praga, Bielany, Targówek
24 h - 693 503 720
mpuk.pl
34389197

Z głębokim smutkiem i żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

ŚP

dr. Jana Dudka

cenionego lekarza, oddanego swojej pracy specjalistę,
Człowieka wielkiego serca i niezwykłej życzliwości.
Wieloletniego Dyrektora ds. medycznych
oraz Ordynatora Szpitala im. prof. M. Weissa
w Konstancinie -Jeziornie.
Dla wielu z nas był nie tylko lekarzem,
ale także wsparciem i autorytetem w najtrudniejszych chwilach życia.

W imieniu Zarządu i Pracowników
Mazowieckiego Centrum Rehabilitacji STOCER
składamy

Rodzinie

najszczersze wyrazy współczucia.

www.nekrologi.wyborcza.pl/34438025

Z ogromnym smutkiem
przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Pani Profesor

Katarzyny Kołodziejczyk

cenionej badaczki, szanowanej nauczycielki akademickiej
oraz Dziekan Wydziału Nauk Politycznych
i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego.

Wyrazy współczucia składamy

Rodzinie i Bliskim Pani Dziekan

oraz

społeczności Wydziału Nauk Politycznych

i Studiów Międzynarodowych.

Dziekan i społeczność akademicka
Wydziału Geografii i Studiów Regionalnych
Uniwersytetu Warszawskiego

www.nekrologi.wyborcza.pl/34438064

Pogrążeni w głębokim żalu

żegnamy naszego Przyjaciela

ŚP

Zbyszka Rowińskiego

Hania, Basia i Tomek

www.nekrologi.wyborcza.pl/34437700

ŚP

Mirosław Janusz Peryt

najukochańszy Tata, Dziadek, Brat, Wujek, Szwagier i Teść
były polski siatkarz

Przeżywszy lat 70,
zmarł 31 maja 2026 roku.

Msza św. żałobna zostanie odprawiona
w środę, 10 czerwca 2026 roku o godzinie 11.00
w kościele Matki Bożej Różańcowej w Piasecznie,
po czym nastąpi odprowadzenie Zmarłego
na miejsce wiecznego spoczynku
na Cmentarzu Parafii św. Ap. Piotra i Pawła w Warszawie,

o czym zawiadamia pogrążona w żalu

Rodzina

www.nekrologi.wyborcza.pl/34438020

Z głębokim żalem i smutkiem
żegnamy naszą serdeczną Koleżankę

Joannę Nowocień

Zapamiętamy Joasię jako osobę pełną życzliwości,
zaangażowania i profesjonalizmu.
Będzie jej nam bardzo brakowało.

Łączymy się w bólu

z Rodziną oraz Bliskimi

i składamy im najszczersze wyrazy współczucia.

Zarząd, Koleżanki, Koledzy i Przyjaciele
Generali Polska

www.nekrologi.wyborcza.pl/34438089

Drogiej Koleżance,

Łucji Barbaszewskiej

wyrazy głębokiego współczucia i słowa otuchy

z powodu śmierci

Taty

składają

Koleżanki i Koledzy z firmy Cisco Polska

www.nekrologi.wyborcza.pl/34437888

Z ogromnym żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

dr n. med.

Elżbiety Rusieckiej-Kuczałek

wspaniałej lekarki, dla której zdrowie pacjenta było zawsze
najwyższym priorytetem, wieloletniej Jurorki Konkursu
na Dziennikarza Medycznego Roku,
uhonorowanej przez dziennikarzy medycznych tytułem
„Przyjaciela Mediów" za wspieranie wiedzą działań na rzecz
popularyzacji osiągnięć współczesnej medycyny.

Jej odejście boleśnie nas dotknęło.

Najgłębsze wyrazy współczucia

Rodzinie

składają

Zarząd Stowarzyszenia Dziennikarze dla Zdrowia
i
Agencja DEVA PR

www.nekrologi.wyborcza.pl/34438083

Z głębokim żalem przyjąłem wiadomość o śmierci

prof.

Katarzyny Kołodziejczyk

dziekana Wydziału Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych
Uniwersytetu Warszawskiego,
wybitnej badaczki,
uznanej, zaangażowanej i życzliwej wykładowczyni akademickiej,
mojej Koleżanki z Instytutu Stosunków Międzynarodowych.

Rodzinie i Bliskim

składam wyrazy współczucia

Prezydent m.st. Warszawy

Rafał Trzaskowski

www.nekrologi.wyborcza.pl/34438041

Ze smutkiem zawiadamiamy, że 29 maja 2026 roku
w wieku 84 lat zmarł nasz ukochany Tata

ŚP

Włodzimierz Wróblewski

Msza Święta żałobna odbędzie się 9 czerwca 2026 roku
o godzinie 13.00 w kościele Św. Karola Boromeusza
przy ul. Powązkowskiej 14 (Stare Powązki),
po której nastąpi odprowadzenie Zmarłego
do grobu rodzinnego na cmentarz miejscowy.

Zawiadamiają pogrążeni w głębokim smutku

Ewa, Janek, Adam

www.nekrologi.wyborcza.pl/34437851

Z głębokim żalem żegnamy zmarłą 30 maja 2026 roku

dr hab.

Katarzynę Kołodziejczyk

prof. ucz.

Dziekan Wydziału Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych
Uniwersytetu Warszawskiego

Dziekan, Rada Wydziału oraz cała Społeczność Akademicka
Wydziału Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego

www.nekrologi.wyborcza.pl/34438015

Pani Dyrektor

dr hab. Annie Dunin-Dudkowskiej, prof. UMCS

składamy głębokie wyrazy współczucia z powodu śmierci

Mamy

Łączymy się z Panią i Pani Bliskimi w bólu.

Prosimy przyjąć słowa wsparcia i otuchy w tych ciężkich chwilach.

Pracownicy Centrum Języka i Kultury Polskiej dla Polonii i Cudzoziemców
Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie

www.nekrologi.wyborcza.pl/34438099

Trzynaście lat temu 11 czerwca 2013 roku
odeszła nasza ukochana Córka i Siostra

ŚP

Anna-Karolina Grzelecka

Nasza radość, duma i szczęście.

Tego dnia o godzinie 17.30 zapraszamy na chwilę zadumy i wspomnień
przy Jej grobie na Cmentarzu ewangelicko-augsburskim
przy ul Młynarskiej 54 Aleja 67.

Rodzice i Brat z Rodziną

www.nekrologi.wyborcza.pl/34438127

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

W dniu 4 lipca 2025 roku zmarł w wieku 67 lat
nasz ukochany Syn, Tata i Dziadek

ŚP

Sławomir Wolski

Msza święta żałobna odprawiona zostanie
10 czerwca 2026 roku o godzinie 12:00
w kościele św. Katarzyny na Służewie, ul. Fosa 17,
po czym nastąpi odprowadzenie do grobu rodzinnego
na Cmentarz Służewski Stary.

O czym zawiadamiają pogrążeni w głębokim smutku

Mama, Córka, Syn, Wnuczek, Rodzina i Przyjaciele

Organizatorem uroczystości pogrzebowej
jest Dom Pogrzebowy Służew

www.nekrologi.wyborcza.pl/34438125

Dnia 12 listopada 2025 roku odeszła
nasza ukochana Żona, Mama i Babcia

dr Ewa Sękowska-Tubielewicz

Uroczystości żałobne odbędą się
dnia 8 czerwca 2026 roku o godzinie 13.00
w Sali Pożegnań na Powązkach Wojskowych.
Następnie prochy zostaną złożone w rodzinnym grobie
na Starych Powązkach

O czym zawiadamiają pogrążeni w głębokim smutku

Jarek, Dorota i Oscar

www.nekrologi.wyborcza.pl/34438192

W dniu 3 czerwca zmarł

dr Jan Dudek

nasz wspaniały Przyjaciel

Jasiu, będzie nam brakowało naszych spotkań i wspólnych wyjazdów

Ślączkowie

www.nekrologi.wyborcza.pl/34438135

SPÓŁDZIELNIA BUDOWLANO-MIESZKANIOWA „ATEŃSKA „

03-977 Warszawa, ul. Arabska 9

OGŁASZA PRZETARGI NIEOGRANICZONE NA:

1. Dobudowę dźwigu osobowego do budynku mieszkalnego wielorodzinnego przy ul. Nubijskiej 8

Terminy:
– składania ofert – do dnia 23.06.2026r. do godz. 09:00
– otwarcia ofert – dnia 23.06.2026r. godz. 10:00
– termin zakończenia robót: do 30.09.2027r.

Wadium – 19.500, – zł;
Cena specyfikacji: 100 zł

2. Dobudowę dźwigu osobowego do budynku mieszkalnego wielorodzinnego przy ul. Arabskiej 8A

Terminy:
– składania ofert – do dnia 23.06.2026r. do godz. 09:00
– otwarcia ofert – dnia 23.06.2026r. godz. 11:00
– termin zakończenia robót: do 30.09.2027r.

Wadium – 19.000, – zł;
Cena specyfikacji: 100 zł

3. Dobudowę dźwigu osobowego do budynku mieszkalnego wielorodzinnego przy ul. Afrykańskiej 12E

Terminy:
– składania ofert – do dnia 23.06.2026r. do godz. 09:00
– otwarcia ofert – dnia 23.06.2026r. godz. 12:00
– termin zakończenia robót: do 30.09.2027r.

Wadium – 19.000, – zł;
Cena specyfikacji: 100 zł

Opłatę za specyfikacje należy wpłacać na konto Spółdzielni: PKO BP SA XV O/W-wa 91 1020 1156 0000 7002 0007 4526

Odbiór specyfikacji w pok. nr 2 za okazaniem potwierdzenia opłaty.

Oferty należy składać w biurze Spółdzielni pok. nr 9.

Zamawiający zastrzega sobie prawo odstąpienia od przetargu bez podania przyczyn na każdym etapie procedury przetargowej.

Warszawa/34438002

Zarząd Mienia Komunalnego BIAŁYSTOK

Zarząd Mienia Komunalnego

podaje do publicznej wiadomości, że na tablicy ogłoszeń w siedzibie Zarządu Mienia Komunalnego w Białymstoku przy ul. gen. Józefa Bema 89/1 oraz na stronie internetowej www.zmk.bialystok.pl został wywieszony na okres 21 dni

wykaz nr GU.4510.3.9.2026 lokali użytkowych przeznaczonych do oddania w najem w trybie bezprzetargowym.

Powyższy wykaz został także wywieszony na tablicy ogłoszeń Urzędu Miejskiego w Białymstoku, ul. Słonimska 1 oraz na stronie internetowej www.bip.bialystok.pl

Białystok/34438167

Prezydent Miasta Radomia
informuje, że w Urzędzie Miejskim w Radomiu, przy ul. Kilińskiego 30

zgodnie z art. 35 ustawy z dnia 21.08.1997 r. o gospodarce nieruchomościami (t.j. Dz.U. z 2026r. poz. 399), na tablicy ogłoszeń oraz na stronie internetowej Urzędu wywieszony został wykaz nieruchomości stanowiącej własność Gminy Miasta Radomia przeznaczonej do zbycia w drodze zamiany, położonej w Radomiu przy ulicy:

- ul. Jana Pawła II, oznaczonej w ewidencji gruntów miasta Radomia jako działki nr 314, 315 i 316 o pow. 875 m² (obr. 0122 – Młodzianów), KW Nr RA1R/00090978/7.

Radom/34437952

Obwieszczenie
Prezydenta m.st. Warszawy

na podstawie art. 11d ust. 5 ustawy z 10 kwietnia 2003 r. o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych (Dz. U. z 2024 r., poz. 311) oraz art. 10 i 49 Ustawy z 14 czerwca 1960 r. – Kodeks postępowania administracyjnego (Dz. U. z 2025 r. poz. 1691, ze zm.), art. 92 ust. 1 pkt 2 Ustawy z 5 czerwca 1998 r. o samorządzie powiatowym (Dz. U. z 2025 r., poz. 1684), art. 1 ust. 1 ustawy z 15 marca 2002 r. o ustroju m. st. Warszawy (Dz. U. z 2018 r. poz. 1817)

Prezydent m.st. Warszawy zawiadamia:

o wszczęciu postępowania administracyjnego na wniosek upoważnionego przedstawiciela Zarządcy dróg gminnych m.st. Warszawy, złożony 30 kwietnia 2026 r., **w sprawie wydania decyzji zezwalającej na realizację inwestycji drogowej polegającej na rozbudowie drogi gminnej, ulicy Kobiałka** w dzielnicy Białołęka m.st. Warszawy.

Inwestycja drogowa realizowana będzie na terenie działek:
z obrębu 4-16-02, oznaczonych w ewidencji gruntów nr: 33/10 (cz.dz.), **33/11** (cz.dz.), **33/14** (cz.dz.), 33/24 (wydzielona z dz. nr **33/15**), **33/16, 33/18** (cz. dz.), **51/11,** 51/22 (wydzielona z dz. nr **51/3**), 51/23 (wydzielona z dz. nr **51/3**), **51/5** (cz.dz.), **51/6** (cz.dz.), 51/25 (wydzielona z dz. nr **51/7**), 51/15 (wydzielona z dz. nr **51/9**), 51/17 (wydzielona z dz. nr **51/10**), 51/18 (wydzielona z dz. nr **51/10**), **52** (cz.dz.), 65/1 (wydzielona z dz. nr **65**), 67/1 (wydzielona z dz. nr **67**), 80/6 (wydzielona z dz. nr **80/4**), **80/5** (cz.dz.).

W ramach inwestycji występuje:

1. Obowiązek przebudowy zjazdów na częściach działek z obrębu 4-16-02 oznaczonych nr ewidencyjnym: 51/24 (wydzielona z dz. nr **51/3**), 51/26 (wydzielona z dz. nr **51/7**), **51/8,** 51/16 (wydzielona z dz. nr **51/9**), 51/19 (wydzielona z dz. nr **51/10**), 65/2 (wydzielona z dz. nr **65**).
2. Obowiązek rozbiórki obiektów: odcinków ogrodzeń na terenie działek z obrębu 4-16-02, oznaczonych nr: **33/24** (wydzielona z dz. nr 33/15), **65/1** (wydzielona z dz. nr 65), **51/25** (wydzielona z dz. nr 51/7).
3. Obowiązek budowy/przebudowy sieci uzbrojenia terenu na terenie działek z obrębu 4-16-02, oznaczonych nr ewidencyjnym:

68/3, 52 – zasilenie oświetlenia wiaty przystankowej,
59/10, 52 – przebudowa napowietrznej linii teletechnicznej.

Działki w pasie drogowym, przewidziane do przejęcia na rzecz m.st. Warszawy:
z obrębu 4-16-02 o numerach ewidencyjnych**: 33/24** (wydzielona z dz. nr 33/15), **51/22 i 51/23** (wydzielone z dz. nr 51/3), **51/25** (wydzielona z dz. nr 51/7), **51/15** (wydzielona z dz. nr 51/9), **51/17 i 51/18** (wydzielone z dz. nr 51/10), **67/1** (wydzielona z dz. nr 67).

Stronom zainteresowanym służy prawo zapoznania się z aktami sprawy oraz zgłaszania wniosków i zastrzeżeń w Urzędzie Dzielnicy Białołęka w Wydziale Architektury i Budownictwa dla Dzielnicy Białołęka, ul. Modlińska 197 03-122 Warszawa, tel. +22/ 4438467, w godzinach 8.30-16.00 (poniedziałek-piątek), do czasu wydania decyzji, nie krócej niż 14 dni od dnia ukazania się obwieszczenia w prasie lokalnej.

Warszawa/34438193

Burmistrz Miasta Grajewo

na podstawie art. 35 ust. 1 i 2 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r.
o gospodarce nieruchomościami(Dz. U. z 2026 r. poz. 399)

INFORMUJE,

iż na tablicy ogłoszeń w siedzibie Urzędu Miasta Grajewo oraz na stronach internetowych: www.grajewo.pl i na BIP-ie zostanie wywieszony na okres 21 dni od dnia 08.06.2026 r. do dnia 30.06.2026 r. do publicznej wiadomości:

1. Wykaz nieruchomości przeznaczonych do sprzedaży.

Bliższe informacje pod nr tel.(86) 273-08-24 lub 273-08-25.

Białystok/34437614

OBWIESZCZENIE
PREZYDENTA MIASTA LUBLIN

w sprawie wydania decyzji
o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej

Na podstawie art. 11f ust. 3, 4 ustawy z dnia 10 kwietnia 2003 r. o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych (Dz. U. z 2024 r., poz. 311), oraz art. 49 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. Kodeks postępowania administracyjnego (Dz. U. z 2025 r., poz. 1691), zawiadamiam, że na wniosek złożony przez:

Prezydenta Miasta Lublin reprezentowanego przez
Dyrektora Zarządu Dróg i Transportu Miejskiego w Lublinie

zatwierdzono projekt i wydano decyzję nr 386 / 26
o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej:

budowy odcinka drogi gminnej – ulicy dojazdowej do ul. Władysława Orkana w Lublinie od km 0+026,04 do km 0+122,03 wraz z budową kanalizacji deszczowej oraz oświetlania ulicznego na działkach:

1. W LINIACH ROZGRANICZAJĄCYCH INWESTYCJI

budowa odcinka drogi gminnej – ulica dojazdowa do ul. Władysława Orkana	
066301_1 Miasto Lublin obręb 30 – Rury Wizytkowskie	
ark. 1	35/30, 35/33
ark. 13	8/3, 8/7

2. POZA LINIAMI ROZGRANICZAJĄCYMI TEREN INWESTYCJI

pod budowę i przebudowę sieci uzbrojenia	
066301_1 Miasto Lublin obręb 30 – Rury Wizytkowskie	
ark. 1	35/17

pod przebudowę zjazdów	
066301_1 Miasto Lublin obręb 30 – Rury Wizytkowskie	
ark. 1	35/31

Decyzji nadano rygor natychmiastowej wykonalności

Z treścią decyzji nr 386/26 z dnia 03 czerwca 2026 r., zapoznać się można w Wydziale Architektury Budownictwa Urzędu Miasta Lublin przy ul. Wieniawskiej 14 (X piętro, pok. 1000, tel. 81-466-22-41), w godzinach pracy Urzędu. W sprawach, w których niezbędne jest stawiennictwo osobiste oraz w przypadku zamiaru zapoznania się z aktami sprawy osobiście, ze względów organizacyjnych i w trosce o Państwa bezpieczeństwo należy wcześniej umówić wizytę telefonicznie.

W związku z powyższym informuję, ze zgodnie z art. 49 Kodeksu postępowania administracyjnego, zawiadomienie niniejsze uważa się za dokonane po upływie czternastu dni od dnia publicznego ogłoszenia, tj. od daty ukazania się obwieszczenia na tablicy ogłoszeń w Urzędzie Miasta Lublin, na stronie internetowej Urzędu oraz w prasie lokalnej.

Stronom postępowania przysługuje prawo do wniesienia odwołania do Wojewody Lubelskiego za pośrednictwem Prezydenta Miasta Lublin, w terminie: dla wnioskodawcy 14 dni od dnia otrzymania decyzji, dla pozostałych stron 14 dni od dokonania zawiadomienia o jej wydaniu.

Lublin/34438080

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

Sekret Mai Chwalińskiej

Różnorodność i destrukcja – te dwa elementy sprawiają, że Maja Chwalińska doprowadza na korcie rywalki do rozpaczy, a kibiców wprawia w zachwyt. Eksperci przestrzegają – jeśli Polka ma na dłużej zagościć w światowej czołówce, to musi jeszcze coś do swojej gry dołożyć.

Agnieszka Niedziałek

Przyzwyczailiśmy się już, że obecnie największe gwiazdy światowego tenisa zwykle zapraszają nas podczas swoich meczów na wymianę ciosów przypominającą walkę pięściarską. Maja Chwalińska, która jako kwalifikantka przebojem wdarła się do finału tegorocznej edycji Rolanda Garrosa, dla odmiany zaprasza nas na partię tenisowych szachów. Partię, podczas której jest w stanie popisowo namieszać w głowie każdej przeciwniczce. Pytanie, jak długo będzie w stanie to jeszcze robić.

Obrzydza tenis rywalkom

Można byłoby długo wymieniać nazwiska gwiazd światowego tenisa, które w ostatnich dwóch tygodniach prześcigały się w komplementowaniu gry Chwalińskiej. I przyznawały, że dotychczas o prawie 25-letniej Polce – która wcześniej w głównej drabince Wielkiego Szlema była tylko dwa razy i maksymalnie dotarła do drugiej rundy, a w turniejach WTA występowała sporadycznie – nie słyszeli. Za sprawą paryskiej imprezy zapisze się im w pamięci. Tak samo jak swoim rywalkom.

– Dawno nie oglądałem meczu, w którym ktoś drugiej osobie aż tak by obrzydził tenis. Miałem wrażenie, że dziś Qinwen Zheng najchętniej by z tego kortu uciekła. Kompletnie nie wiedziała, co robić, jak odpowiadać, co ma grać. W moim odczuciu była zawstydzona, zażenowana i jak najszybciej by z tego kortu zeszła. Ale to za sprawą bardzo mądrej i konsekwentnej gry Majki – analizował kapitan Polek w Pucharze Billie Jean King Dawid Celt po zwycięstwie Chwalińskiej w pierwszej rundzie.

Mistrzyni olimpijska z Paryża nie była ani pierwszą, ani ostatnią ofiarą 114. tenisistki światowego rankingu w tym turnieju. Wcześniej Polka przeszła trzystopniowe eliminacje, a potem sprawiała kolejne niespodzianki i sensacje, pokonując m. in. trzy zawodniczki z czołowej trzydziestki listy WTA. Wszystkie w pewnym momencie miały już dość tego, co wyprawiała na korcie kwalifikantka.

Zabójcze skróty

Gdy słyszymy, że ktoś bazuje w swojej grze na wybijaniu z rytmu, to niekoniecznie brzmi to jak zapowiedź tenisowej uczty dla oka. Ale Chwalińska, za sprawą wybieranych rozwiązań, uczyniła z tej destrukcji sztukę. Bo, zmieniając rytm i rotacje, katuje rywalki na przemian skrótami, lobami, slajsami i wspomnianymi wysokimi piłkami o dużej rotacji. A tym nieraz pozostaje tylko odprowadzanie piłki wzrokiem.

– One tych topspinowych wysokich wind nienawidzą. Takie świetne skróty, jakie posyła Maja, to po prostu zabójstwo w świecie tenisowym. Absolutna siła niszcząca. Doprowadza do płaczu niektóre rywalki. To samo robiła Agnieszka Radwańska. Też była przy tym bezwzględna. Im bardziej rywalki płakały, tym częściej dostawały skróty – analizuje Paweł Ostrowski, dawny trener Angelique Kerber i Marty Domachowskiej.

Inni moi rozmówcy także przywołują Radwańską jako tenisistkę bazującą na podobnych założeniach jak obecnie Chwalińska. Nie jest to jednak dokładnie ten sam styl. Wspólnym elementem jest kombinacyjna, solidna i konsekwentna gra, w której pojawiają się m.in. skróty. Finalistka Wimbledonu 2012 nie korzystała jednak z topspinu. Imponowała – podobnie jak teraz Chwalińska – czuciem piłki i przewidywaniem, gdzie rywalka pośle piłkę. Kania-Choduń wskazuje za to, że Radwańska nie uwijała się w defensywie aż tak mocno jak robi to teraz Maja.

– Radwańskiej robiono z tego zarzut, że nie wygrywa punktów, tylko bazuje na błędach rywalek. Ale każdy gra tak, jak potrafi. Czy też jak pozwalają mu warunki fizyczne – wskazuje Adam Romer, redaktor naczelny magazynu „Tenisklub".

Mierząca 164 cm wzrostu Chwalińska sama nieraz opowiadała, że jest w pełni świadoma, że pod względem siły i prędkości uderzeń ustępuje większości tenisistek w tourze i musiała znaleźć sposób, by sobie z nimi radzić. Tym, który nauczył ją, jak robić to w bardzo efektowny sposób, był Paweł Kałuża. Trener, który pracował z nią aż 12 lat, w długim wywiadzie dla Sport.pl, wspominał m.in. o tym, jak wyglądały prowadzone przez niego zajęcia. Dbał o ogólny rozwój, technikę i wszechstronność. To dlatego też leworęczna Chwalińska sporo ćwiczyła grę prawą ręką. Przykładowo kozłując jednocześnie prawą ręką piłkę do siatkówki, a lewą odbijając rakietą posyłane w jej kierunku tenisowe piłki.

Porównania do wielkich gwiazd

Do kogo jeszcze porównywana jest polska finalistka tegorocznego Rolanda Garrosa? Często eksperci wspominają o utytułowanej Martinie Hingis, zaznaczając przy tym, że nieco wyższa Szwajcarka dysponowała trochę większą siłą. Wojciech Fibak dodaje jeszcze Francuza Fabrice'a Santoro, który – choć niższy o ponad 15 cm – był postrachem słynnego Rosjanina Marata Safina, Romer – leworęczną Szwajcarkę Patty Schnyder, która 20 lat temu była zawodniczką top 10, a ekspertka i była tenisistka Paula Kania-Choduń – utytułowaną włoską deblistkę Sarę Errani.

Pytam Ostrowskiego, na ile styl Chwalińskiej jest efektem jej talentu, a na ile właśnie dostosowaniem się do posiadanych warunków fizycznych.

– Po części wynika to z obu tych aspektów. Maja pogodziła się z tym, że musi stawiać na destrukcję i wybijanie z rytmu i nie próbuje tego zmieniać. Inaczej oszukiwałaby samą siebie. Ale wydaje mi się też, że ona się taka urodziła. Uwielbia grać kombinacyjnie oraz sprawiać, by rywalki miały pod górkę i straciły ochotę na grę – tłumaczy doświadczony szkoleniowiec.

Grę przeciwko pierwszej z Polek dodatkowo utrudnia rywalkom jej leworęczność. – Odgrywa ona dużą rolę. To czysta statystyka – w tourze jest ok. 10-12 procent leworęcznych zawodników, a to oznacza inne rotacje, trochę inne uderzenia, trochę inaczej musisz konstruować akcję. Jak masz wypracowane schematy i zwykle pasuje ci zagrać w danej sytuacji komuś do bekhendu, to musisz pamiętać, że w tym wypadku jest odwrotnie i ta osoba ma tam forhend. Trzeba więc inaczej ułożyć plan gry, co jest trochę uciążliwe. U kobiet ma to może nieco mniejsze znaczenie niż u mężczyzn ze względu na mniejsze prędkości, ale mówi się też zawsze o tym, że leworęczny serwis jest trudniejszy ze względu na odmienną rotację – tłumaczy Romer, który obserwuje paryski turniej na miejscu.

Pod okiem trenera ze sztabu Świątek

Sama Chwalińska wskazuje jako ważny moment rozpoczęcie przed rokiem współpracy z Maciejem Ryszczukiem – trenerem przygotowania fizycznego, który od kilku lat zbiera pochwały za pracę z Igą Świątek. Eksperci także zwracają uwagę, że w ostatnim czasie sylwetka bohaterki z Paryża się zmieniła i że wytrzymuje ona kondycyjnie bardzo długie mecze. Fakt, w sobotnim finale w pewnym momencie już osłabła, ale trzeba pamiętać, że w niespełna trzy tygodnie rozegrała tam aż dziesięć spotkań. Czy w przyszłości powinna pójść dalej w tym kierunku i postawić na jeszcze większą obudowę mięśniową?

– Jeżeli będzie grała teraz regularnie na najwyższym poziomie, z tymi najlepszymi dziewczynami, to będzie pewnie jeszcze musiała troszkę tę swoją fizyczność poprawić. Ale wydaje mi się, że nie będzie to już bardzo znacząca zmiana – prognozuje Romer.

Ostrowski przestrzega zaś, by nie doszło przy tym do zaburzenia koordynacji. Jako przykład tego wskazuje Greczynkę Marię Sakkari, która – jego zdaniem – w pewnym momencie zbyt mocno postawiła na przyrost masy mięśniowej i zaszkodziło to jej grze.

Nie ulega jednak wątpliwości, że przewagę siły nad Chwalińską ma większość

SPORT.PL
- Czy Chwalińska dostanie „dziką kartę" w Wimbledonie?
- Echa męskiego finału Rolanda Garrosa
- Argentyna i Francja przed mundialem

Wiadomości, wyniki, historie sportowe znajdziesz na Sport.pl

Zapraszamy na Sport.pl+. Subskrypcja za 1 zł miesięcznie przez pół roku. Płatność 6 zł z góry za 6 miesięcy, potem 9,90 zł co cztery tygodnie.

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

tenisistek w tourze. Czy to właśnie te dużo wyższe i generujące znacznie większe prędkości zawodniczki są najgroźniejszymi rywalkami dla niej?

Przewagę fizyczną miała też w finale Rolanda Garrosa wyższa o ponad 10 cm od Polki Mirra Andriejewa. Niektórzy po cichu liczyli, że 19-letnia Rosjanka w pewnym momencie też zacznie się denerwować i frustrować, ale do tego nie doszło i efektownie wygrała 6:3, 6:2.

Co jeszcze dołoży Polka?

Nie ulega zaś wątpliwości, że po tak udanym turnieju w Paryżu tenisowe życie Chwalińskiej ulegnie wielkiej zmianie. W poniedziałek awansuje ze 114. miejsca w światowym rankingu do top 30. Zacznie więc regularnie startować w najbardziej prestiżowych turniejach z udziałem zawodniczek ze światowej czołówki.

– Na pewno nauczą się dzięki temu z Mają grać, będą miały więcej materiałów do analizy i będą ją teraz uważniej obserwować. A to oznacza, że będzie się jej grało trudniej, ale na tym polega też sztuka, by umieć wtedy dołożyć jeszcze tu czy tam jakiś nowy element – stwierdza Romer.

Co by tym elementem mogło być w przypadku Polki? Ekspert wskazuje, że na pewno będzie musiała ona zwrócić większą uwagę na wykorzystywanie szans.

– Może na przykład uda jej się lepiej serwować? Nie mogę sobie wyobrazić, by nagle zaczęła generować większe prędkości z uderzeń. Ale w półfinale w Paryżu miała dwie czy trzy piłki do zaatakowania w pół kortu, a nie poszła wtedy na 100 procent, tylko zagrała bardziej zachowawczo. Na tym najwyższym poziomie rywalki już takich rzeczy zwykle nie wybaczają – ostrzega Romer.

Przegranym finałem Rolanda Garrosa z Mirrą Andriejewą Chwalińska zakończyła występy na kortach ziemnych. Eksperci, kibice i inne tenisistki zastanawiają się, jak pójdzie jej na innych nawierzchniach po tym wielkim przełomie. Sprawa nie jest taka oczywista, bo z jednej strony jej wolniejsze piłki i topspin procentują na wolnej „mączce", ale stosowana przez nią często zmiana rotacji i czucie piłki bardzo przydają się też na trawie. Sama bohaterka paryskiej imprezy jako preferowaną nawierzchnię w profilu na stronie Międzynarodowej Federacji Tenisowej wskazała z kolei... korty twarde. Na nich – w oczach ekspertów – większa siła rywalek może stanowić dla niej bardzo duże zagrożenie.

Pozostaje więc czekać, by przekonać się na własne oczy, czy i na innych typach nawierzchni Polka będzie w stanie równie skutecznie namieszać swoją grą w głowach rywalek jak w Paryżu. ●

• Maja Chwalińska w sobotnim finale Rolanda Garrosa z Mirrą Andriejewą
FOT. REUTERS / STEPHANIE LECOCQ

Były kapitan siatkarskiej reprezentacji Polski:
U Mai jest trochę tego potrzebnego dystansu

Sobota była w Paryżu polskim dniem. Tak, finał Rolanda Garrosa wygrała Rosjanka Mirra Andriejewa, a nie Maja Chwalińska. Ale to dla Polki do stolicy Francji zjechało mnóstwo rodaków. A wśród nich nie brakowało znanych osobistości.

Krótko po finale pod Court Philippe Chatrier spotkaliśmy Michała Kubiaka, Grzegorza Łomacza i Łukasza Kaczmarka. Ten pierwszy, były kapitan reprezentacji, to bodaj największy fan tenisa wśród naszych siatkarzy.

• Michał Kubiak
FOT. MARCIN STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

ROZMOWA Z
MICHAŁEM KUBIAKIEM

ŁUKASZ JACHIMIAK, Sport.pl: Razem z Grzegorzem Łomaczem i Łukaszem Kaczmarkiem przyjechaliście na finał Mai Chwalińskiej i zobaczyliście, jak przegrywa z Mirrą Andriejewą. Pamiętam cię jako maksymalistę, ale chyba tu nie będziesz specjalnie narzekał po przegranym finale?
MICHAŁ KUBIAK: No pewnie, że nie będę narzekał. Maja w tym turnieju zachwyciła. Wygrała tu kolosalną liczbę meczów [dziewięć z dziesięciu – red.]. Szacun za to i też za to, jak ładnie grała. I super, że po tym, jak przez lata miała swoje przejścia, teraz odmieniła sobie życie.

Czy w Mai widzisz trochę siebie? Też przez lata słyszałeś, że jesteś do swojego sportu za mały, że się nie przebijesz.
– Tak, ci co nie mają wzrostu, muszą grać trochę inaczej, żeby zdobywać trofea. Myślę, że przed Mają, mimo, że ona nie jest już najmłodsza, są trofea. Miała swoje przejścia, ale teraz weszła na najwyższy poziom i widać w niej wolę walki, spokój i chęć bycia najlepszą. Ten turniej potoczył się też dla niej trochę z fartem, i dobrze – w życiu trzeba mieć też farta. Maja dodała otuchy wielu młodszym tenisistom i w ogóle sportowcom. Pokazała, że warto czekać, wierzyć w coś. Długo na to czekała i wreszcie stała się znana na całym świecie. Pięknie wykorzystała swoją szansę. Teraz jej życie będzie już inne.

Ty przed Rolandem Garrosem wiedziałeś już dobrze, kto to jest Maja Chwalińska, prawda?
– Tak, bo jestem trochę z innego worka. Nie jestem sportowcem, który się interesuje tylko swoją dyscypliną, a tenisem bardzo się interesuję od dawna. Mocno kibicuję naszym dziewczynom – Idze Świątek, Mai, Magdzie Linette i jeszcze paru innym, o których teraz nie chciałbym zapomnieć, więc już nazwisk nie wymieniam.

Powiedz szczerze: bilety na finał pań razem z kolegami kupiliście dawno temu, licząc, że w tym finale zagra Iga Świątek?
– Nie, nie, myśmy w piątek kupowali bilety. To była spontaniczna akcja. Miałem trochę inne plany, ale z racji tego, że Polka weszła do finału, pozmieniałem je i powiedziałem: „dobra, jedziemy!".

Pamiętam, że byłeś wielkim kibicem Rafaela Nadala.
– Tak, tak, zdecydowanie.

Czyli teraz szybkie odpadnięcie z Rolanda Garrosa Novaka Djokovicia cię nie zasmuciło?
– Nie, nie, ja nie kibicuję porażce. Zawsze trzymam kciuki za tych, co zwyciężają i nie cieszę się z niczyich porażek, bo sam dobrze wiem, jak ona smakuje.

Co powiesz o przegranej Igi Świątek w czwartej rundzie? Byłeś rozczarowany?
– Nie wiem czy rozczarowany. Po ludzku szkoda mi Igi, bo widać, że jest zagubiona na korcie. Wygląda, jakby straciła dużo z pewności siebie. Ale ja w nią bardzo wierzę i wiem, że prędzej czy później się podniesie i jeszcze będziemy świętować dużo jej wielkoszlemowych tytułów.

Słyszałeś jej słowa z konferencji prasowej po tym, jak przegrała z Martą Kostiuk?
– Tak, wiem, że mówiła o dużym stresie, że ją usztywnił. Oby znalazła na to rozwiązanie, bo dziewczyna jest strasznie ambitna. Chyba aż trochę za ambitna, przeambitna. Może to jej troszkę przeszkadza. Oczywiście oczekiwania wśród polskich kibiców są duże i na niej spoczywa trzymanie tego, na niej spoczywa jakby odpowiedzialność za polski tenis. Natomiast to, czego mi u niej brakuje, to trochę uśmiechu na korcie. Chociaż ona nigdy nie grała z uśmiechem, zawsze z taką wiarą, pewnością i wiedziała, co ma robić. A teraz właśnie tutaj coś musi zmienić.

Maja Chwalińska gra z uśmiechem, albo inaczej – sprawia swoim stylem gry, że my się uśmiechamy, bo prezentuje tenis, jaki pamiętamy z dawnych czasów, z naszej młodości?
– Tak, tak, u Mai jest trochę tego potrzebnego dystansu. Ale też łatwo jest mieć dystans, kiedy się nie ma wielkiej presji i oczekiwań i kiedy to, co się wygra, jest tylko na „górkę". Inaczej jest, gdy wszyscy na ciebie liczą, gdy w każdym turnieju jesteś stawiany w roli faworyta. Wtedy jak raz, drugi i trzeci noga ci się powinie, to jest frustracja. Uważam, że Iga choć jest młodą zawodniczką, to jest już bardzo doświadczona w tych wszystkich bojach i myślę, że da sobie radę i na pewno znajdzie jakieś rozwiązanie, które pozwoli jej odnosić dalsze sukcesy.

Który raz jesteś na Rolandzie? Pamiętam, że dwa lata temu rozmawialiśmy, gdy byłeś na ostatnim meczu w tym turnieju Nadala i chyba też byłeś wtedy na finale Świątek?
– Tak, byłem w 2018 roku na finale Rafy, byłem na tym finale Igi, o którym mówisz, byłem też na tym ostatnim meczu Rafy i też tamtego dnia na meczu Igi. Jeżdżę sporo, bo lubię. Byłem też w Szanghaju, jak grał tam Hubert Hurkacz i wygrywał turniej. Lubię tenisa, jestem zapalonym fanem, sam też amatorsko pykam i to wszystko daje mi dużo frajdy.

A byłeś też na jakichś innych turniejach wielkoszlemowych albo planujesz wyjazd na któryś?
– Jeszcze nie byłem, ale właśnie jestem na etapie załatwiania biletów na finał Wimbledonu.

Damski czy męski?
– Męski. Ale może i damski – zobaczymy. ●

Rozmawiał Łukasz Jachimiak
PARYŻ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34437894

NEWSLETTERY WYBORCZEJ

Wszystkie piszą ludzie, nie maszyny
Nasi najlepsi redaktorzy.
Możesz wybrać z bogatej oferty
ponad **40** różnych newsletterów.
Zapisz się na: **wyborcza.pl/newslettery**

wyborcza.pl

1 RP

34436822

wyborcza

REDAKCJA
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00 (czynny w dni powszednie w godz. 10-17);
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski
ZASTĘPCY: Agata Żelazowska, Bartosz T. Wieliński
PROJEKT GRAFICZNY: Jacek Utko
KOLPORTAŻ: Michał Szałański
Problemy z dostępnością „Wyborczej" lub z właściwą mutacją lokalną: kolportaz@wyborcza.pl
Prenumerata cyfrowa: prenumerata.wyborcza.pl; pomoc@wyborcza.pl, 22 555 54 55, 519 255 455

Inne formy prenumeraty: wyborcza.pl/prenumerataGW
Gazeta Wyborcza w serwisach społecznościowych: facebook.com/wyborcza, bsky.app/profile/wyborcza.pl, instagram.com/gazeta_wyborcza
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl

WYDAWCA
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10
00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
PREZESKA ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
REKLAMA
Dyrektor sprzedaży: Bartosz Wysocki
Biuro reklam i ogłoszeń:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
DRUK: Polska Press
ISSN 0860-908X

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

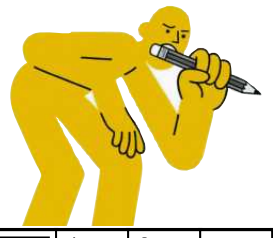

krzyżówka

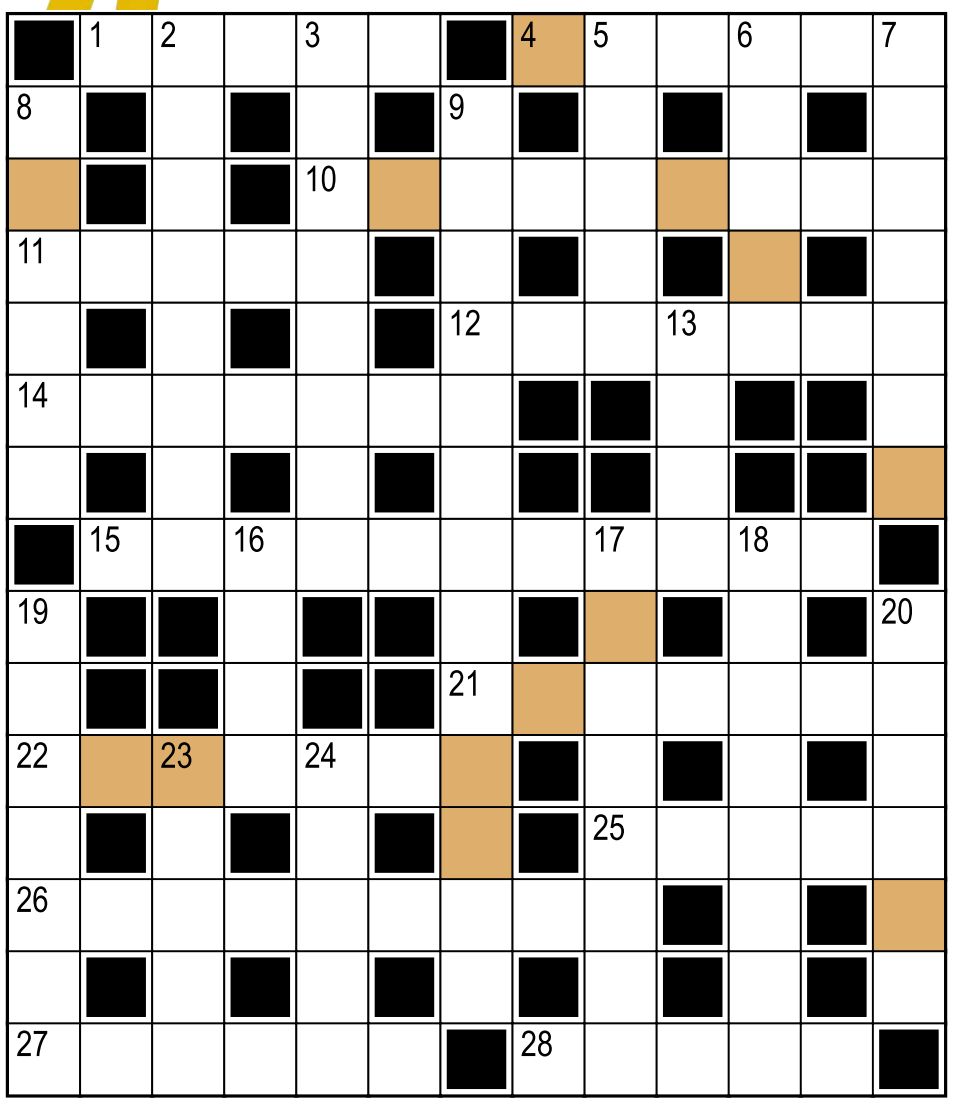

Hasło:

Litery w kolorowych polach, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
1) sport uprawiany przez Pawła Nastulę
4) stolica Iraku
10) nowy wyraz, którego próżno szukać w słownikach
11) ... Kołodziej, mąż Rzepichy
12) obywatele azjatyckiego państwa z Duszanbe
14) wielkie cierpienia
15) męstwo, heroizm
21) czasownika przez przypadki – to koniugacja
22) miasto, w którym znajduje się wysokościowiec Sky Tower
25) mała ..., a cieszy
26) gazowa powłoka otaczająca naszą planetę
27) Botnicka lub Ryska – na Bałtyku
28) przygotowany w giserni

Pionowo:
2) rdzewiejąca sterta rupieci
3) zaprasza na leczenie kanałowe
5) praca na ... (ile zrobisz, tyle zarobisz)
6) wojskowe terenówki
7) Ignacy, geolog zasłużony dla rozwoju Chile
8) jeździectwo
9) statek do transportu towarów w dużych pojemnikach
13) opowiedz, pośmiejemy się!
16) jednostka częstotliwości
17) kamień szlachetny o zielonkawym zabarwieniu
18) odczucie, impresja
19) schowek pod sufitem w przedpokoju
20) miesiąc, w którym marzannom niewesoło
23) wzburzona, głęboka woda
24) „... z pokładu Idy", w literackim dorobku Gustawa Morcinka

Rozwiązanie „krzyżówki" nr 46 z 6.06:
Poziomo: 1) plebs **4)** smutek **10)** kandelabr **11)** Tunis **12)** goździk **14)** Federer **15)** astygmatyzm **21)** wolfram **22)** studnia **25)** podaż **26)** przyłbica **27)** skarga **28)** dywan
Pionowo: 2) Leonidas **3)** bokserzy **5)** miedź **6)** twarz **7)** korekta **8)** sztyft **9)** anagramowanie **13)** dęby **16)** trąd **17)** tulipany **18)** zbrodnia **19)** rysopis **20)** smużka **23)** uszka **24)** nałóg
Hasło: Puste kalorie.

sudoku

	1					6	5	8
5		8		2		3		4
	3	7	6		8	2		
2		3				8		5
8	7	5	4	3			6	
	9					4	3	
7	2	6		9			4	1
3		4	7	1			8	
				4	6	7	2	3

			5		1		6	
				2			4	
					4	3	7	2
	3	6			2			8
9	4		6				3	
1		5	3					
			2	5	8	7		
4								
				1		9		

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34427030

Czekamy na Twoje uwagi i pomysły

ROZRYWKA @WYBORCZA.PL

zakreślanka

Zakreślaj słowa z listy na planszy. Mogą być ukryte w wierszach, kolumnach lub prowadzić wężykiem. Niewykorzystane litery czytane rzędami utworzą hasło

I	L	O	P	O	M	Z
S	R	I	E	R	S	I
Z	P	N	T	K	A	N
Y	S	Y	B	Y	Z	A
N	E	L	P	G	R	I
J	A	R	I	T	A	L
C	N	E	D	C	I	Z
R	E	Z	Y	I	C	T
Ę	T	E	L	E	U	R

truciciele, italianizm, grzyby, sprinterka, rezydencja, poliszynel

Hasło z 6.06: rozwój

skojarzenia

Smerfy	Śnieżna kula	Jo-jo	Oxford
Iskra boża	Nokia	Skala	Indygo
Flaga UE	Gaudi	Dar	Lwi pazur
Żyłka	Stitch	Motyl	Sopel

Znajdź powiązania między hasłami i połącz je w cztery grupy po cztery hasła, by każdą grupę łączyło jedno wspólne skojarzenie.

Rozwiązanie z 6.06:
Łobuziaki, gagatki: Niezły numer, Gałgan, Ziółko, Ananas. **Nietrwałe, kruche, ulotne:** Domek z kart, Dmuchawiec, Bańka mydlana, Efemeryda. **Wypatrzone na placu budowy:** Agregat, Kontener, Zbrojenie, Żuraw. **Grzyby niejadalne:** Gołąbek piekący, Gąska mydlana, Szatan, Olszówka

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34426992

Słówko
Wybierz słowo, sprawdzaj litery i kombinuj, aż skończą Ci się próby

Literówka
Kilka liter i jedno zadanie: ułożyć jak najwięcej słów

Jeszcze więcej rozrywki w Aplikacji Wyborczej
Szukaj w aplikacji

Zakreślanka

Skojarzenia

1 RP

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

wyborcza
DUŻY FORMAT
NR 22 / 1682 MAGAZYN REPORTERÓW 8 CZERWCA 2026

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Reportaż Marcina Wójcika, który został ładowaczem

Śmieci WARSZAWY

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

Jak ładowałem śmieci Warszawy

Podpinasz bobra I WCISKASZ GUZIK

A kiedy śmieci znajdą się w wannie, drugim guzikiem sprowadzasz bobra na ziemię. Próbuj.

MARCIN WÓJCIK

Nikt tu nie mówi „śmieciarz", tylko „ładowacz". Pracują ze mną:
• **Mirosław ze zmieszanych** nie lubi zsypów w blokach na warszawskim Powiślu, bo śmierdzą;
• **Tomek z papieru** nie boi się szczura, ale nie zatłukłby go jak chłopaki od zmieszanych;
• **Michał**, żeby wyżyć, po pracy przy śmieciach wsiada w szambiarkę;
• **Kazimierz z papieru** zbiera chleb i suszy królikom;
• **Jarosława z gabarytów** ściska serce, kiedy wrzuca do śmieciarki meble jak nowe.

Żeby dostać tę robotę, od miesięcy wysyłałem CV do firm śmieciowych. Dostawałem tylko automatyczne odpowiedzi, że skontaktują się z wybranymi kandydatami, i na tym kontakt się urywał.

W kwietniu zadzwonił telefon.

– Czy nadal jest pan zainteresowany pracą w MPO?

– Oczywiście.

– Kiedy może pan przyjść na rozmowę?

– Jutro?

Miejskie Przedsiębiorstwo Oczyszczania to największa spółka zajmująca się odbiorem odpadów w stolicy. Ma kilka baz i siedzibę główną przy Obozowej, gdzie właśnie jadę na rozmowę. Od kadrowej słyszę, że to ciężka praca, ale jest stabilizacja, wczasy pod gruszą, pożyczki zakładowe, karty żywnościowe, gwarantowana pensja.

– Proszę wrócić z badaniami lekarskimi i wtedy zapiszę pana na szkolenie BHP.

By odbierać śmieci, trzeba mieć zdrowe serce, dobry słuch i nie mieć cukrzycy. A na szkoleniu BHP jest nas sześciu, średnia wieku 40 lat. Behapowiec przestrzega przed ugniataniem śmieci dłonią, bo można sobie wbić używaną igłę, a wtedy trzeba jechać na zastrzyki do szpitala zakaźnego.

Na koniec szkolenia kadrowa przynosi do podpisania umowę o pracę – za chwilę będę ładowaczem odpadów komunalnych, z umową na trzy miesiące, z pensją 4600 brutto, choć najniższa krajowa to 4800 zł (później spróbuję to wyjaśnić), w systemie dwuzmianowym – od godz. 5.30 i 12.30. Przydzielają mnie do bazy na Targówku.

Tam staję się prawdziwym ładowaczem.

Magazynier przydziela mi nowe buty, koszulę, podkoszulki, skarpety, spodnie i kurtkę – w kolorze zielonym z elementami żarówiastej pomarańczy. Za kilka dni dostanę drugi komplet. Co środę mam oddawać odzież do prania, o czym przypomina ogłoszenie na drzwiach szatni. Odbiór czystych rzeczy w kolejną środę.

Magazynier rozdaje klucze do szafek w szatni – jedna na prywatne ubrania, druga na służbowe, by brudne nie stykały się z czystymi. Z szatni jest przejście do łazienki, w której uwagę zwracają czyste umywalki, prysznice i toalety. Porządek panuje również w sali socjalnej, gdzie mogę zjeść przyniesione z domu kanapki i zaparzyć herbatę.

Chcę wyrzucić butelkę po soku i szukam pojemnika na szkło, ale są tu tylko kosze na zmieszane.

PAPIER Z CHLEBEM

Pierwszego dnia zaczynam pracę o 5.30. Będę zbierał papier w dzielnicy Rembertów, z kierowcą Tomaszem i ładowaczem Kazimierzem.

– Ty nowy? – pyta Tomasz. – Spokojnie, w dwa dni wszystko ogarniesz.

W kabinie, w drodze do Rembertowa, poznaję słowa:

Bober – kontener, pojemnik na śmieci;

Altana – miejsce składowania śmieci na osiedlach, zwłaszcza tych starych, gdzie śmietniki są poza budynkami. Na nowych osiedlach zazwyczaj nie ma altanek, są śmietniki wewnątrz budynków;

Wanna – część śmieciarki, do której wsypywane są odpady z kontenerów (czyli bobrów);

Komora – kolejna część śmieciarki, do której śmieci są automatycznie zagarniane z wanny.

Podjeżdżamy pod nowe osiedle. Są cztery śmietniki. Kazimierz tłumaczy mi, jak załadować odpady do ciężarówki: – Podpinasz bobra pod chwytak i wciskasz guzik, a kiedy śmieci znajdą się w wannie, drugim guzikiem sprowadzasz pojemnik na ziemię. Próbuj.

Wolę wyciągać bobry ze śmietników i przyprowadzać pod śmieciarkę. Choć to nie jest proste – kółka pojemników rozjeżdżają się we wszystkie strony, chodniki wąskie, trzeba uważać, by nie porysować bobrem zaparkowanych samochodów.

Jedziemy na osiedle z lat 70. Z altany wyciągamy śmieci zmieszane i szkło, by dostać się do papieru. Na klamce wiszą reklamówki z chlebem. Kazimierz zbiera śmietnikowy chleb i suszy dla królików, które hoduje pod Warszawą. Zbiera tylko niespleśniałe pieczywo.

– Jest jeszcze w ludziach szacunek do chleba – mówi, odkładając chleb do kabiny.

Wreszcie wyciągamy pojemniki z papierem. Są w nich głównie niezłożone kartony, przez co pojemnik szybko się zapełnił. W kartonie po telewizorze został styropian i folia. W kolejnych śmietnikach ten sam problem – niezłożone kartony, a wewnątrz styropian z folią. Wyciągamy tylko największe części folii i styropianu – te drobne ładujemy na śmieciarkę razem z papierem. Nie ma czasu, by segregować za mieszkańców.

Kazimierz: – Rozpakują telewizor i śmieci zapakują do pudła, bo im się nie chce oddzielić.

Do papieru ktoś wrzucił worki ze śmieciami zmieszanymi – nie są zawiązane, przez co ich zawartość rozsypała się w kontenerze, a my musimy to wyzbierać. Nachylam się głęboko po opakowania po mleku, twarogu, płynie do naczyń, ketchupie – zostawiam patyczki do uszu.

Niezłożone pudła nie mieszczą się w bobrach, wypadają na chodnik, więc podnoszę je i wrzucam do śmieciarki. Tomek mówi, że to zabronione. Odpady mogą trafić do śmieciarki wyłącznie wysypane z pojemnika, nie wolno wrzucać ręcznie. Nie chodzi o bezpieczeństwo, a o pieniądze. Pojemnik z odpadami wpina się w podajnik, a w podajniku jest waga, która zapisuje każdy kilogram. Kilogramy będą zliczane, kiedy MPO wystawi rachunek za odebrane śmieci dla Urzędu Miasta.

– Nawet jak zostanie pięć kartonów, to wrzucaj przez pojemnik – tłumaczy kierowca Tomek.

Najbardziej boję się szczurów. Już słyszałem, że królują w Śródmieściu, w śmieciach zmieszanych, w altanach, gdzie mają łatwy dostęp. Jednemu ładowaczowi szczur miał skoczyć na klatę, innemu przebiec po dłoni, a jeszcze komuś zawisnąć na daszku czapki.

– O, szczur – mówi spokojnie Tomek.

Odruchowo robię trzy kroki do tyłu. Po chwili dostrzegam szczura. Leży obok altanki, w kałuży świeżej krwi. Pewnie zatłukli go chłopaki, którzy przed nami zbierali zmieszane.

Tomek wcześniej pracował jako magazynier. Chciał zmiany, a w MPO szukali kierowcy. Od dawna ma prawo jazdy kategorii C, ojciec go namówił, by zrobił – dzisiaj jest mu wdzięczny. W MPO za kierownicą zarabia się około 6 tys. zł brutto plus dodatki.

Kierowca odpowiada za ładowaczy, przebieg trasy, czas, kilogramy, zazwyczaj nie wyciąga pojemników i nie ładuje na samochód – to zadanie ładowaczy. Kierowcy śmieciarek to mistrzowie kierownicy – potrafią na wstecznym wjechać w wąskie ulice i bramy, choć nawet najlepszym zdarzają się kolizje. Tomek kilka tygodni temu „pociągnął" za sobą osiedlową bramę – było sporo miejsca, więc stracił czujność.

Tomek jest przykładny, chce podjechać do wszystkich śmietników i altan, których adresy dostał rano w dyżurce. Bo podobno są tacy, którzy zaparkują w lesie, poleżą, pojedzą, a potem w bazie mówią, że były korki i nie mogli wszędzie dojechać.

My zebraliśmy dziś papier z 74 altan i śmietników. Czuję mięśnie rąk i nóg – od pchania bobrów, odpychania się od ziemi. Choć najbardziej dokuczają stopy, obtarte nowymi butami.

GABARYTY JAK NOWE

Zgłosiłem się na sobotę. Powinienem dziś zarobić dodatkowo około 400 zł netto.

O 5.30 wyjeżdżam z kierowcą Wojciechem i ładowaczem Jarosławem zbierać gabaryty w Wawrze. I nie zwykłą śmieciarką, lecz taką, która potrafi zgnieść i połknąć meblościankę, tapczan, szafę.

– Ludzie dobre rzeczy wyrzucają. Aż ściska serce! Ostatnio wrzuciliśmy do śmieciarki jedenaście nowych drzwi pokojowych – irytuje się Jarosław.

Podjeżdżamy pod domy jednorodzinne. Najwięcej jest drobnych mebli – krzesło, fotel, stolik, szafka na buty. Czeka też szafa, kanapa, masywne biurko i komoda. Już wiem, co miał na myśli Jarosław, który przed chwilą mówił o „ścisku w sercu". Wrzucam do zmiele-

Wrzucam do zmielenia krzesła w idealnym stanie – drewniane, wyścielone aksamitem

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

• **Marcin Wójcik, autor reportażu, przed pracą**
FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

nia krzesła w idealnym stanie – drewniane, wyścielone aksamitem; i komodę, która wygląda, jakby ktoś ją złożył i zapomniał o jej istnieniu; to samo można powiedzieć o szafce pod telewizor; wiklinowe fotele, nietknięte czasem, również połknie za chwilę śmieciarka; szkoda także meblościanki z naklejkami różowych słoni.

– Co tej meblościance brakowało? – zagaduję do jej właściciela, który wyszedł pomóc nam w załadunku.

– Trzy razy się z nią przeprowadzaliśmy i za każdym razem była rozkręcana i na nowo skręcana. Kolejnego skręcania już by nie wytrzymała.

W szoferce, w drodze po kolejne gabaryty, rozmawiamy o magazynie używanych mebli, który mógłby powstać przy MPO. Można byłoby dać im drugie życie, na przykład za 30-40 złotych jeden mebel, czyli tyle, co kawa z ciastkiem na mieście. Mniej wyciętych lasów, zużytej energii, zanieczyszczonego powietrza.

Gabaryty odbierane są na zgłoszenie, tzn. mieszkańcy wcześniej informują, że będą mieć do odebrania duże odpady. Na 35 adresów co najmniej pod ośmioma nie ma wystawionych rzeczy – zgłaszający albo zapomniał, albo zmienił zdanie. Jedziemy po kilkanaście kilometrów pod dom, gdzie nie czeka na nas nawet taboret. Zmarnowane czas, paliwo, więcej spalin.

Wojciech: – Powinny być kary za nieodwołane zgłoszenie. Tak samo jak za nieodwołaną wizytę u lekarza.

Jarosław: – Polska specjalność – zaklepać i olać.

Fotografujemy tabletem tabliczkę z numerem domu i złożone pod ogrodzeniem gabaryty – tego wymaga MPO. Fotografujemy nawet miejsce, gdzie powinny stać gabaryty, a nie stoją. To zdjęcie dla tych, którzy będą mieć pretensje, że nie przyjechaliśmy po odpady.

Mówię chłopakom, że najlepiej gdyby meble były rozłożone – łatwiej wrzucić do śmieciarki, i nie żal, bo nie widać, w jakim stanie były przed wyrzuceniem.

Jarosław: – Nie, czasami lepiej dźwignąć całość, bo jak ci rozłożą na deseczki kilka meblościanek, to ładujesz godzinę. Ale i tak najgorsze są materace – paskudna sprawa. Bierzesz je opuszkami palców – pokazuje. – Robisz to sprawnie, żeby nie przelazły na ciebie roztocza. A ile jest materacy zasikanych! Mogliby je owijać w czarne folie, żebyśmy tego nie widzieli.

Robimy przerwę na jedzenie. Każdy ma ze sobą kanapki. Zaparkowaliśmy na bocznej ulicy. Jemy w szoferce.

Ładowacz Jarosław pracuje tu od niedawna. Wcześniej był ochroniarzem w hipermarkecie. Pracował po 14 godzin, bez umowy o pracę. Miał dość przeszukiwania torebek starszych kobiet, które wynosiły ze sklepu ryż, kaszę, kapsułki do prania. Pracował też na budowie, na czarno, po 12 godzin i więcej, ale zarabiał dobrze. Teraz w MPO szuka stabilizacji, spokoju, choć wie, że tutaj takich pieniędzy jak na budowie nie zarobi.

Wracamy do ładowania śmieci. Kolejna godzina, kolejne adresy i te same uwagi. Wielu Warszawiaków nie rozumie, czym są gabaryty. Nie są nimi pralki, lodówki, kuchenki mikrofalowe – te rzeczy mieszkańcy muszą sami dostarczyć do Punktu Selektywnego Zbierania Odpadów Komunalnych (PSZOK). Gabarytami nie są również duże pudełka kartonowe (papier), worki z ubraniami (zbierane oddzielnie jako tekstylia) czy płyta OSB i drewniana paleta (też PSZOK). Na tym wszystkim zostawiamy naklejkę z pouczeniem, że trzeba udać się do PSZOK-u.

Kuśtykając, z nogą w gipsie, wychodzi do nas mężczyzna około trzydziestoletni, za nim dzieci i żona, prosi, abyśmy weszli do domu i pomogli mu wynieść parasol ogrodowy, bo już go nie chcą. Wynosimy całkiem dobry parasol, a on ciągle nas przeprasza, że sam tego nie mógł zrobić.

Jarosław: – Na ogół ludzie są mili. Ostatnio kobieta wybiegała za nami z ciepłym ciastem, żebyśmy się poczęstowali.

Jedziemy na drugi koniec miasta, na ul. Kampinoską, by wyrzucić to, co zebraliśmy. Po drodze, na Śródmieściu, tankujemy gaz na stacji dla samochodów MPO.

Na składowisku przed rampą śmieciarka zostaje zważona. Potem wjeżdżamy na ogromny plac z betonowymi boksami, w każdym to, co zostało po meblach. Boksy ułożone są według stopnia zniszczenia mebli – te dopiero wysypane ze śmieciarki (czyli wstępnie zmiażdżone) sąsiadują z tymi, które już przemieliła kosmiczna maszyna, która stoi na placu i zamienia wszystko w miazgę.

Wojciech: – Taką surówkę z mebli ładuje się na samochody i wywozi do spalarni. Tam się wszystko kończy.

– Do zmieszanych? – pytam zdziwiony. – Trzeba sobie pomagać – odpowiada kierowca śmieciarki

ZMIESZANE ŚMIERDZĄ

Jest idealnym pracownikiem.

– Biorę na raz trzy bobry. Do kolejnych altan przeskakuję przez płot, żeby być na miejscu przed śmieciarką.

Nie nadążam za Mirosławem. Rzeczywiście, pcha przed sobą trzy kontenery i przeskakuje przez ogrodzenia między kamienicami. Wdrapałem się jak on, ale zanim zeskoczyłem, on już był w altance przy śmieciach.

Trzeciego dnia zbieramy zmieszane na Powiślu.

Śmierdzą odpady. I śmierdzą śmietniki, gdzie kontenery stoją pod zsypem – są jeszcze bloki ze zsypami, czyli kanałem, który biegnie przez wszystkie piętra i wystarczy tylko wyjść na klatkę schodową, by się pozbyć śmieci. Na dole, wokół wylotu zsypu, wisi brud różnokolorowy – od resztek obiadowych po kał.

Mirosław: – Wziąłem raz taki kontener, pcham przed sobą, śmierdzi niemiłosiernie, patrzę, a przed nosem mam pampersa dla dorosłych. Kiedy jest zsyp, to mało kto wiąże śmieci w worku, tylko z wiaderkiem idzie na klatkę schodową i wyrzuca odpady do dziury. Mogliby chociaż pakować świństwo do worków.

Jerzy, kierowca: – I to jest centrum Warszawy, w XXI wieku. Zsypy są wylęgarnią robactwa. Powinni je zamurować.

Mirosław: – U mnie w bloku jest zsyp. Słychać w mieszkaniu jak spadają butelki. Najgorzej, że ludzie wyrzucają śmieci również nocą.

Wstrzymuję oddech i wyciągam bobra spod zsypu, prowadzę go do śmieciarki, opróżniam, odprowadzam; kontener nie ma klapy, więc pył ze środka unosi się i wchodzi mi do oczu, nosa, ust.

W kolejnym bloku ktoś wyrzucił do zsypu zdartą farbę ze ściany – też prosto z wiadra, resztki farby mam teraz we włosach i w oczach. Tak jest przy każdym pojemniku, który nie ma klapy, za co odpowiedzialność ponoszą administratorzy osiedli i kamienic. Zastanawiam się, jak po kilku latach pracy wyglądają płuca ładowacza.

Mówią, że najciężej zbierać śmieci na Starym Mieście. Nikt nie chce Starego Miasta.

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

– Bo tam są restauracje? – zgaduję.

– Nie o to chodzi – mówi Mirosław. – Tam są kocie łby, schody, wąskie uliczki, górki i pagórki, altanki głęboko w podwórkach, przez co trzeba daleko ciągnąć pojemniki.

Jerzy odbiera telefon. Dzwonią z bazy.

– Musimy jechać na Aleje Ujazdowskie. Zapaliły się śmieci w śmieciarce.

– Samochód się pali? – pytam.

– Już nie. Wysypali śmieci na ulicę, żeby ratować śmieciarkę.

Na akcję ratunkową jedziemy z włączonym pomarańczowym kogutem. Tuż przy Placu Trzech Krzyży, niedaleko Sejmu, policja zabezpiecza ulicę, na której leży morze śmieci, polanych wodą przez strażaków. Naszym zadaniem – ładowaczy – jest wrzucenie śmieci do kontenerów. Narzędziem pracy jest łopata do śniegu. Najwięcej jest brudnych opakowań po żywności, garnków, patelni i kości. Przyzwyczajam się do smrodu mokrych śmieci.

Mirosław: – Musiało się coś zapalić przy zgniataniu w śmieciarce. Nawet mógł to być aerozol.

Po czterdziestu minutach umazani i brudni wracamy do śmietników na Powiślu. Przy jednym ze sklepów odbieramy sterty kartonu; nosimy we trzech, a końca nie widać.

– Do zmieszanych? – pytam zdziwiony.

– Trzeba sobie pomagać – odpowiada kierowca.

Prawdopodobnie ekipa od papieru ma opóźnienia, więc pomaga ekipa od zmieszanych. A karton trafi ze zmieszanymi do spalarni. Na koniec jedziemy właśnie tam – do najnowocześniejszej w Polsce spalarni odpadów, do Warszawskiej Wytwórni Energii na Targówku, o której głośno było kilka miesięcy temu.

WWE zaprojektowali i wybudowali Koreańczycy. Hucznie otwarta w lutym przez prezydenta Rafała Trzaskowskiego. Spalane są tu śmieci zmieszane i zmielone gabaryty, rocznie 265 tysięcy ton. Co roku stolica produkuje 700 tys. ton odpadów, z czego sześćdziesiąt procent to odpady zmieszane.

Przy WWE jest również sortownia. Przywożone są tutaj plastik, metal, papier. Z sortowni do spalenia trafiają, np. zabrudzone, tłuste papiery i worki foliowe. Mirosław mówi, że nie miał kto pracować w sortowni, więc szukali ludzi po przytuliskach. Kierują też ładowaczy, którzy sobie nie radzą na mieście. Był taki jeden, który ciągle się gubił między altankami i blokami. Postawili go przy taśmie i już się nie gubił.

Przed WWE podnosi się szlaban, mijamy wykrywacz materiałów radioaktywnych, wjeżdżamy estakadą na wysokość trzeciego piętra, do hali ze zsypami dla ciężarówek. Zrzucamy dzisiejszy „urobek" do bunkra wielkości czterech boisk koszykówki, który może pomieścić 5 tys. ton odpadów. Metalowe szczypce mieszają zawartość bunkra, są w stanie podnieść 8 ton śmieci, czyli tyle, ile dzisiaj przywieźliśmy. Z bunkra blisko do komory spalania.

Na koniec biorę miotłę i zamiatam okolicę zsypu, gdzie z naszej ciężarówki wypadło kilka rozbitych butelek. Za chwilę spalą się w 850 stopniach.

COŚ TAKI CIEKAWY?

Nikt z kierowców i ładowaczy, z którymi rozmawiam, nie potwierdza, że częstą praktyką jest, iż do jednego samochodu zbiera się odpady różnego typu, np. papier i szkło. Jest to możliwe, kiedy samochód ma dwie komory. My odbieramy jeden rodzaj śmieci, ponieważ MPO nie posiada samochodów dwukomorowych.

– No ale bierzemy czasami papier ze zmieszanym. Później lepiej się to wszystko razem pali.

– Ktoś wam każe tak robić? Macie odgórny przykaz?

– A coś taki ciekawy?

KLUCZE DO ŚMIECI

Kabina śmieciarki to nasze centrum dowodzenia. Kierowca ma tablet, wagę, wyświetlacz kilogramów w komorze. Ale najwięcej ma kluczy. Dziesiątki kluczy rozrzuconych na desce rozdzielczej lub w skrzynkach; wszystkie z breloczkami z nazwami ulic i numerami kamienic, osiedli – to klucze do bram wjazdowych i śmietników. Trzeba jeździć kilka miesięcy, by się odnaleźć w skrzynkach pełnych kluczy.

Poznaję kolejnych ładowaczy.

Paweł pracował jako ochroniarz na budowie, na czarno, po 14 godzin.

Mariusz zaczął pracę w czwartek, ale w poniedziałek zrezygnował, poddał się przy pchaniu bobrów ze zmieszanymi.

Dariusz pracował na infolinii handlowej. Woli odbierać śmieci niż telefony od niezadowolonych klientów.

Mirosław był lakiernikiem, cały dzień w masce. Woli pracować na świeżym powietrzu, nawet gdy czasami jest nieznośne.

Wielu ładowaczy i kierowców przychodzi tu dla etatu – mają ubezpieczenie zdrowotne, składki emerytalne, płatny urlop. Bywa, że pensja ładowacza śmieci nie starcza im na życie, dlatego idą do drugiej pracy – są ochroniarzami, jeżdżą szambiarką i na taksówce, prowadzą gospodarstwa rolne. Często mieszkają pod Warszawą, gdzie rachunki za mieszkanie są niższe.

– Dlaczego nie mamy na umowie najniżej krajowej? – pytam jednego z ładowaczy.

– Bo dostajemy kartę na jedzenie, coś około 250 złotych miesięcznie. Dostaniesz, jak przepracujesz miesiąc.

– Dlaczego MPO woli dać kartę niż gotówkę?

– Nie wiem co sobie przez to załatwiają. Ale nie dostaje się pieniędzy na jedzenie, kiedy jesteś na L4 lub urlopie.

– Czyli wtedy nie masz najniższej krajowej.

– No nie.

Zapytam o to MPO, kiedy się zwolnię.

ZIELONE LEŻY I GNIJE

Czwartego dnia widzę w grafiku „zielone", czyli będą worki z liśćmi i trawą. Cieszę się, że w końcu coś przyjemniejszego niż cuchnące opakowania po jedzeniu i pampersy. Jeszcze nie wiem, że nikt z ładowaczy nie lubi „zielonego".

Jedziemy do Rembertowa, na osiedla domów jednorodzinnych, z dużymi ogrodami. Przy ulicy leżą sterty worków i gałęzi. Już przy pierwszym worku pryska moje wyobrażenie o „zielonym". Worek jest napchany trawą, nie mogę go podnieść, rwie się, a ze środka wypływa cuchnąca, zielonobrunatna maź. Po chwili mam oblepione nią spodnie, buty i rękawiczki.

Andrzej: – Co się dziwisz, worki leżą miesiąc, trawa gnije. Ciesz się, że wczoraj i dzisiaj nie lało, przez co lżejsze.

Michał: – Ludzie stawiają worek przy furtce i przez kilka dni coś do niego dosypują. Wydaje im się, że my to dźwigniemy. Kiedy mam taki napchany worek, to go rozrywam i zostawiam. Może pójdą po rozum do głowy i pomyślą, że za dużo napchali.

Roboty nie ubywa. Pod jednym adresem naliczyłem 35 worków i dziewiętnaście wiązek gałęzi, bo gałęzie mają być związane – jeśli nie są, to zostawiamy. Worki wrzucamy tradycyjnie do bobra, żeby zliczać kilogramy. Za każdym razem, gdy za pomocą dźwigu opróżniam pojemnik, czuję, jak na twarz padają mi krople zielonej gnojówki, której mamy coraz więcej w wannie śmieciarki – gdy wpada tam worek, rozchlapuje zawartość wanny. Chowam się za samochodem, ale zarazem muszę operować dźwigiem, więc całkiem nie ukryję się przed gnojówką.

Andrzej i Michał mówią, że nikt nie kompostuje trawy i liści, że mogliby sami produkować ziemię i nawóz, byłoby ekologicznie i taniej.

Michał: – A kto ci tu będzie myślał o kompostowaniu, jak w co drugim domu jest gosposia z Ukrainy. I jak taki bogacz będzie się bawił w kompostowanie? Stać go na ziemię i nawozy ze sklepu.

– To może powinno się potroić opłatę za odbiór trawy i liści?

– Na bogatym nie zrobi to wrażenia, a biedny może i zacząłby kompostować. Tylko czy biedni mają w Warszawie ogrody?

Ludzie wychodzą do nas i pytają, kiedy będzie odbiór zmieszanych, kiedy szkła, papieru i czy wzrosły stawki, albo co mają zrobić z szafą. Staram się tłumaczyć, a jeśli czegoś nie wiem, odsyłam na infolinię 19 115.

Andrzej mówi, że spowalniam pracę, rozmawiając z mieszkańcami, że powinienem ich ignorować, bo od udzielania odpowiedzi jest infolinia, a nie ładowacz.

Andrzej nie panuje nad emocjami – otwiera okno, wyzywa kierowców, którzy nie ustępują śmieciarce, wyzywa nastolatka, który zrozumiał, że skoro zbieramy „zielone", to znaczy, że chodzi o szkło w zielonych workach.

Jedziemy na drugi koniec miasta wysypać, to co zebraliśmy – około 10 ton „zielonego". Liście i trawa, po miesiącach leżakowania w pryzmach, zamienią się w kompost.

Michał: – Raz w roku każdy pracownik może dostać wywrotkę kompostu. Dowóz gratis do dwudziestu kilometrów od Warszawy. Ale musisz przepracować trzy miesiące, żeby dostać taki bonus.

ZMIESZANE PACHNĄ U HINDUSA

Piątego dnia znowu Powiśle i zmieszane. Dziś jestem jedynym pomocnikiem kierowcy. Stefan pracuje w MPO od 30 lat, dojeżdża z Wołomina. Mówi, że najważniejsza jest atmosfera w pracy. I że trzeba dobrze żyć z ludźmi na mieście. I rzeczywiście, ciągle ktoś pozdrawia Stefana: „Dzień dobry panie Stefanie", „Panie Stefanie, dziękuję, że pan pozbierał u nas śmieci", albo „Witam pana Stefana, dzień dobry" – mówi starszy mężczyzna.

– To prezes administracji tych kamienic – tłumaczy po chwili Stefan.

Staram się utrzymywać tempo Mirosława – tego, który dwa dni temu pchał przed sobą trzy bobry i przeskakiwał przez ogrodzenia. Stefan to zauważa i mówi, że jestem „narwany", czyli za szybko pracuję.

Najprzyjemniejszy zapach jest w śmietnikach restauracji indyjskich oraz przy salonach kosmetycznych; największy fetor – wiadomo – w śmietnikach, gdzie są zsypy. W zmieszanych widać, jak wiele śmieci nie jest segregowanych: bo nie powinno tu być ani plastikowych opakowań po płynie do naczyń, butelki po mleku, słoika po majonezie, ani nie powinno tu być resztek po brokułach.

Według Stefana najwięcej śmieci jest w poniedziałek, a później w piątek. W poniedziałek, bo po niedzieli – spotkaniach towarzyskich, wspólnym gotowaniu; a w piątek, bo ludzie wyrzucają śmieci z tygodnia – leżą im w koszu przez wtorek, środę i czwartek, ale w piątek trzeba już wynieść, bo zbliża się weekend.

Pracując bez drugiego ładowacza, mam przemyślenia:

Byłoby łatwiej, gdyby wszystkie drzwi do śmietników otwierały się na oścież i miały tzw. nóżki blokujące, które ułatwiają wyprowadzenie i wprowadzenie pojemników; inaczej trzeba jedną ręką pchać pojemnik, drugą trzymać drzwi;

Byłoby łatwiej, gdyby chodniki do śmietników i altanek były wyłożone czymś płaskim, a nie kocimi łbami czy nierówną kostką, które blokują kółka pojemników i powodują hałas przy pchaniu pojemników, co drażni mieszkańców (zwłaszcza rano);

Byłoby łatwiej, gdyby przy śmietnikach i altankach nikt nie parkował samochodu, bo przeciskanie się „na żyletkę" z bobrem pełnym śmieci wydłuża pracę ładowacza, a pewnie nieraz bober obtarł się o samochód;

Byłoby łatwiej, gdyby istniał jeden klucz dla służb ratunkowych oraz komunalnych, który otwiera wszystkie bramy i drzwi osiedlowe.

W przerwie parkujemy na zacisznej ulicy, pod drzewami. Idę do sklepu po kawę. Sprzedawca myśli, że przyszedłem po śmieci, i kieruje mnie na zaplecze, więc muszę szybko prostować, że tylko po kawę. Częstuję Stefana. Opowiada, jak było kiedyś, że śmieciarze odkładali złom, makulaturę, brali więcej śmieci, niż wziąć powinni.

Na koniec jedziemy do spalarni WWE. Szlaban, kontrola radioaktywna, estakada, hala zsypu. Otwieram rampę do bunkra, gdzie wpadają buty, waciki, pampersy, butelki po mleku i resztki po brokule.

WYPOWIEDZENIE

Po tygodniu rezygnuję. Dzwonię rano na dyżurkę, żeby wykreślili mnie z popołudniowego grafiku. Umowę rozwiązuję u kierownika bazy.

– To po co było się zatrudniać, wiedział pan, jaka to praca – rzuca kierownik.

– Teraz dopiero wiem, jaka to praca.

Nie wchodzi w szczegóły, podpisuje wypowiedzenie za porozumieniem stron i jednocześnie rozmawia z kimś przez telefon, więc nie mam szansy na pożegnalną rozmowę. Oddaję odzież roboczą, która trafi zaraz do czyszczenia i będzie czekała na kolejnego ładowacza.

PS.
Dzwonię do rzecznika MPO Jakuba Turowicza, by wyjaśnić kwestię płacy – dlaczego ładowacz ma na umowie mniej niż najniższa krajowa. Rzecznik odpowiada, że wynagrodzenie zasadnicze może być niższe od minimalnego wynagrodzenia, które reguluje rozporządzenie. W MPO ładowacz ma także dodatki, m.in. za utrudnienie tras, za niepełną załogę, czy kwartalną nagrodę uznaniową. Po zsumowaniu dodatków średnie wynagrodzenie brutto ładowacza wynosi 6800 zł (bez nadgodzin). Dostaje również 12 zł dziennie na posiłek (średnio 250 zł miesięcznie, pod warunkiem że jest w pracy).

Rzecznik zaprzecza, by zbierano różne odpady do jednej komory, np. papier ze zmieszanymi. Mówi również, że za edukację mieszkańców w kwestii segregowania śmieci odpowiada Urząd Miasta. ●

– Ludzie dobre rzeczy wyrzucają. Aż ściska serce! Ostatnio wrzuciliśmy do śmieciarki jedenaście nowych drzwi pokojowych

Imiona ładowaczy śmieci zostały zmienione

1 RP

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

Talko w Toskanii

Kawa ZAWSZE ZA JEDNO EURO

Włosi, którzy szukają domów, najpierw pytają, jak daleko jest stamtąd do baru. Nikt nie kupi domu w miejscu, gdzie nie ma baru.

• **Nasz dom w Giovano**
FOT. EWELINA LISIECKA

Włoskie bary to osobliwe miejsca. Do dziś nie mamy pojęcia, jakim cudem w ogóle działają.

Chodzimy tam namiętnie nie tylko po to, by wypić kawę i zjeść cornetto, czyli rogalika – najchętniej z nadzieniem pistacjowym – ale przede wszystkim, żeby poczuć się po włosku i zostać miejscowymi – lokalsami.

Nie wiem, w jaki sposób udaje się barom związać koniec z końcem, bo wydaje się to niemożliwe. W Polsce restauratorzy narzekają na koszty paliwa, energii, ZUS-u i windują cenę kawy do pułapu, przy którym Włoch dostałby ataku serca. Dwadzieścia-trzydzieści złotych za kawę? Pięć-siedem euro? Kawa przecież zawsze kosztuje jedno euro, może półtora.

Idę więc do tego baru, zamawiam cappuccino i cornetto, płacę dwa i pół euro. Jakim cudem opłaca im się otwierać bar i sprzedawać mi podobny zestaw w podobnej cenie, pozostaje dla mnie tajemnicą. Przecież facet, który przygotowuje dla mnie tę kawę, musi coś zarobić. Ktoś musi zapłacić za światło, które się świeci, za to, że jest ciepło, za to, że leci jakaś muzyka, nie mówiąc o podatkach i czynszu. I to wszystko z tych kilku euro, które płacę? I płacą ci państwo przy stoliku obok, którzy siedzą dwie godziny przy espresso za euro?

Bary są przeważnie prowadzone przez rodzinę, do której należy dom – poprawia mnie Giovanni, nasz znajomy z miasteczka. Tak więc nie płacą czynszu. I nie płacą również pensji, bo za barem stoi ojciec albo dziadek.

Nie rozproszyło to naszych wątpliwości. Nawet jeśli za barem stoi dziadek, to też musi z czegoś żyć.

Do baru Sport lub baru Italia chodziłbym codziennie, gdybym tylko mógł. Uwielbiam to leniwe zamawianie kawy, przeglądanie gazet, gapienie się na innych klientów – robotników wpadających na szybką kanapkę i espresso, staruszków siadających z kawą, dzieci, które po drodze ze szkoły wpadają na kanapkę lub oranżadę.

Bary to coś innego niż nasze kawiarnie. Tu wpada się na szybką przekąskę, espresso przy barze albo żeby przejrzeć gazety czy po prostu spotkać znajomych i poznać najnowsze plotki. W barze zawsze są miejscowi, nie ma za to turystów, bo ci, jeśli się pojawiają, szukają kawiarni.

Teoretycznie za tę kawę pitą przy stoliku mógłbym zapłacić dwa razy więcej – ale prawie nigdy nie płacę, choć w książkach o Włoszech wciąż trafiam na informację, że kawa przy barze kosztuje taniej niż przy stoliku. Jeśli to prawda, to dotyczy kawy zamawianej po angielsku. Kawa zamawiana po włosku zawsze jest tańsza.

Tylko raz – w Lukce – kawa przy stoliku kosztowała mnie aż trzy euro, może dlatego, że stolik stał pod platanem przy popularnym wśród turystów Placu Napoleona. Obok nas, w Borgo a Mozzano czy Bagni di Lucca, nikomu by nie przyszło do głowy żądać takich pieniędzy za kawę i nikt by tyle nie zapłacił.

W każdym z otaczających nas miasteczek istnieje bar Sport. Do baru Sport – niezależnie od tego, który wybierzemy – jedziemy czasem obejrzeć mecz. Każdy z barów Sport powstał w latach pięćdziesiątych lub sześćdziesiątych – nikt już tego dokładnie nie pamięta. Wcześniej w tych miejscach też były bary, ale nazywały się inaczej. W latach pięćdziesiątych rozpoczęła się jednak we Włoszech era telewizji, telewizorów było niewiele i transmisje meczów można było obejrzeć właśnie w barach. Te, które miały telewizor, zyskały nową nazwę – Sport.

A kiedy nie ma meczu, do baru wpada się zobaczyć nowe ogłoszenia, pogadać ze znajomymi, którzy też tu wpadają, usłyszeć najnowsze ploteczki.

My jesteśmy tu na tyle nowi, że jeszcze nie słyszymy ploteczek. Opowiadają nam je nasi sąsiedzi w miasteczku, dbając o to, by mówić wolno i wyraźnie. Nie zrozumiemy nawet najsmakowitszych historii, jeśli są wyrzucane z szybkością stu słów na minutę. W barze siedzą ludzie z większych miasteczek, do których mamy najbliżej. Niektórych znamy już z widzenia, ale nie znamy się jeszcze na tyle, by rozmawiać. Skiniemy więc bywalcom głową, powiemy buongiorno, oni nam odpowiedzą.

Po prostu pijemy kawę. Z całą pewnością wszyscy, którzy tu siedzą – kobieta w średnim wieku za barem, staruszek przy stoliku, dwie młode dziewczyny przy drugim stoliku i mężczyźni w roboczych strojach przy kontuarze – znają nas o niebo lepiej niż my ich. Nie dlatego, że jesteśmy sławni, ale dlatego, że jesteśmy nowi. Przyjechaliśmy z innego kraju i tu zamieszkaliśmy. No i od czasu do czasu wpadamy do tego baru. Kiedy przyszliśmy po raz pierwszy, uznano nas za turistów; nikt nie zaprzątał sobie nami głowy. Za drugim razem ktoś pewnie zmarszczył brwi i zamruczał: „Chyba już ich tu widziałem". A kiedy wpadliśmy ponownie, stało się jasne, że mieszkamy w pobliżu – czasowo lub na stałe, więc trzeba się dowiedzieć, kim właściwie jesteśmy.

Wtedy ktoś rzucił w przestrzeń pytanie:

– A ci stranieri skąd są?

Być może jeszcze nikt w barze tego nie wiedział. Może wrócili do swoich domów i pytania poszły w świat: Ach, wiesz, w barze znowu byli ci stranieri. Nie wiesz, kim są? Nie wiem, ale jutro idę do fryzjerki Paoli na farbowanie, to się zapytam.

Mogło się tak wydarzyć, ale bardziej prawdopodobne jest, że ktoś już coś słyszał.

Z pewnością teściowa kuzynki właścicielki baru, a może przyjaciel fryzjera jednej z klientek, znali naszego sąsiada i w przerwie między jednym a drugim łykiem kawy powiedzieli:

– A to ci Polacy, którzy zamieszkali w Gioviano. On jest, zdaje się, pisarzem, a ona fotografką.

Ktoś inny mógł się dołączyć: Moja ciotka ma znajomą, której dziecko chodzi do szkoły z ich synem, a jeszcze kto inny dodał: Mają również dwa psy.

Mógłbym się założyć, że wiedzą, gdzie jest nasz dom, prawdopodobnie wiedzą też, ile kosztował, wiedzą, że jeszcze nie załatwiliśmy rezydencji, i znają moje nazwisko. Czy znają imię – nie jestem pewien, bo polski „Leszek" jest dla Włochów nie do przejścia.

Nasi sąsiedzi połamali już sobie na nim język, więc zrezygnowali z dalszego próbowania i wołają na mnie po prostu „Talko".

Nicoletta, agentka, która pokazała nam nasz dom, mówi, że bar to coś więcej niż miejsce. To wspólnota, poczucie przynależności. Kiedy umiera bar, umiera też miejscowość.

Włosi, którzy szukają domów, najpierw pytają, jak daleko jest stamtąd do baru. Jeśli dowiadują się, że daleko lub, co gorsza, że baru nie ma – nie zadają już innych pytań. Po prostu nikt nie kupi domu w miejscu, gdzie nie ma baru.

Nasi sąsiedzi nie wiedzą, że w Polsce jest inaczej. Opowiadam im czasem, że w Polsce nie ma takich barów. Nikt nie pyta, czy w pobliżu domu jest jakiś bar.

Włosi niezmiennie się temu dziwią. Przecież nie można mieszkać w miejscu, gdzie ludzie nie spotykają się choćby na chwilę, by wypić kawę, zapytać, jak minął dzień, i wymienić najnowsze wieści. Kto umarł, kto się przeprowadził, kto dostał nową pracę. Co to za życie?

I to koniecznie musi być bar lokalny – obok domu. Bo jaki jest sens chodzić do baru czy kawiarni daleko, gdzieś w centrum? Ci, którzy tam siedzą, są przecież obcy, nie znają naszych historii, naszych sąsiadów, nie poznamy żadnych plotek. Po prostu można tam się napić kawy i tyle.

– O co więc pytają Polacy, gdy kupują nowy dom? – zaciekawiają się nasi Włosi.

Przypominam sobie, o co pytali chętni do kupienia mojego domu: o odległość do szkoły, o to, jak jest docieplony budynek, o to, jakiej marki jest dachówka, jak się nazywa piec do ogrzewania i jaką ma moc...

Nasi Włosi kręcą ze zdumieniem głowami. Nikt z nich nie pamięta, jaki ma piec. Oczywiście mają jakieś tam piece, które grzeją, ale pytanie jest tylko jedno: czy te piece są na pellet i wtedy są dobre,

Fragment książki Leszka Talko

Dolcze wita. (Bez)troskie życie na włoskiej prowincji
wyd. Znak, premiera 17 czerwca

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

bo ogrzewanie kosztuje mniej, czy też są na gaz i wtedy są złe, bo gaz jest drogi. A dachówka? Tu zawsze dachówka jest ceramiczna. I zawsze jest dobra, o ile wiatr nie postrąca jej z dachu – bo wtedy dach przecieka. Tak więc bardziej praktyczne jest pytanie – czy kamienie ułożone na dachu i dociskające dachówkę są na pewno odpowiednio ciężkie. Najważniejszy jednak jest bar. Jak można o niego nie zapytać?

No więc czy mamy bar w naszym miasteczku?

Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Tak, mamy bar. Choć nie ma go na żadnej mapie, nie ma szyldu i nie jest barem.

Mieści się w szkole i dowiedzieliśmy się o nim zaraz po przyjeździe. Ale nie jest to bar Italia ani bar Sport. To bar nieoficjalny, którego nie ma, choć jest, i znany jest jako „Il Circolo", czyli „klub".

Stoi jakieś trzysta metrów za miasteczkiem przy drodze w dół, którą zjeżdżamy do cywilizacji. To mały, niewyróżniający się budyneczek w kolorze ochry, a o jego dawnej funkcji świadczy tylko stojąca przed nim huśtawka i kilka innych ogrodowych zabawek zmęczonych upływem czasu. Szkołę zamknięto dawno.

Jest tu malutka kuchenka i toaleta w sam raz dla dzieci, a nasi sąsiedzi przerobili szkołę na letni bar. Choć to może złe słowo, bo nic się tu nie zmieniło od chwili, gdy kilkadziesiąt lat temu wyszli stąd uczniowie. Wiszą jeszcze rysunki i tablica. A nasi sąsiedzi po prostu wprowadzili się do szkoły razem z barem, czyli Il Circolo. A ponieważ to Circolo, nazywamy to miejsce pieszczotliwie Cyrkiem.

W letnie wieczory sąsiedzi przechodzą obok naszego domu. Idą główną ulicą i głośno wołają: „Otwieramy Il Circolo! Chodźcie z nami". Z domów wychodzą następni znajomi i tłumek zdążający do Cyrku robi się coraz większy.

Często idziemy razem z nimi, bo trudno się oprzeć urokowi naszego baru. Sąsiedzi otwierają stare drzwi szkoły. Mamy tu ekspres do kawy, lodówkę i zamrażarkę, a więc wszystko, co niezbędne do działania baru. Ekspres robi kawę, w lodówce stoi białe wino i prosecco, a w zamrażarce lody. Na drzwiach wiszą ceny, choć one akurat są łatwe do zapamiętania.

Kawa kosztuje jedno euro, kieliszek wina czerwonego – jedno euro, kieliszek białego wina – jedno euro. Lody – jedno euro, piwo, ice tea lub cola – jedno euro.

Siadamy przy plastikowym stoliku i zamawiamy kieliszek wina i ice tea. Tu nie leje się jak w eleganckich restauracjach – na sam dół kieliszka. Leje się do pełna.

Czasem w barze urządzana jest kolacja i wtedy wszyscy jemy to, co akurat osoba zarządzająca barem postanowi ugotować w wielkim garze. Menu jest jedno i wszyscy dostają to samo. Dzisiaj czeka nas garfagnański klasyk: talerz mięs – kiełbaski, żeberka, stek, a do tego pieczona fasola i frytki albo polenta.

Garfagnana, w której mieszkamy, jest częścią Toskanii, ale tutejsza dieta niewiele ma wspólnego z tym, co powszechnie sądzi się o kuchni toskańskiej. Tu musi być pożywnie i tłusto.

Opcja wegetariańska nie istnieje – chyba że lubi się fasolę – tutaj wszyscy są mięsożerni. Goście nakładają sobie dokładki polenty. Tutaj wszyscy wciąż się nią zajadają. Polenta jest pewnie starsza niż Toskania. Kiedyś była robiona z mąki kasztanowej i stanowiła podstawę tutejszej diety, współczesna wersja z kaszki kukurydzianej wykarmiła pokolenia Garfagnańczyków, dla których jest smakiem dzieciństwa, a teraz karmi nas.

FOT. EWELINA LISIECKA

• **Opowieści o tym, że cappuccino można zamawiać tylko do południa, okazały się kłamstwem. Miejscowi zamawiają i o czternastej. To też biorę, a co**

Nasi Włosi uwielbiają ten klasyk – mięsa z grilla, polenta, do tego fasola. Ci starsi i ci zupełni młodzi mogliby to jeść na okrągło – bo kiedy w barze umawiamy się na kolację, to menu jest jedno i niezmienne. Jemy zatem kiełbaski z fasolą i polentą i popijamy.

Letnie kolacje wydłużają się do nocy. Na stół wjeżdżają jeszcze przystawki oraz dolce – słodkości. Do tego oczywiście wino – miejscowe, więc nikt już nie liczy kieliszków, tylko wrzuca się do skarbonki na koniec po dziesięć euro od osoby.

W przerwach między jedzeniem idziemy do sali na prawo zagrać w gry towarzyskie. Jest tu stół do ping-ponga, ale kolejka ustawia się do piłkarzyków. I nasi sąsiedzi okazują się piłkarzykowymi zawodowcami. Gram w drużynie z Gianluką, przystojnym facetem koło czterdziestki z długimi włosami, przeciwko jego ojcu i koledze ojca. Ojciec i kolega ojca mają łącznie ponad sto pięćdziesiąt lat i ogrywają nas do trzech, chociaż robię, co mogę. Przegrywamy w trzy minuty.

Głupio sobie pomyślałem: ogram staruszków. Tych dwóch widziałem przedwczoraj, jak rozładowywali traktor z drewnem. A wczoraj przenosili jakieś regały. Dziś cały dzień okopywali grządki na działce, którą mijamy, idąc z psem. Ci staruszkowie pracują ciężej niż młodzi. I są w znakomitej formie. Ojciec Gianluki wraca z kieliszkiem wina i klepie mnie po plecach, powtarzając, żebym się nie martwił porażką i że za dwadzieścia lat nikt mnie nie pokona. Muszę tylko pamiętać o podstawach: napracować się w dzień, potem smacznie podjeść, a wieczorem iść do baru, pograć w piłkarzyki, popić wina, znowu pograć, znowu popić, wrócić i dobrze się wyspać.

Jego ojciec tak właśnie robił i dożył prawie setki w świetnym zdrowiu, on też tak zamierza i mnie również to poleca.

Wszystko to stoi w sprzeczności z zasadami zdrowego życia, o których czytałem, ale przecież działa świetnie. Kiedyś może napiszę o tym poradnik – jak dożyć setki w pełnym zdrowiu, ciesząc się życiem. Tyle że nie wystarczy pewnie pić dużo wina i zjadać dwie dokładki polenty ze stekiem i kiełbaskami. Trzeba jeszcze codziennie spędzać mnóstwo czasu, pracując na zewnątrz, chodzić do baru i śmiać się z przyjaciółmi, no i cieszyć się wszystkim, co przynosi życie.

Kiwam głową, najwyraźniej ta metoda działa. Pewne jest, że nasi znajomi w miasteczku i w okolicy nie zajmują się swoim zdrowiem i kondycją tak, jak robią to przyjaciele, których zostawiliśmy w Polsce.

W Warszawie wszyscy, których znałem, gdzieś uczęszczali: na siłownię, na fitness, na zumbę, na pilates, tenisa i dziesiątki innych aktywności.

Tu nie ma możliwości, żeby to wszystko ćwiczyć. Zumba? Pilates? Badminton? Nie ma sal, nie ma zajęć, nie ma instruktorów. Zresztą nawet jakby byli, komu by się chciało gdzieś jeździć po to, żeby się poruszać. Przecież tu wszyscy ruszają się cały czas.

Nasi toskańscy przyjaciele bardzo interesują się zdrowymi aktywnościami, które mamy w Polsce, ale w ogóle ich nie rozumieją. Zdrowo jeść? Dieta śródziemnomorska? Keto? Białko, cateringi i dziesiątki innych pomysłów?

Sąsiedzi rozsiadają się przy stoliku i domagają się, by opowiedzieć im o tych dziwnych sprawach.

A więc ludzie w Polsce zamawiają zbilansowaną dietę, która dociera codziennie rano w styropianowych pojemnikach i jest zróżnicowana, ma wszystkie witaminy, kalorie i mikroelementy. Potem idą do klubu fitness i tam mordują się, jeżdżąc na stacjonarnych rowerach albo biegając w miejscu na ruchomej bieżni.

Nasi Toskańczycy widzieli oczywiście te bieżnie i te rowerki – w telewizji. A jednak ciągle ich intryguje, dlaczego z nich korzystamy. W końcu na co dzień jest tyle chodzenia i jeżdżenia na rowerze, że nie ma po co jeździć jeszcze rano lub wieczorem, tyle że nie ruszając się z miejsca. I w dodatku za to płacić. Ich serce burzy się na takie marnowanie pieniędzy.

Tłumaczę, że w mieście jest inaczej. Ludzie mieszkają w blokach, zjeżdżają do garażu, jadą do pracy, tam siedzą przed komputerem, wracają autem, parkują w garażu i nie mają okazji się przejść, porąbać drewna czy rozładować traktora.

Sąsiedzi mówią, że rozumieją to wszystko, ale jednak to dziwne. Przecież można wyjść z bloku i pojeździć na rowerze. Pójść do baru i zagrać w piłkarzyki, to znakomicie rozwija mięśnie.

Przypominam im, że w Polsce nie ma barów, i wtedy smutno zwieszają głowy: No tak, nie ma barów. Mi dispiace, przykro mi. ●

Poznałem prawdę, gdy kanadyjska rodzina pokazała mi zdjęcie z czasów wojny, **na którym babcia znalazła się obok żołnierzy Wehrmachtu.**

Z **MACIEJEM FALKOWSKIM**, autorem książki „Nasi Niemcy", ROZMAWIA **ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI**

Czy pana babcia mówiła dzieciom, że była Niemką?
– Nie, nigdy.

Jak pan myśli, dlaczego?
– Wolała dmuchać na zimne. Otwarte przyznawanie się do niemieckich korzeni w PRL-u nie było dobrym pomysłem. Można było nawet stracić pracę, a już z całą pewnością narazić się na ostracyzm społeczny.

Ale w latach 90. było inaczej.
– Ale wtedy babcia była już starszą osobą, która nie chciała opowiadać o swoich traumach. Nie rozumiała też, że czasy się zmieniły.

I nigdy nie mówiła po niemiecku, chociażby w złości?
– Czasami, opowiadając o dawnych czasach, używała niemieckich słów. Dopiero po latach zorientowałem się, że wymawiała je bez polskiego akcentu.

Kiedy odkrył pan, że babcia miała niemieckie korzenie?
– Nie było jednego momentu. Powoli w ciągu kilku lat układałem w głowie różne fragmenty przeszłości. W poprzedniej dekadzie skontaktowałem się z krewnymi w Kanadzie, którzy opowiedzieli mi wszystko, co działo się w ich niemieckiej rodzinie, czego doświadczyli w czasie wojny – podpisania volkslisty, służby mężczyzn w Wehrmachcie, ucieczki na Zachód przed Armią Czerwoną, utraty całego majątku. Dopiero po wizycie w Kanadzie zacząłem szukać dalej, poszerzałem wiedzę.

Kiedy odkrył pan skrywaną prawdę o babci?
– Gdy kanadyjska rodzina pokazała mi zdjęcie z czasów wojny, na którym babcia znalazła się obok żołnierzy Wehrmachtu. To było zdjęcie z czyjegoś ślubu, zrobione najprawdopodobniej w ówczesnym Dziekanowie Niemieckim pod Warszawą, dziś Dziekanowie Leśnym, gdzie wówczas mieszkali, choć pochodzili z innych stron, z okolic Kozienic.

Skąd w małych wioskach wokół Kozienic wzięli się Niemcy?
– Napływali od końca XVIII wieku i zakładali po dwóch stronach Wisły osady. Ściągali ich tamtejsi właściciele ziemscy potrzebujący ludzi, którzy mogliby zagospodarować nieużytki, głównie w dolinie Wisły. Z czasem powstała parafia ewangelicka, cmentarze, pozakładano szkoły, w których językiem nauczania był niemiecki. Mieli swój świat, żenili się między sobą, choć oczywiście utrzymywali kontakty z miejscowymi Polakami.

Ale dlaczego Polska, dlaczego Wschód?
– Imigrantów od wieków napędza to samo, czyli chęć zmiany i polepszenia swojego życia. Co może nas zaskakiwać: do XIX wieku to Niemcy przyjeżdżali do Polski. Migrowali na Wschód, ponieważ w państwach niemieckich panowało przeludnienie, a sytuacja gospodarcza była o wiele gorsza niż w Polsce.

Powiem więcej: nasza arystokracja, Kościół i inni właściciele ziemscy chętnie zapraszali Niemców. Oferowano im ziemię, kilkuletnie zwolnienie z podatków. A potem w XIX wieku to samo robili zaborcy, którzy ściągali na nasze ziemie Niemców. A ci mieli zagospodarować ziemię, która leżała odłogiem, albo rozwinąć przemysł. W Polsce brakowało kadr, ludzi do pracy lub tych z odpowiednimi umiejętnościami.

Koloniści byli też zachęcani wolnością, prawda?
– Tak. Niemcy stawali się najczęściej wieloletnimi dzierżawcami ziemi, przysługiwała im wolność osobista, czego nie można było powiedzieć o polskich chłopach pańszczyźnianych.

I nie dochodziło do napięć między chłopami a kolonistami?
– Nie było to większym problemem, choć na pewno Niemcy byli oskarżani o wywyższanie się. No ale oni mieli lep-

Maciej Falkowski

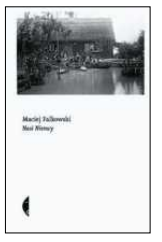

Nasi Niemcy
Wydawnictwo Czarne

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

Los Niemców polskich

Wy boicie się W DZIEŃ. A MY W NOCY

sze gospodarstwa, większe domy, dostęp do technologii nieznanej Polakom. Powiedziałbym jednak, że Niemcy inspirowali Polaków. Musimy pamiętać, że nigdy nie doszło do pogromu niemieckich osadników. Nie znam z historii żadnych napięć społecznych podobnych do tych w Ukrainie czy między Polakami a Żydami. Sytuacja zmieniła się dopiero w latach 30. XX wieku, kiedy w wielu osadach powstały nazistowskie organizacje społeczne i polityczne.

Do tego momentu za chwilę dojdziemy. Spójrzmy przez lupę na okolice Kozienic: dlaczego były atrakcyjne dla kolonistów?
– Pod koniec XVIII wieku wylała tam Wisła, która po ogromnej powodzi zmieniła koryto. Wokół niej pojawiły się pustki i mokradła, których nie potrafili użytkować miejscowi właściciele ziemscy. Zaczęto się rozglądać za specjalistami.

Na Pomorzu i na Żuławach mieszkali potomkowie Olędrów, czyli pierwszych osadników ściągniętych w XVI wieku z Holandii i księstw niemieckich. I właśnie oni zamieszkali wokół Kozieniec i zaczęli zagospodarowywać zalewowe tereny: osuszali je, budowali tamy, groble, a na terpach, czyli sztucznych wzniesieniach, domy. Powtórzyli to samo, czym ich przodkowie zasłynęli na Żuławach. Do dzisiaj wokół Kozienic widać pozostałości olęderskie, czyli kanały, terpy i rzędy wierzb rosochatych, które chłoną wodę i zatrzymują krę, chroniąc tym samym domostwa i pola.

Co z tego miał właściciel?
– Czysty dochód z rocznego czynszu, który uiszczali osadnicy, zagospodarowaną ziemię, która do tej pory leżała odłogiem. Właściciele ziemscy nie wtrącali się do wewnętrznego ustroju kolonistów, którzy mieli swoje sądy i wspólnotę, a ta solidarnie regularnie zbierała podatek od wszystkich mieszkańców. Właściciel nie musiał nad nikim stać z batem w ręku, pieniądze wpływały regularnie do jego kasy.

Osadnicy mówili po niemiecku?
– Nie, o ile ma pan na myśli literacki niemiecki. Posługiwali się dialektem dolnoniemieckim „plattdeutsch”.

• Muzeum Mazowieckie w Płocku – Skansen Osadnictwa Nadwiślańskiego w Wiaczeminie Polskim. Na zdjęciu: scena powodzi we wsi Wiaczemin, lata 30. – reprodukcja
FOT. KRZYSZTOF CHOJNACKI / EAST NEWS

I nie uczyli się polskiego?
– Uczyli, ponieważ chcieli porozumiewać się z sąsiadami z innych wiosek i miasteczek. Ale żenili się między sobą, bo zależało im na ochronie tożsamości. Stopniowo młodzi zaczęli wyjeżdżać do większych miast, zdarzało się, że w kolejnych pokoleniach mówili już tylko po polsku.

Jak reagują, kiedy w 1918 roku pojawia się niepodległa Polska?
– Zanim o tym opowiem, musimy wspomnieć o I wojnie światowej. W zaborze rosyjskim Niemcy dostawali mnóstwo przywilejów takich jak nauka niemieckiego w szkołach, obecność pastorów pochodzących z Cesarstwa Niemieckiego. Carat chciał dzięki temu rozrzedzić polskość. Kiedy wybuchła pierwsza wojna, Niemcy zaczęli jednak być postrzegani jako piąta kolumna na ziemiach carskich. Zdecydowano więc o konfiskacie całego majątku Niemców z terenów wiejskich i ewakuacji ich głąb kraju.

Mówimy o dziesiątkach tysięcy ludzi, którzy w dramatycznych warunkach zostali zmuszeni do opuszczenia domów. Te zajęli Polacy, co doprowadziło do pierwszego poważnego konfliktu, kiedy Niemcy po 1918 roku zaczęli wracać z Rosji. Część z nich, widząc, co stało się z ich domami, wyjechała na Zachód. Inni odzyskali swoje majątki.

W latach 30. obserwujemy dwie tendencje: z jednej strony Polska dokręca śrubę mniejszościom, Niemcom są ograniczane prawa, na przykład nauczanie w języku niemieckim. A z drugiej strony Trzecia Rzesza chce wykorzystać tych Niemców w ekspansji ideologicznej na Wschodzie. Naziści tworzą więc na polskich terenach – jak już wspomniałem – organizacje, które mają zapładniać ideologią faszystowską.

Działały wokół Kozienic?
– Tak, nawet w najmniejszych wioskach. Przyjeżdżali tam Niemcy z Rzeszy albo innych części Polski i wkładali miejscowym do głów nazistowską narrację.

Jak osadnicy na to reagowali?
– Część z dużym dystansem, ponieważ obawiali się problemów ze strony państwa polskiego. Inni poddawali się tej ideologii, szczególnie młodzi ludzie, którzy dorastali w trudnych warunkach ekonomicznych.

Kiedy wybuchła II wojna światowa, osadnicy wybierali przeróżne strategie przetrwania. W książce opisuję kolonizacje niemieckie z różnych epok, nie skupiam się wyłącznie na tej z XIX wieku. Na Podkarpaciu mieszkało sporo Niemców, piszę też o Bambrach z Poznania, mieszczaństwie łódzkim. I zależnie od regionu, środowiska, rodziny Niemcy albo podpisywali volkslisty albo nie. Mieliśmy przecież sporo Niemców w miastach, którzy nasiąkali kulturą polską i nie popierali nazistów. Inaczej było na obszarach wiejskich, gdzie osadnicy pielęgnowali niemiecką kulturę i tożsamość. I kiedy przyszła do nich Trzecia Rzesza, to bez dyskusji podpisywali volkslistę.

Oczywiście, możemy dyskutować, czy robili to pod przymusem, czy dobrowolnie, jaki był stopień kolaboracji z okupantem: czy donosili żołnierzom o ukrywających się partyzantach, czy ich ukrywali. Byli też tacy,

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

dla których podpisanie volkslisty wiązało się z wygodnym życiem, licznymi przywilejami, komfortem. Nie sądzili, że za kilka lat ich świat runie.

No właśnie, co się dzieje w okolicach Kozienic w 1945 roku?
– Jak już wspomniałem, niemieccy koloniści żyli po dwóch stronach Wisły. Kiedy pojawili się tu naziści w 1939 roku, wszystkich Niemców ze wschodu wysiedlono na Pomorze czy do Wielkopolski, a tych do linii rzeki zostawiono w spokoju, ponieważ chciano te tereny w przyszłości zasiedlać i germanizować. Doszło więc do sytuacji kuriozalnej: dwie podobne miejscowości pod Kozienicami, oddalone od siebie o kilka kilometrów, spotkał inny los.

Świat niemieckich osadników po prawej stronie Wisły skończył się więc w 1940 roku, a tych z lewej – dopiero latem 1944, gdy na tereny dotarł front. Wówczas Niemcy ewakuowali folksdojczów, załadowano ich na wozy czy do pociągów i wywieziono na Zachód.

Ktoś został?
– W Kępie Skóreckiej jedna kobieta, która wyszła za Polaka.

A dlaczego zaczął pan jeździć do miejsc, w których 80 lat temu mieszkali Niemcy?
– Lubię wycieczki krajoznawcze. Kręciłem się kiedyś po Mazowszu, gdzie zacząłem trafiać na opuszczone cmentarze ewangelickie. Są ich setki w całym kraju i wyglądają podobnie: zrujnowany parkan, wysokie krzaki, spore drzewa i sporo śmieci. To pozostałość po kolonistach niemieckich. A że mam pewne rodzinne związki z osadnikami, to zacząłem częściej zaglądać do miejsc, w których kiedyś mieszkali.

Do tych związków za chwilę wrócimy. Ale ciekawi mnie, jak wygląda pańska praca na miejscu – czy wchodził pan w te krzaki i szukał niemieckich nagrobków?
– Nieraz tak. Kontaktowałem się też z miejscowymi dziennikarzami, nauczycielami, duchownymi, historykami, którzy interesowali się lokalnymi dziejami. Takich pasjonatów jest sporo w każdym zakątku Polski, wystarczy porozglądać się po forach i na portalach społecznościowych.

Ale nasi zachodni sąsiedzi nie interesują się zbytnio tym, co kiedyś do nich należało, prawda?
– Nie za bardzo, rząd niemiecki nie dba o te miejsca, robią to polscy działacze, którzy mieszkają na poniemieckich terenach.

No dobrze, to jedzie pan pod Kozienice, wchodzi na cmentarz, rozmawia z lokalnym historykiem. Co dalej?
– Zagaduję starszych mieszkańców i wypytuję o niemieckich sąsiadów sprzed wojny. Dosyć łatwo ludzie dają się naciągać na rozmowy, ponieważ chcą się podzielić tym, co pamiętają. A że bliscy nie chcą tego słuchać, to otwierają się przed obcymi. Zaskoczeniem dla mnie było to, że Niemców pamiętają raczej dobrze. Jako wzorowych, zaradnych gospodarzy, choć trochę izolujących się i wywyższających nad Polaków. Oczywiście dużo opowiadali o wojnie. „Wy boicie się w dzień, a my w nocy" – wspominał słowa jednego z niemieckich kolonistów, które wypowiedział do swojego polskiego sąsiada, pan z wioski Gruszczyn. Polacy bali się niemieckiego okupanta, miejscowi Niemcy grasujących po nocach polskich partyzantów. Ale opowiadali też o czasach powojennych, choćby utrzymywaniu kontaktów z żyjącymi już w Niemczech dawnymi sąsiadami.

Trafiałem na niemieckie miejscowości według pewnego klucza: wszystkie z członem „Kępa" były prawie na pewno zakładane przez osadników. Zresztą słowo „kępa" pochodzi od niemieckiego Kämpe, oznaczającego wyspę rzeczną. Pewną wskazówką były też miejscowości ze słowem „Polski" w nazwie. Zwykle oznacza to, że gdzieś w pobliżu istniała kiedyś wieso

FOT. KRZYSZTOF CHOJNACKI / EAST NEWS

• **Muzeum Mazowieckie w Płocku – Skansen Osadnictwa Nadwiślańskiego w Wiaczeminie Polskim. Na zdjęciu: rodzina osadników olęderskich, lata 20. – reprodukcja**

tej samej nazwie, tyle że „Niemiecka". Przykładem może być Wymyśle Polskie, obok którego leży Nowe Wymyśle, do 1945 roku zwane Wymyślem Niemieckim.

Ale trafił też pan do Nowej Soli, która jest mocno nieoczywista.
– Dotarłem do niej przez Braci Morawskich, czyli czeski odłam protestantyzmu, którego centrum w XVIII wieku stała się Saksonia. To ze względu na ich niemiecki charakter zainteresowałem się tą grupą religijną. Najpierw szukałem ich w okolicach Łodzi, ponieważ właśnie tam osiedlili się po raz pierwszy na ziemiach polskich w XIX wieku. Przybyli z Saksonii, mieli swoje świątynie w Pabianicach, Lwówku niedaleko Płocka. No i w Nowej Soli, która wówczas należała do Prus, a po II wojnie światowej znalazła się w granicach Polski.

Zaskoczyło mnie, że została w całości zbudowana przez Braci Morawskich.
– Tak, ale mnie bardziej zainteresowało to, że ta wspólnota religijna we współczesnej Nowej Soli się odrodziła, choć w mikroskopijnym wydaniu. Choć nie mają dziś charakteru niemieckiego, pielęgnują pamięć o tamtym dziedzictwie i co ważne, przy akceptacji i coraz większej świadomości i zaangażowaniu miejscowych, których przodkowie nie mieli przecież ani z Niemcami, ani z Braćmi Morawskimi nic wspólnego. Osiedlili się w Nowej Soli dopiero po wojnie.

Wróćmy do pańskiej babci. Jakie dostała imię na chrzcie?
– Niestety metryki się nie zachowały. Domyślam się jedynie, że jako późniejszą polską Janinę na chrzcie dano jej imię Johanna.

A jak miała na nazwisko?
– Kuls.

Do dzisiaj w jej rodzinnej wiosce na Mazowszu najstarsi mieszkańcy wspominają, że mieszkała tu przed wojną rodzina Kulsów, choć od mojej rodziny z Kanady dowiedziałem się, że oryginalnie nazwisko pisało się Kohls.

W zachowanych metrykach ewangelickich raz przepisywano oryginalne nazwiska, a innym razem pastor zapisał je po polsku. Podobnie było w przypadku katolików. Przykładem może być słynna rodzina Ulmów z Markowej. To wioska, która w zamierzchłych czasach średniowiecznych została założona przez osadników niemieckich. Ci przez wieki się spolonizowali i wiele rodzin pozbyło się końcówki „man" z nazwisk. Tak więc oryginalnie rodzina Ulmów nazywała się Ulman i – co ciekawe – w Markowej do dzisiaj mówi się, że „idzie się do Ulmanów lub Szpytmanów".

Babcia urodziła się jako Niemka, mówiła po niemiecku, miała niemieckich przodków, więc jakim cudem po wojnie znalazła się w polskim Stargardzie Szczecińskim?
– Pod koniec wojny babcię rozdzielono z rodziną, która została ewakuowana z centralnej Polski na zachód, do obozu uchodźców. Moją babcię z kolei Niemcy skierowali do pracy na wyspę Uznam. Tam zastał ją front sowiecki i koniec wojny. Nie wiedziała, co ze sobą zrobić: w Niemczech była uważana za Polkę, a w Polsce – za Niemkę. Nie miała żadnego kontaktu z rodziną i koniec końców znalazła się po polskiej stronie nowej granicy. Tam poznała dziadka.

Odnowiła potem kontakt z rodziną?
– Tak, odnalazła w Niemczech swoją mamę i siostrę przez Czerwony Krzyż.

Babcia w tym czasie miała już swoje dzieci, jako jedyna z całej rodziny zamieszkała w Polsce. Reszta osiadła w Niemczech albo wyjechała do Kanady.

I dlatego postanowił pan napisać książkę?
– Nie. Nie chciałem opisywać przede wszystkim historii rodzinnej, która weszła do książki jako ostatni rozdział. Zależało mi na pokazaniu, że Niemcy od wieków byli częścią polskiego społeczeństwa, naszej historii, osobistych kontaktów naszych przodków. Wszyscy mniej więcej wiemy, że na Ziemiach Odzyskanych przed 1945 rokiem mieszkali Niemcy. Ale mało kto zdaje sobie sprawę, że osadnicy niemieccy mieszkali w Małopolsce, na Mazowszu, Podlasiu czy w okolicy Łodzi.

Babcia nie wiedziała, co ze sobą zrobić: w Niemczech była uważana za Polkę, a w Polsce – za Niemkę. Nie miała żadnego kontaktu z rodziną

I te opowieści czyta się zupełnie inaczej w narastającej teraz fobii antyniemieckiej, którą rozkręca prawica.
– Na szczęście nie napisałem politycznej książki. Należy oddzielić narrację polityczną od osobistych historii poszczególnych rodzin, ponieważ te dwie sfery naprawdę nie mają ze sobą za wiele wspólnego.

Na pewno jednym z wniosków, do jakich doszedłem, pisząc książkę, jest refleksja o migracji. To ciągle aktualny temat, również w naszej części świata, do której masowo zmierzają uchodźcy choćby z Bliskiego Wschodu. Zdałem sobie sprawę, że mechanizmy imigranckie są od wieków takie same. Jasne, przed XX wiekiem osoby zamieszkujące w Polsce nie mogły liczyć na status uchodźcy, ponieważ nie istniało państwo ani znane nam dzisiaj prawa. Ale impuls podróży w nieznane był taki sam: ludzie chcą zmieniać swoje życie, choć wiąże się to z olbrzymim ryzykiem.

Jedna ze smutnych refleksji mojej książki jest taka, że dla migrantów lepiej jest, jeśli porzucą dotychczasową tożsamość i jak najszybciej wtopią się w społeczeństwo. W innej sytuacji prędzej czy później spotkają ich problemy.

Wielu z pańskich bohaterów mimo asymilacji i tak Polacy prześladowali.
– A jednocześnie ci naprawdę głęboko zasymilowani przeżyli i zostali w Polsce.

Nie mogę się z tym zgodzić, ponieważ nowoczesne państwa nie mogą namawiać muzułmanów do zmiany wyznania czy do precyzyjnej znajomości historii Polski.
– Zdaję sobie z tego sprawę, jednak mechanizmy historyczne są bezlitosne.

Brzmi to brutalnie.
– Bardzo. Ale w każdym zakątku świata znajdą się ideolodzy lub politycy, którzy w pewnym momencie mogą sięgnąć po niebezpieczne narracje – ksenofobiczne, nacjonalistyczne czy rasistowskie. Jeśli migranci czy uchodźcy bardzo odróżniają się od miejscowych, mogą łatwo stać się narzędziem dla realizacji politycznych celów.

No ale przecież państwa mogą wyciągać wnioski z przeszłości i budować instytucje, które ochronią uchodźców przed dyskryminacją.
– Jestem sceptyczny, nie wiem, czy ludzie i państwa czegokolwiek się uczą. Niestety, pewne mechanizmy polityczne są powtarzalne na całym świecie, a celem polityków zawsze jest utrzymanie lub zdobycie władzy, nawet za cenę antyemigracyjnej narracji i dyskryminacji, czy manipulowania ludźmi w inny sposób. Spójrzmy na byłą Jugosławię. Czy w latach 80. ktoś wyobrażał sobie, że można rozpętać tam wojny na tle narodowościowym? Inny przykład: zasymilowany Żyd, który odciął się od tradycji judaistycznej, w czasie II wojny światowej miał olbrzymie kłopoty, mógł zginąć, ponieważ w papierach wyszło, że wcale nie jest Polakiem.

To zadam to pytanie inaczej: jeśli musiałby pan emigrować do Francji, to czy zostałby pan Francuzem?
– Zrobiłbym wszystko, żeby nie wyjeżdżać. Moje dzieci i tak miałyby problemy w nowym państwie, może dopiero moje wnuki mogłyby spokojnie żyć. Migranci na całym świecie mają pod górkę. Mają utrudnioną ścieżkę kariery, często wykonują najgorsze prace, są postrzegani jako gorsi, obcy. Mają też często problem z własną tożsamością. Lepiej żyć w kraju urodzenia. ●

1 RP

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

Króliki SĄ NAJWAŻNIEJSZE

Polskie paniki wojenne

• **Ćwiczenia Ligi Obrony Kraju. Sochaczew, 1966 r.**
FOT. WOJTEK LASKI / EAST NEWS

Z historykiem **MARCINEM ZAREMBĄ**, profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, badaczem najnowszych dziejów Polski, ROZMAWIA **KATARZYNA SURMIAK-DOMAŃSKA**

Ludzie objęci paniką wojenną nieustannie wypatrują nowego kataklizmu. **Widzą znaki, doszukują się analogii.**

Psychologowie z Uniwersytetu SWPS spytali niedawno Polki i Polaków, czy obawiają się inwazji militarnej na nasz kraj. 68,5 procent ankietowanych odpowiedziało, że tak. Przy czym 28,5 procent przyznało, że odczuwa z tego powodu silny lęk. Ciekawa jestem, co pan by odpowiedział.
– Gdyby mnie zapytano, czy grozi nam wojna pełnoskalowa, odpowiedziałbym, że nie. Natomiast, czy jesteśmy w stanie przedwojennym? Tak.

Mam znajomych, którzy trzymają kilka tysięcy euro w szufladzie w małych nominałach. Stale uzupełniają bak benzyny, bo ponoć, kiedy spadną na Polskę bomby, mamy sześć godzin na ewakuację. Potem granica ma zostać zamknięta. O kupowaniu mieszkań we Włoszech nawet nie wspominam. Plecaki ewakuacyjne osiągają w sieci cenę 2 tysięcy złotych. W wyposażeniu mają nawet krzesiwo.
– Nie ma nic złego w takim plecaku. Ale czy akurat wykorzystamy go w sytuacji wojny? Na pewno istnieje jakieś niebezpieczeństwo, ale nie tak realne jak w latach 60.

W 1969 roku Ośrodek Badań Opinii Publicznej przeprowadził podobne badania jak te wspomniane przez panią; zapytał: „Czy w obecnej sytuacji międzynarodowej istnieje Pana(i) zdaniem zagrożenie wojenne dla naszego kraju?”. Aż 59 procent ankietowanych powyżej 15. roku życia odpowiedziało, że tak. To był pierwszy tego typu sondaż. Mogę tylko przypuszczać, że strach wojenny musiał „przebić sufit” np. w czasie kryzysu kubańskiego w 1962 roku, kiedy panika wojenna porwała niemal wszystkich.

Osiem lat temu na potrzeby seminarium „Genealogie Pamięci” przygotował pan referat „Powojenne paniki wojenne. Polska 1945-1980”. Pomyślałam, że warto go przypomnieć, choćby po to, by pokazać, że to, co dzieje się z nami teraz, nie jest niczym nowym.
– W powojennej Polsce strach przed nową wojną należał do najszerzej podzielanych i najsilniej przeżywanych emocji. Sprawił to niewątpliwie natłok konfliktów zbrojnych w pierwszej połowie XX wieku. Wielka Wojna, powstanie wielkopolskie, powstania śląskie, konflikt polsko-ukraiński w 1919 roku, wojna polsko-bolszewicka, II wojna, no i oczywiście konflikt o charakterze wojny domowej, który trwał co najmniej do 1947 roku.

Choć oczywiście to nie zaczęło się w XX wieku. Początek XVIII wieku to ciągłe przemieszczanie się przez nasze ziemie wojsk rosyjskich, szwedzkich, saskich. W XIX wieku mamy wojny napoleońskie, dwa krwawe powstania... Lęk przed jakimś kataklizmem, chaosem, czymś, czemu nie sposób się przeciwstawić, tkwi w nas od wieków. Przeniknął do naszej kultury, co uwidocznia się choćby w modlitwie: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny wybaw nas, Panie”. Albo w mniej wzniosłym powiedzeniu „Jak nie sraczka, to przemarsz wojsk”.

Czym wyróżnia się panika wojenna na tle paniki jako takiej?
– Podobnie jak każda panika, tak i ta zaczyna się od nagłego uderzenia przemożnego strachu. Ludzie opowiadają o emocjonalnym rozbiciu, „umieraniu ze zmartwienia”, o tym, że im „skóra cierpnie”, że „chodzą nieprzytomni”, nie mogą spać, nie mogą znaleźć dla siebie miejsca. Ale o ile panika zwykle kojarzy się z zachowaniami irracjonalnymi, chaotycznymi, w przypadku paniki wojennej zauważamy raczej gwałtowne wzmożenie myślenia racjonalnego i zaradności. Uruchamia się silny odruch zabezpieczenia się, zaadaptowania się, a przede wszystkim kompulsywnego robienia zapasów potrzebnych produktów. Choć oczywiście można dyskutować, czy wykupywanie mydła w sytuacji zagrożenia nuklearnego ma sens.

Ludzie objęci paniką wojenną nieustannie wypatrują nowego kataklizmu. Widzą znaki, doszukują się analogii. Kiedy na przykład po śmierci Stalina, w 1954 roku, zwołano Konferencję Genewską z udziałem przywódców USA, ZSRR, Wielkiej Brytanii i Francji, ludzie snuli porównania do Monachium, gdzie w 1938 mocarstwa europejskie paktowały z Hitlerem.

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

Dzisiaj też wypatrujemy analogii do Monachium. Albo mówimy: jest identycznie jak w 1939, czy wy tego nie widzicie?
– W 1939 też nikt nie wierzył w wojnę.

No właśnie. Niewiara w wojnę to też może być znak, że wojna jest tuż-tuż.

W raportach organów bezpieczeństwa i Wydziału Organizacyjnego KC PZPR, które przez cały okres trwania PRL zbierały szczegółowe meldunki z terenu na temat nastrojów społecznych, cytowane są przewidywania, że kolejna wojna wybuchnie 1 września.

Współcześnie o nosicielstwo strachu oskarża się media. Pół wieku temu było inaczej. Roznosili go, posługując się pogłoską, rzekomi naoczni świadkowie. Pogłoska miała siłę rażenia większą niż oficjalny komunikat. To kolejna charakterystyczna cecha paniki wojennej: szczególna łatwość zarażenia się i karmienia pogłoską, czyli informacją rozprzestrzeniającą się bez zachowania bezpiecznych standardów dowodowych.

Wynikało to, rzecz jasna, z niskiej wiarygodności mediów w Polsce Ludowej, a wcześniej za okupacji. W czasie wojny, gdy ludzie odcięci byli od radia, a polską prasę zastąpiły polskojęzyczne gadzinówki, komunikowano się drogą ustną.

Przeglądałam niedawno tygodnik satyryczny „Szpilki" z 1945 roku. Zaskoczyły mnie żarty z ludzi, którzy zaciemniają okna w domach, ponieważ szykują się na kolejną wojnę. Byli obiektem drwin. Jak dzisiaj foliarze.
– Strach przed trzecią wojną światową zaczął się, jeszcze zanim skończyła się druga. Część Polaków uznała, że musi dojść do konfliktu przekreślającego ustalenia konferencji w Teheranie i w Jałcie.

W marcu 1945 roku rząd tymczasowy ogłosił dekret o mobilizacji kobiet do pomocniczej służby wojskowej. Po co rejestrują kobiety, pytano, skoro kończy się wojna? Widać nadciąga nowa.

Drugą udokumentowaną paniką wojenną po wojnie była reakcja na wystąpienie Winstona Churchilla, który 5 marca 1946 roku w USA po raz pierwszy użył terminu „żelazna kurtyna". Ceny na polskich bazarach natychmiast skoczyły o 100 procent. Ludzie robili zapasy ziemniaków, masła i soli.

Następnie mamy pierwszy kryzys berliński, rok 1948. Odcięcie zachodnich stref w Berlinie od dopływu towarów drogą lądową. U nas znów szturm na bazary i sklepy. Po Kielcach krążyła plotka o zrzuceniu amerykańskiego desantu i powszechnej mobilizacji. Ze Szczecina ktoś pisał w prywatnym liście: „Najdrożsi, wojna jest nieunikniona i wszystko się na to zanosi, gdyż bardzo idzie spór o Berlin. [...] Piszę to nie po to, aby wam robić zmartwienie, ale z przezorności widząc i słysząc, co ludzie robią. Na grandę ładują węgiel do piwnic i robią zapasy".

W październiku 1949 roku Konstanty Rokossowski, marszałek Związku Radzieckiego, zostaje polskim ministrem obrony narodowej. Jeśli Rosjanin przejmuje polskie wojsko, to jest to ewidentny dowód na to, że zbliża się wielka wojna.

Nie sposób policzyć panik w całym okresie PRL. Niektóre miały tylko charakter lokalny. Najśmieszniejsza historia miała miejsce w roku 1960 pod Zambrowem, gdzie w stadach pegeerowskiego bydła stwierdzono zakażenie gruźlicą i trzeba je było ubić. Okoliczni mieszkańcy uznali, że państwo zabija zwierzęta, bo potrzebuje mięsa dla wojska. Natomiast oficjalne media starały się bądź sprawę przemilczeć bądź ośmieszyć.

Trzeba dodać, że niektórzy na tę wojnę liczyli. W pańskim tekście przeczytałam o licealiście, który ucieszył się z wybuchu bomby nad Hiroszimą. W liście pisał: „Dzięki odkryciu bomby atomowej – otwiera się dla nas jakaś nadzieja. Szkoda, że nie ma Churchula i Roswelda (pisownia oryginalna – przyp. K.S-D.). Wtedy to wojna prawie mur! Kiedy dowiedziałem się o tym wynalazku, odbyłem podróż na rękach. Staram się być dobrej myśli".
– A wierszyk „Truman, Truman zrzuć ta bania, bo jest nie do wytrzymania"? Silne nadzieje na wybuch trzeciej wojny światowej przetrwały gdzieś do połowy lat 50.

• **Kolejki do sklepów w Warszawie, 1981 r.** FOT. GRAŻYNA RUTOWSKA/NAC

Najważniejsze pytanie, skąd pan to wszystko wie? Jak pan dotarł do tych listów prywatnych?
– Dzięki cenzurze. Od 1945 roku cenzura czytała nie tylko prywatną korespondencję żołnierzy, ale też osób cywilnych. Od 1956 roku raporty z tych lektur gromadzone są w tzw. biurze W – tajnej placówce resortu MSW, funkcjonującej we wszystkich miastach wojewódzkich. Część tych dokumentów jest dziś dostępna w IPN. Większość jednak została poddana tzw. brakowaniu. Ale z tego brakowania też powstał raport. Stąd wiemy, że zbierano informacje o nastrojach społecznych przy okazji każdego większego wydarzenia. Lądowanie Amerykanów na Księżycu, olimpiada w Monachium, wystąpienie Gomułki na V Zjeździe PZPR... Na niemalże wszystkie istotne tematy przygotowywano wyciągi z listów obywateli. Funkcjonariusze Biura W działali przy Poczcie Polskiej. Byli ściśle zakonspirowani. Choć oczywiście Polacy wiedzieli o tym, że ich listy są rozklejane, czytane i potem zaklejane z powrotem.

Największa panika wybuchła w roku 1961, kiedy w nocy z 12 na 13 sierpnia rozpoczęto wznoszenie muru dzielącego Berlin.
– Pierwsze symptomy pojawiły się już w poniedziałek 14 sierpnia w południowo-wschodniej części Polski. Ludzi zaniepokoiły ciągnące nocą transporty wojsk radzieckich. W regionie rzeszowskim – jak informowały władze partyjne – zapanował „stan pewnej psychozy wojennej". Na wsi ludzie mieli powtarzać między sobą, że nie warto zbierać z pola, bo we wrześniu i tak spadną bomby. Jakiś członek partii na zebraniu powiedział, że lepiej byłoby, gdyby partia nie ukrywała sprawy wybuchu wojny, „która jeszcze w tym roku będzie". Największym ogniskiem paniki były ziemie zachodnie, tak zwane odzyskane. Tam pojawiły się nawet nastroje ucieczkowe. Cytuję list dziewczyny mieszkającej w bursie w Elblągu, która pisze do bliskich, że wszystkie jej koleżanki już uciekły z Elbląga, bo nie wiadomo, co będzie. Ona zastanawiała się, co robić: czy zrezygnować ze szkoły i też wyjechać, czy jednak lepiej najpierw spakować walizkę i wysłać ją do domu, a potem czekać do ostatniej chwili i w razie czego wiać.

Mieszkaniec wsi na wschodzie upominał krewnego z Wrocławia: „dlaczego wy nie uciekacie z zachodu, poginiecie tam jak muchy i Niemiec popali was w piecach krematoryjnych".

Przejdźmy do roku 1967 i do wojny sześciodniowej. To dobra analogia do dzisiejszej sytuacji, bo wtedy również rozjątrzył się konflikt między Izraelem a państwami muzułmańskimi. Mam tu list pewnej pani z Rzeszowa: „Przeżyłam kilka dni temu chwile zdenerwowania i przerażenia na skutek wiadomości, które tu dotarły o sytuacji na Bliskim Wschodzie. Mówiło się o wojnie o możliwości jej rozprzestrzeniania, to jakoś tak na mnie wpłynęło, że nie mogłam się uspokoić. Przez całą noc spać nie mogłam, trudno mi było zmusić się do tego, żeby coś zjeść".

• **Plakat z 1952 r.** RYS. TADEUSZ TREPKOWSKI

– Ktoś inny, również z Rzeszowa, nawoływał adresatów: „Czy macie sól i cukier? Wiecie, chyba że wojna w Izraelu zrobiła swoje i po sklepach braki".

Rzeszowianka, „ze środowiska robotniczego", pisze zaś do córki w Krakowie: „Ireno bardzo boję się, aby tej wojny u nas nie było. Powiedz Bożence, że na końcu tygodnia będzie spowiedź dla wszystkiej młodzieży szkolnej. Niech idzie i niech modli się gorąco, może je P. Bóg wysłucha i oddali tę wojnę straszną od naszej Ojczyzny. Księża w piątek i w sobotę po południu będą w całej Polsce spowiadali".

Wzmożenie religijne to zresztą powtarzający się refren. W 1946 roku ludzie też w przypływie paniki masowo przystępowali do spowiedzi. Krakowski korespondent „Gazety Kujawskiej" pisał: „Konfesjonały w kościołach były oblężone; każdy pragnął uczynić porządek ze swym sumieniem, aby w obliczu wielkiej, grożącej wszystkim katastrofy, w wypadku śmierci stanąć przed Bogiem oczyszczonym".

Pisze pan, że ten strach wojenny i skłonność do paniki przetrwały w większym stopniu na wsiach.
– Tak, tam najszybciej dawał się zauważyć zryw gromadzenia, wykupywania produktów żywnościowych. Można to tłumaczyć charakterystycznym dla kultury chłopskiej pragmatyzmem. Chłopski los przez wieki cechowała niepewność, która wcale nie skończyła się z przyjściem ustroju komunistycznego. Druga interpretacja wiąże się z najniższym w skali kraju poziomem wykształcenia mieszkańców terenów wiejskich. Na fakt, że osoby o niższych kompetencjach poznawczych łatwiej ulegają panice, zwrócił już uwagę Hadley Cantril, który badał genezę masowej paniki, jaka wybuchła w 1938 roku w Stanach Zjednoczonych po nadaniu przez radio słuchowiska Orsona Wellesa „Wojna światów" według powieści H. G. Wellsa.

Ale w miastach też wykupywano towary.

– Oczywiście!
Moja mama w Warszawie zawsze trzymała w tapczanie zapas mąki i cukru oraz rodzynek, żeby niezależnie od sytuacji było z czym upiec ciasto na Boże Narodzenie.

Nawet intelektualiści ulegali wojennej atmosferze. W 1945 roku Maria Dąbrowska zapisała w dzienniku: „Rano dziennik londyński wręcz alarmujący. Atmosfera jest bodaj cięższa niż w czasie Monachium. Ale, o Boże, jak nie chciałoby się przeżywać trzeciej wojny".

Jan Józef Szczepański pisał, że przejeżdżając przez Warszawę w drodze do Szwecji we wrześniu 1961 roku, czuł się jak dezerter: „Widziałem Zbyszka Herberta i Mrożka – zanotował – obaj w katastroficznym usposobieniu".

Co jeszcze kupowali nasi rodzice na wypadek wojny?
– To bardzo ciekawy temat. Paniki wojenne pomagają śledzić przemiany rynkowe w PRL. Tuż po wojnie były to więc towary najprostsze: ziemniaki, słonina, smalec, cukier i oczywiście sól, która służyła do konserwowania żywności. Wykupywano również ubrania, lampy naftowe, naftę, zapałki. A także chleb, z którego przygotowywano suchary.

W późniejszych latach mowa jest o mydle, proszku do prania, ryżu. Mam notatkę z 1949 roku o tym, że popłoch wywoływała nagła rejestracja mężczyzn do wojska: „W powiecie tucholskim w ciągu pięciu dni mieszkańcy nabyli więcej mydła i proszku do prania niż w całym 1948 roku".

Gdy 25 czerwca 1950 roku komunistyczna Korea dokonała inwazji na Południową Republikę Korei, w Polsce w lecie wykupywano zimowe płaszcze i buty.

Kiedy 1 maja 1960 roku nad Uralem zestrzelono amerykański samolot szpiegowski, pewien rolnik odmówił odbioru przyznanej mu na remont domu pożyczki w wysokości 30 tysięcy złotych. Oświadczył, że „nie warto remontować, bo i tak będzie wojna".

Często kupowano maszyny do szycia, bo wtedy samemu można sobie coś uszyć, a poza tym można szyć innym. Kobiety zwykle w ten

Współcześnie o nosicielstwo strachu oskarża się media. Pół wieku temu było inaczej. Roznosili go, posługując się pogłoską, rzekomi naoczni świadkowie

1 RP

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

W 1961 r. mieszkaniec wsi na wschodzie upominał krewnego z Wrocławia: „dlaczego wy nie uciekacie z zachodu, poginiecie tam jak muchy”

sposób zarabiały w czasach kryzysu. Bezpieczna domowa praca. Poza tym maszynę zawsze można odsprzedać.

Od czasu drugiego kryzysu berlińskiego z 1961 roku widzimy wyraźne zmiany cywilizacyjne.

Niepomiernie wzrasta popyt na biżuterię. W warszawskiej sieci „Jubilera” obroty skoczyły o 180 procent. W Przemyślu w trzy dni wycofano wkłady z PKO na sumę blisko 1,5 mln zł, podczas gdy średnia dzienna wypłata wynosiła wówczas 80 tysięcy złotych. Gotówkę wymienia się na dobra trwałego użytku: pralki, dywany, sprzęt RTV, meble, maszyny rolnicze. Pojawiają się również tendencje przeciwstawne. Nieliczni właściciele aut osobowych zaczynają zastanawiać się nad ich sprzedażą, by uniknąć spodziewanych rekwizycji. Wiadomo, w czasie wojny rekwiruje się zaprzęgi, konie, wozy.

Niedawno odkryłem fantastyczny list o królikach z 1968 roku, z czasów interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji, kiedy przez kraj przetaczało się wojsko polskie i radzieckie. Ktoś pisał: „Pamiętaj, króliki są najważniejsze. Musisz zabezpieczyć pokarm dla królików”.

Pamiętajmy, że już w czasie I wojny zachęcano ludność do tego, żeby hodowała króliki. Króliki szybko się rozmnażają, szybko dojrzewają, trzyma się je w klatkach tanim kosztem. Stałe źródło smacznego mięsa. List o królikach to dowód trwania polskiej nerwozy wojennej.

W latach 70. poczucie zagrożenia mija. Dekada Gierka to czas opadnięcia stresu.
– Tak, w 1975 roku OBOP powtórzył badania o zagrożeniu wojennym. 68 procent pytanych odpowiedziało, że takie zagrożenie nie istnieje. Przestaliśmy się bać wojny. Wpłynęła na to odwilż w stosunkach międzynarodowych, intensyfikacja kontaktów z RFN i USA. Przypomnę, że trzech amerykańskich prezydentów odwiedziło wówczas Polskę. Podpisanie w grudniu 1970 roku układu o normalizacji stosunków między PRL a RFN, a następnie częste kontakty Edwarda Gierka z kanclerzem Helmutem Schmidtem.

Moje dzieciństwo przypadło właśnie na czas tego relatywnie spokojnego okresu lat 70. I pierwsza panika wojenna, jaką pamiętam, to ta z końca lat 70. To było już po wybraniu Karola Wojtyły na papieża. W kościołach rozdawano broszurki o tym, że zbliża się straszliwa wojna, może i koniec świata.
– Składało się na to kilka spraw. Po pierwsze mamy najdłuższy kryzys gospodarczy Polski Ludowej, a w ogóle europejski. Po drugie rewolucja w Iranie w 1979, w której obalono prozachodniego szacha i proklamowano republikę islamską. To znaczące wydarzenie dla Polaków, rok wcześniej szach Reza Pachlawi odwiedził nasz kraj razem z małżonką.

Do tego doszło chyba najważniejsze z wydarzeń, a mianowicie wkroczenie Armii Czerwonej do Afganistanu w 1980 roku. I to wszystko łącznie z wyborem Karola Wojtyły na papieża wzmacnia taki niepokój społeczny odnośnie do przyszłości. A nawet rodzaj mistycyzmu.

A ja pamiętam, jak w warszawskim kościele Zbawiciela ksiądz zaprosił na katechezę ludzi z jakiejś sekty, którzy oznajmili nam, dwunastolatkom, że wojna światowa jest nieunikniona. Ludzi zginie tyle, że ci, którzy odmawiają różaniec raz dziennie, nie zmieszczą się w niebie. Teraz trzeba – przestrzegali – odmawiać trzy razy dziennie. Zastanawiam się, czy Kościół nie zagospodarowywał tych społecznych lęków po to, by ściągnąć ludzi do praktyk religijnych.
– Nie szedłbym tak daleko. Po wyborze papieża, po jego pielgrzymce w czerwcu 1979 roku kościoły tak się zapełniły, tak niesamowicie skacze poziom religijności, że chyba dodatkowa stymulacja nie była potrzebna.

Wojną straszono także w szkołach. Na przysposobieniu obronnym na początku lat 80. uczono, że w razie ataku nuklearnego mamy położyć się głową do wybuchu i nakryć folią aluminium. Byłam zdezorientowana, że taki atak w ogóle można przeżyć.
– O tym samym pisał kiedyś w felietonie Stanisław Tym, tylko że jego wspomnienie odnosiło się do lat 50., czyli do szczytu zimnej wojny: „Na długim szkolnym korytarzu leżeliśmy plackiem w czterech rzędach. W dwóch pierwszych chłopcy, w trzecim i czwartym dziewczynki. Wszyscy mieliśmy głowy nakryte rękami i tornistrami oraz kurtki na plecach. Regulamin nakazywał też ostro, by głowa była zawrócona w kierunku wybuchu. Tak wyglądała podstawowa obrona przed amerykańskim atakiem atomowym”.

Dodam, że w roku 1950 wojnę przewidywano najpierw na 8 maja, a potem na 1 września.

W latach 80. zimna wojna wróciła. Pamiętajmy, że pod koniec 1983 roku Amerykanie rozmieścili w Europie Zachodniej rakiety Pershing II oraz pociski manewrujące Cruise. Każdy Polak wiedział, co to Pershing. Wraca zagrożenie ze strony Stanów Zjednoczonych. Atmosfera znów gęstnieje.

Był taki teledysk Kapitana Nemo do utworu „S.O.S dla planety”. Nemo siedzi w schronie, a na zewnątrz latają Pershingi.
– A w 1984 roku nasza telewizja wyemitowała „The Day After”, film o konsekwencjach wojny jądrowej. Nieprzypadkowa ta emisja, zgaduję, bo w tym czasie weszła kolejna podwyżka cen. Dobrze było odwrócić od tego uwagę, a przy okazji przypomnieć, że na czele kraju stoi silny dowódca, generał Wojciech Jaruzelski, żołnierz, który w razie czego nas obroni. Honor, męstwo, mundur i tak dalej. Propagandowy kult wojska był wtedy bardzo silny.

Tak sobie myślę, że paniki wojenne od 1945 roku z przerwami pojawiały się non stop. Żyliśmy w nieustannym przeświadczeniu, że zaraz coś wybuchnie. A jednak przez 80 lat nic nie wybuchło. Poza stanem wojennym. Właściwie można powiedzieć: z wielkiej chmury mały deszcz.
– Ale strach przetrwał. My nie doświadczyliśmy wojny, ale reprodukujemy te same odruchy co nasi rodzice. Kiedy samoloty uderzyły w World Trade Center, też ludzie zaczęli na gwałt kupować benzynę, w moim Auchan zniknął makaron. Podobnie w lutym 2022 roku. Ludzie starają się panować nad rzeczywistością, jakoś ją ogarnąć.

Pamiętajmy też, że informacja o wojnie pochodziła u nas nie tylko z przekazu rodzinnego. Wojnę reprodukowano nieustannie choćby w kinie: „Czterej Pancerni”, „Stawka większa niż życie”, „Hubal”, „Polskie Drogi”. Żyliśmy w kulturze wojennej. Na tym polega polskie wychowanie patriotyczne. Mundur i karabin. Nie ma innego patriotyzmu w Polsce.

Czy to, z czym mamy do czynienia dzisiaj, obecna obawa przed inwazją, to jest ciąg dalszy tego samego zjawiska?
– Ja bym nie łączył dzisiejszego strachu czy uczucia dyskomfortu wobec wojny w Iranie czy nawet w Ukrainie z panikami peerelowskimi. Tamte wynikały także z niedoboru. To był świat, w którym wszystkiego brakowało. Strach przed wojną przekładał się na strach przed głodem. Dziś trudno sobie wyobrazić, że może zabraknąć jedzenia w sklepie.

Tamten stres dotyczył silniej starszego pokolenia. Oni mieli mocniej wbite do głowy, że wojna, przesiedlenie, okupacja to są naturalne elementy życia.

W moim referacie cytuję list młodego człowieka, studenta, który w 1967 roku tak pisał do matki na wsi w związku z wojną sześciodniową: „Mamo, wiemy, że plotki już chodzą o tym, że niesie się zagrożenie, że wybuchła wojna. Nie przejmuj się. Ta wojna jest daleko, nic się nie stanie”.

Młodsze pokolenie uspokajało wtedy starsze. Ówczesne starsze pokolenie już odchodzi, w większości odeszło. W związku z tym, choć oczywiście strach jakiś w Polsce jest, ja bym go nie zestawiał z tym sprzed pół wieku.

Dzisiejszy strach łączyłbym raczej z tym, że konflikty oglądamy z bliska w internecie i telewizji. To zupełnie inny rodzaj działania na psychikę. Kiedyś większość ludzi o tym, co dzieje się na froncie albo jak wygląda bombardowanie, tylko słyszała albo czytała.

Teraz możemy to sobie dokładnie obejrzeć. Choćby wstrząsający filmik krążący w sieci pokazujący, jak rosyjscy żołnierze, ścigani przez ukraińskie drony, popełniają samobójstwo, by uniknąć strasznej śmierci. To niesłychanie oddziałuje na wyobraźnię.

Instynktownie potrzebujemy światła, bezpieczeństwa, prawdy, uczciwości, spokoju. A tymczasem słyszymy, że Amerykanie zbombardowali szkołę w Iranie.

Wiemy, że trzeba się zbroić, jestem całym sercem za SAFE, ale właśnie może po to, żeby spać spokojniej.

To ja przypomnę jeszcze słowa Williama Faulknera z 1950 roku, z czasów zimnej wojny. Mówił, że najbardziej nam zagraża strach. Nie bomba atomowa, bo bomba jedyne, co może zrobić, to nas zabić. Większe niebezpieczeństwo tkwi we władzy, która próbuje użyć strachu, by sterować obywatelami. I że to strachowi musimy się przeciwstawić, jeśli chcemy zmienić świat.
– Nie do końca bym się z tym zgodził. Strach bywa potrzebny. Mobilizuje nas. Strach długotrwały, gdy nie możemy spać, jest okropny, wyniszczający, ale należy go widzieć trochę jak taką lampkę na statku, która zapala się czerwonym światłem. Trzeba wstać, walczyć z huraganem, musimy płynąć dalej. Przekonanie, że możemy żyć w świecie bez strachu, jest naiwnością.

Czyli nie należy bać się strachu.
– Tak, ale dobrze jest nad nim panować. On jest nam potrzebny.

Kierkegaard twierdził, że „Im mniej ducha, tym mniej lęku”. Jego brak kojarzy się nam z Piotrusiem Panem, ułudą, niedojrzałością. Człowiek dojrzały zdaje sobie sprawę z zagrożeń. Tylko dziecko sobie z nich nie zdaje sprawy. Chodzi o proporcje. No i o to, żeby być w kontakcie z prawdziwymi informacjami. Wtedy jest szansa, że zdążymy ze spakowaniem plecaka. ●

eprasa.pl 6c0dfc6fa9

jolka 203

Objaśnienia podane są w kolejności alfabetycznej. W diagramie ujawniono wszystkie spółgłoski Z. Miejsce wpisywania wyrazów – do odgadnięcia. Litery w kolorowych polach, odczytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

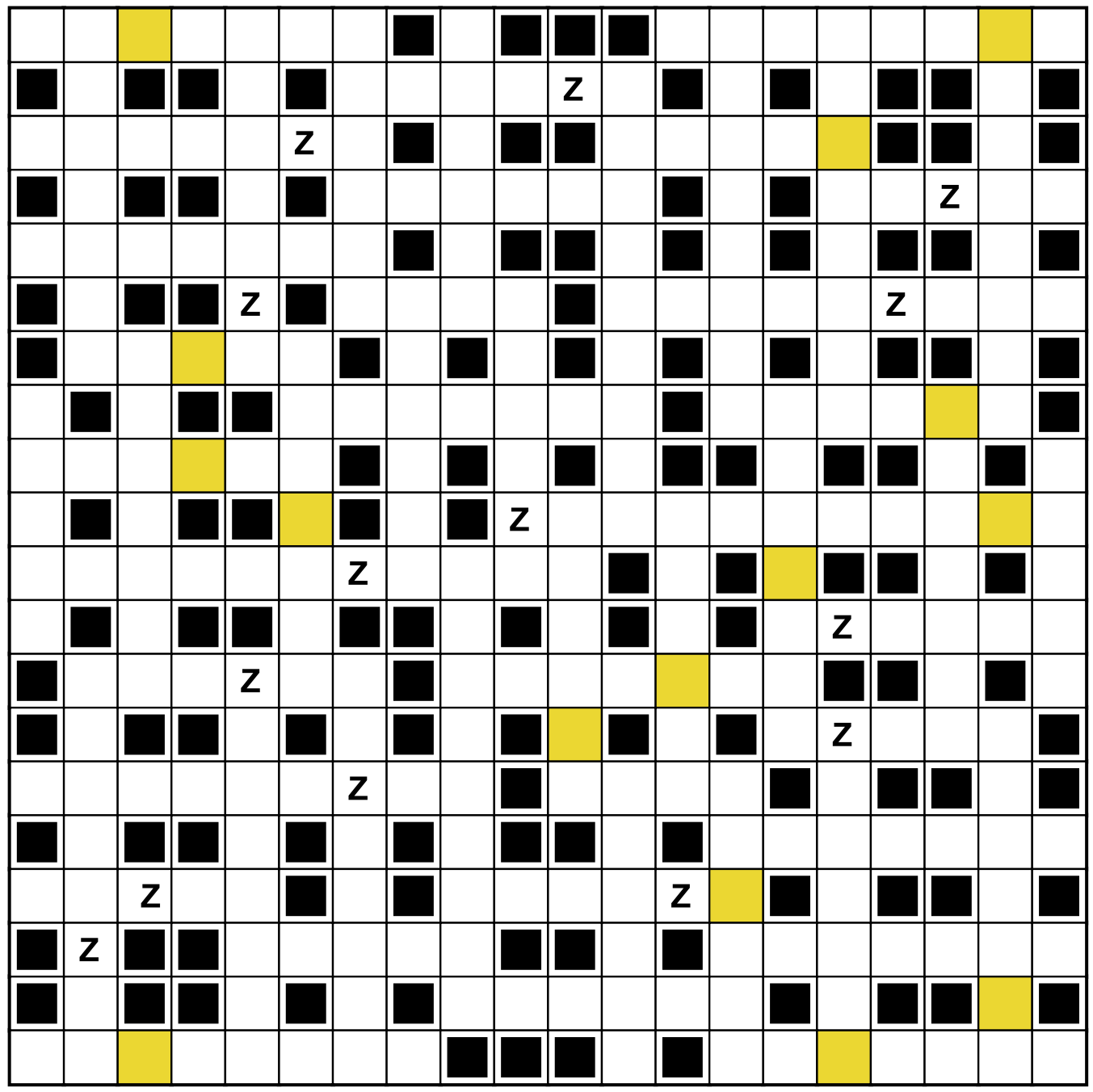

- Anthony, aktor, trzykrotnie wcielił się w rolę Hannibala Lectera
- banalne stwierdzenie; frazes
- beztroskie harcowanie
- bywa, że nie ufają obcym; tutejsi
- czasem na kanapie, czasem na stolnicy
- cząstka lakieru, która odpadła od karoserii, paznokcia
- część pościeli w tytule piosenki Jacka Kleyffa
- dawniej: ktoś niewielkiego wzrostu (także synonim hobbita w powieściach Tolkiena)
- Feliks „Papa" ..., pięściarz i trener boksu
- herszt i jego ludzie
- instrument, na którym nie umiał grać telegrafista Piotr Płaksin, bohater wiersza Tuwima
- Jan, aktor teatralny i filmowy („Perła w koronie")
- jeśli denaturowany, to nie nadaje się do spożycia
- kierunek filozoficzno-religijny kojarzący się z jin-jang
- klekot w garażu
- „Lecz takie są widać ..., by kochać cię jak Irlandię" (Kobranocka)
- ma wysublimowany gust kulinarny, estetyczny; smakosz
- Maciej, dziennikarz radiowy i telewizyjny
- „Mam tylko jedno skrzydło, to prawie tak jak ...", śpiewała Kora
- miasto z Wieżą Trynitarską
- mieszkanka rodzinnego miasta Krzysztofa Kolumba
- mizerak, chuderlak
- „... na zakręcie", powieść Krystyny Siesickiej
- nie lada
- odbiera gaże w teatrzynie?
- olbrzymie, spienione fale morskie
- Persefona lub Ananke
- potocznie: narożnik budynku
- projekt ..., program badawczy, w którym wziął udział Robert Oppenheimer
- przepływa przez Antwerpię, uchodzi do Morza Północnego
- przepływa przez Nowy Targ i Nowy Sącz
- przestarzale o chłopcu na posyłki w hotelu albo o kelnerze
- prześmiewcy, ironiści
- rzeka do odszukania w „Rio Bravo"
- rzemieślnicy budujący piece
- Salman, napisał „Szatańskie wersety"
- saloonowe – wahadłowe
- stanowcza żona kasztelana Mirmiła z komiksów Janusza Christy
- stolica Nigerii
- szekspirowska rola do pozazdroszczenia!
- średniowieczne szaraczki
- „... świat", piosenka Anny Jantar
- Timon z filmu animowanego „Król Lew"
- tuz łuz
- ... tymczasowy, zatrzymanie podejrzanego o popełnienie przestępstwa
- tytuł ostatniego odcinka serialu „Alternatywy 4" (bęc!)
- ... uczelni, organ współpracujący z rektorem
- utrata energii do pracy, aktywności życiowej; ospałość, apatyczność
- w opowieści o Odyseuszu i Polifemie lub w tytule powieści o Marysi Kawczak
- wielkie bohaterstwo
- wprawione w pierścionek
- zabawka szykowana na lany poniedziałek
- zabiegi intrygantów, spiskowców
- zaczyna się słowami: „Gniew Achilla, bogini, głoś, obfity w szkody..."
- „zawiłości" rzecznego koryta
- złoto dla naiwnych

Rozwiązanie jolki nr 202: Piosenka aktorska.

Rzędami: przepona, zbereźnicy, mundial, kostur, Norton, Irma, etiudy, dorkas, harlekin, spinka, Andrus, przytupy, Piąty element, organizer, Nietzsche, krótkowidzka, stodółka, objazd, admini, abolicja, Werner, Łańcut, knot, Edmund, prośba, apelant, obliczenie, Izraelka.

Kolumnami: lunch, wapno, auror, ruble, Zastal, aktualności, Elton, pomnik, derkacz, pozew, nonsensy, imadło, prąd, ataki, filipini, kwiecień, bolid, Tina, rybacy, siatkarz, elekt, eskadra, Osetia, zydel, Nostradamus, Izmael, alumn, hokej, Yaris, Andie.

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34414087

1 RP

eprasa.pl 6c0dfc6fa9